

**Catherine Dunne**

**Początek**

## *Prolog*

Na początku jest rodzina. Pod żadnym względem nie jest wyjątkowa, po prostu przeciętna rodzinka, jakich znamy wiele.

Ta rodzina składa się z pięciu członków. Ojciec ma na imię Ben. To czterdziestopięcioletni, łysiejący facet, umiarkowanie łagodnie nastawiony do świata. Prowadzi własny interes i jest człowiekiem sukcesu. Przepada za swoimi dziećmi, nie bije żony.

Rose to matka. Ma czterdzieści dwa lata i jest trochę zmęczona dwudziestoletnią walką o wymiary swej talii. To kochająca mama, zaradna pani domu i wierna żona.

Jest jeszcze troje dzieci w wieku od sześciu do siedemnastu lat. Cała trójka poszłaby za sobą w ogień. Jednak dla naszych celów, na chwilę obecną, pozostaną po prostu DZIEĆMI.

Ta zwyczajna rodzinka żyje z dnia na dzień. Ben i Rose często zadają sobie pytanie: „Czy to już naprawdę wszystko?”. Ale nigdy nie pytają się o to jedno drugiego.

Pewnego dnia Ben wchodzi do kuchni. Szuka Rose, która właśnie gotuje jajka.

– Rose.

Ostatnimi czasy rzadko zdarzało mu się użyć jej imienia, więc patrzy na niego zdziwiona.

– Musimy porozmawiać.

Świat wali się na głowę, przeżyte lata kotłują się w myślach, życie traci sens. Rose wie, że to proste zdanie jest zwiastunem wszystkich nieszczęść.

Musimy porozmawiać.

– Chcę się stąd wyrwać na trochę. Uważam, że powinniśmy od siebie odpocząć przez jakiś czas. Przepraszam, że mówię ci o tym w ten sposób, ale po prostu nie jestem szczęśliwy.

Rose obserwuje jajka. Fascynuje ją sposób, w jaki podskakują w gotującej się wodzie. Jedno z nich właśnie pękło i galaretowata biel wycieka wprost do wrzącej wody. Rose już wie, że to jajko będzie w środku wodniste.

Poranek utartych frazesów. Musimy porozmawiać. Nogi mi się uginają. Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Zdecydowaliśmy się na próbną separację.

Rose wpatruje się w twarz Bena w poszukiwaniu jakichś odpowiedzi, wyjaśnień, dlaczego jego torba, spakowana i gotowa, spoczywa u jego stóp.

– W tej chwili? – głupio zadaje pytanie. Ben wzrusza ramionami.

– Nie ma sensu dłużej czekać. To się ciągnie już jakiś czas. Sama dobrze wiesz.

Czy rzeczywiście wie? Czy właśnie to miał na myśli, kiedy milczał całymi dniami, kiedy rosło jego niezadowolenie z interesów, kiedy nie mógł usiedzieć na miejscu? Tak, zdaje sobie sprawę, że coś wisi w powietrzu od jakiegoś czasu, ale może wspólne wakacje albo wypad gdzieś na weekend tylko we dwoje... ? Wydaje się jednak, że nie da się tego tak prosto załatwić, cokolwiek to jest.

Rose jest całkiem spokojna. Wyłącza kuchenkę i wyciera pochlapany blat, próbując nie patrzeć na Bena.

Myśli sobie, że tak właśnie muszą wyglądać wszelkie kryzysy w życiu

ludzi. Moment, w którym nie dochodzi do żadnych wielkich dramatów. To, co najgorsze, przyjdzie dopiero potem.

Jest w pełni świadoma tej chwili, świadoma obecności Bena i siebie, świadoma cicho już podskakujących jajek w garnku. Wie, że w kółko będzie wracać do tych wszystkich detali, które teraz ogarnia wzrokiem. Odwraca wzrok od tego, co miłe i znajome. Skupia się na Benie.

– Może porozmawiamy? Chcesz tak po prostu wyjść, nie dając nam nawet szansy na rozmowę?

Ben jest wyraźnie zniecierpliwiony.

– Od lat próbuję z tobą porozmawiać. Muszę się stąd wyrwać, żeby zebrać myśli. Dam ci znać, kiedy wrócę.

Rose widzi jego determinację i rozdrażnienie.

– Nie jesteś nawet wściekła? – pyta ją. – Proszę bardzo, rzuć czymś, uderz mnie, jeśli chcesz, ale na miłość boską, zareaguj jakoś.

– Nie, nie jestem wściekła – odpowiada. – Nie wiem, co czuję, ale nie mam ochoty ciebie uderzyć.

Ben rusza gwałtownie w stronę drzwi.

– To już koniec, prawda? Nie rozstajemy się tylko na jakiś czas?

Ben obraca się do niej, blady jak ściana.

– Myślę, że tak. Już cię nie Kocham.

Wychodzi. Drzwi zamykają się za nim cicho. Rose woła dzieci, czas do szkoły. Kładzie ich szkolne śniadania na stół. Zaczyna się nowy dzień.

# Część pierwsza

*Poniedziałek, 3 kwietnia 1995, godzina 8. 00*

– Dalej, dzieciaki, pospieszcie się, wszystko w porządku?

W jej głosie nie było słycać nic nadzwyczajnego. Byleby zdławić krzyk cisnący się w klatce piersiowej i głowie. Czas, potrzebowała tylko czasu.

Damien wchodzi do kuchni, wciskając się w kurtkę.

– Na razie, Ma.

Odkąd zdradziła mu, że kiedyś nazywała go swoim małym barankiem, zwracał się do niej Ma, pobekując przy tym przekornie.

Udawała, że tego nie cierpi, więc nadal ją tak nazywał. Tak naprawdę lubiła to; syn dorastał, ale wciąż mieli ze sobą dobry kontakt.

Patrzyła na jego ciemną głowę pochyloną nad szkolnym plecakiem. Nagle poczuła się o wiele starsza.

– Wracasz jak zawsze?

Pytanie jak zawsze. Oby tak dalej.

Skinął potakująco, sięgając po następny kawałek chleba. Po raz kolejny zwróciła uwagę na ilość jedzenia, którą pochłaniał. Wydawało się, że je bez przerwy: przed posiłkami, w czasie posiłków i po posiłkach. Przestała już rozmyślać nad własnym udziałem w zepsuciu jego apetytu.

Tego ranka nie miało to właściwie żadnego znaczenia.

– Pa, Ma!

Trzasnęły drzwi i już go nie było.

Rose obserwowała, jak pedałowal wzdłuż drogi. Przez moment miała niesamowite uczucie, że to ktoś obcy, a nie jej syn. Ani syn nikogo innego.

Ot co, jakiś tam sobie dorosły człowiek. Wysoki, włosy ciemne i dość długie, ręce i nogi jak u pająka.

Jechał na rowerze pewny siebie, wręcz zuchwały. Ogarnął ją strach w miejscu, gdzie zwykle czuła dumę.

Ale w końcu to nie był zwyczajny dzień.

Brian i Lisa znów się tłukli. Przynajmniej to była normalna kolej rzeczy, więc Rose zmusiła się, by odejść od okna i pogonić dzieciaki do szkoły. Zrobiło jej się miękko w kolanach, ręce zaczęły się trząść nieznacznie. Poczowała suchość w ustach.

– No dalej, czekam tu na was!

W głosie wciąż ta sama dawka tonu nieznoszącego sprzeciwu. Byleby już wyszli, zniknęli jej z oczu, żeby wreszcie mogła pomyśleć. Dziwne uczucie, postrzegać codzienne rytuały w ten sposób, musiała wziąć się w garść.

– Wreszcie jesteście!

Dwójka dzieci w końcu wpadła do kuchni. Dzisiaj to Brian oberwał, więc Lisa tryumfuje. Jakżeby inaczej, runda druga dla niej. Rose nagle robi się słabo na myśl o rundach trzecich, czwartych i piątych.

Starannie dobiera słowa, kontroluje gesty i ton.

– Chodźmy już, chyba nie chcecie się spóźnić!

Kolejny raz odczuwa złość na samą siebie, że powieliła utarty schemat. Powinna pozwolić im na samodzielny marsz do szkoły. Przecież nie są z cukru i deszcz by im nie zaszkodził. Tyle że Lisa ociąga się niesamowicie w czasie drogi, a do tego okropnie marudzi ostatnimi czasy. Jazda samochodem jest znacznie prostsza.

Rose poczuła gorące łzy na policzkach, wykrzywione usta. Miała

nadzieję, że nie będzie musiała z nimi rozmawiać.

Zresztą być może coś już przeczuwali. Siedzieli cicho z tyłu, nieprzyzwyczajeni do tak jawnego ignorowania ich obecności.

Zgaszeni pomachali jej przy szkolnej bramie, a Rose zdołała się opanować, dopóki nie zniknęli jej z oczu.

Przez kilka minut nie mogła ruszyć się z miejsca.

Obserwowała tuziny matek pchających swe wózki, nielicznych ojców. Ludzie pozdrawiali się, machali do siebie, uśmiechali się i przytulali swoje pociechy.

Wszystko było takie zwyczajne.

Rose poczuła się kompletnie opuszczona w swoim nieszczęściu. Nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Nikogo, komu mogłaby powiedzieć: „Mój mąż właśnie mnie zostawił”.

A może jednak był ktoś? Ktoś, kto mógłby powiedzieć, że doskonale rozumie, co ona teraz przeżywa?

Potrzebowała bratniej duszy. Potrzebowała Marthy.

Rose odpaliła samochód i ruszyła wolno. Musiała się skoncentrować, przeróżne myśli kotłowały się w jej głowie, minione lata wirowały przed oczyma.

Nagle gwałtownie zahamowała.

Nie zauważyła starszej kobiety na przejściu dla pieszych.

Rozzłoszczona kobieta zaczęła uderzać złożonym parasolem w maskę samochodu. Niektórzy przechodnie śmiali się. Rose widziała jedynie parę okularów i skrzywione, wściekłe usta krzyczące na nią.

Czy oni naprawdę nie wiedzieli? Czy nie miała tego wypisanego na twarzy?



Jak we mgle dostrzegła znajomą twarz, która przyglądała się jej uważnie. Nie, nie teraz, Jane. Nie dałaby rady wysilić się na uprzejmość. Nie przeprosiła nawet staruszki, która wciąż wrzeszczała i wymachiwała swoim parasolem, czerpiąc satysfakcję z całego zamieszania.

Wróci teraz pewnie do domu, by w towarzystwie rodziny i sąsiadów, przy filiżance herbaty dać upust swej złości. To cud, że w ogóle uszła z życiem. Z satysfakcją będzie utyskiwać na bogate kobiety w swoich wielkich samochodach i na młodzież, która nie okazuje dziś żadnego szacunku – nic dziwnego zresztą, skoro ich rodzice traktują starszych jak śmieci.

Rose wiedziała o tym wszystkim, kiedy jechała do domu. Jedyne, czego pragnęła, to zaszyć się w swoich czterech ścianach.

Zdawała sobie sprawę, jak to wszystko wyglądało, jak ta staruszka się czuła. Ale nie mogła już zmienić tego scenariusza.

Mogła za to pojechać do domu i napisać swój własny.

## *Czerwiec 1972*

Na korytarzu dzwoni telefon.

To wciąż jeszcze nowość, więc ze wszystkich zakamarków domu zbiegają się domownicy. Kevin jednym kopniakiem otwiera drzwi swojego pokoju, Grace zostawia zadanie domowe i biegnie z salonu z długopisem w ręce. Rose zostaje w tyle i siedząc na schodach, stara się opanować podekscytowanie.

Jej matka pierwsza dopada telefonu. Miała najbliżej, bo akurat wieszala płaszcze pod schodami.

Rose zauważa, że matka porusza się o wiele wolniej. Wszystko sprawia jej taki wysiłek. Jeśli przyspiesza, to za chwilę nie może złapać tchu. Czasami trwa to całymi godzinami.

Kevin i Grace czekają w napięciu.

– Rose, to do ciebie.

Kevin i Grace wycofują się pokonani.

– Dzięki, mamo.

Rose siada na pierwszym stopniu, bierze słuchawkę i czeka, aż mama oddali się wolno w kierunku kuchni; czeka, aż drzwi zamkną się za nią z charakterystycznym kliknięciem.

– Grace, zamknij drzwi! – woła ostro.

Ten brak prywatności działa jej na nerwy. Jakoś nigdy wcześniej tego nie zauważyła, ale teraz wyraźnie ją to złości. Czy naprawdę korytarz jest najlepszym miejscem na telefon?

W końcu zaczyna mówić. Jej serce przyspiesza, ręce wilgotnieją.

– Słucham? – Odpowiedni ton. Niby zdziwiona, tak jakby wcale nie czekała na ten telefon.

– Rose? Mówi Ben. Co słyszeć? Rose czuje wypieki na twarzy.

– W porządku, Ben, a co u ciebie?

Nie może powstrzymać entuzjazmu w głosie. Serce ma ściśnięte, palce zostawiają mokre plamy na czarnym bakelicie.

– Super, dzwonię z Donegal, więc nie możemy za długo gadać.

Rose ogarnia niesamowite szczęście. Taki kawa! z Donegal!

Dalej rozmowa już się klei. Napięcie opada, zresztą Ben jest zdenerwowany tak samo jak ona. Rose jest swobodniejsza, dodaje mu więc odwagi. Nabiera pewności siebie, wie, że Ben zaprosi ją na randkę.

Rose kończy rozmowę, przebąkując coś o kosztach. Jest zadowolona, że ich pierwszy kontakt odbył się przez telefon, jakoś to łatwiejsze niż spotkanie twarzą w twarz. Żegnają się. Rose delikatnie odkłada słuchawkę.

Piątek, spotkają się w piątek. Pierwszy raz pójdzie z nim na randkę. Pierwszy raz w ogóle pójdzie na randkę. Nie tylko Ellen w tym domu będzie miała chłopaka.

Nagle Rose poczuła się dorośle, kobieco. Jezu, ale co na siebie włoży?

Zapragnęła towarzystwa mamy. Idzie w stronę kuchni.

Mama szoruje w zlewie młode ziemniaki. To jeden z tych dni, kiedy wszyscy jedzą obiad o pierwszej i nikt nie nazywa tego lunchem. A potem o szóstej i tak gotuje się obiadową kolację. Dziewiętnastoletniej Rose robi się żal mamy harującej od rana do wieczora. Sześć obiadów, sześć obiadowych kolacji i tak w kółko. Rose wierzy, że od życia można oczekiwać czegoś więcej.

– Mogę w czymś pomóc?

– Dziękuję, kochanie. Nakryj do stołu. Tata niedługo będzie w domu.

Przyjedzie rowerem dokładnie o pierwszej na obiad, z powrotem do biura kwadrans po drugiej. Łagodny, rzetelny, zawsze na czas.

Rose coraz częściej zdaje sobie sprawę, ile czułości jest między rodzicami. Dziwi ją, że po dwudziestu pięciu latach wciąż ich na to stać.

– Dzwonił twój chłopak? – Mama wskazuje w stronę telefonu.

Rose czuje, jak znów się rumieni.

– Tak, to był Ben.

Mama nic nie mówi, pozwalając jej dokończyć.

– Umówiliśmy się na piątek wieczorem.

Rose obserwuje matkę, która w jednej ręce trzyma widelce, a drugą wyciera okruszki ze stołu przykrytego ceratą.

Starsza kobieta płucze ziemniaki zimną wodą i wkłada te pękate, żółtawe kulki do gotującej się wody w wielkim garnku stojącym na kuchence.

– Młode ziemniaki do gotującej się wody. Zawsze. Zapamiętaj to. Do zimnej wody wkładaj tylko stare kartofle.

Rose kiwa potakująco.

– Myślisz, że to coś poważnego? – po pewnej chwili pada pytanie.

Rose wzrusza ramionami niezbyt przekonująco.

– Tak naprawdę to sama nie wiem. Dopiero się poznaliśmy. Ale on bardzo mi się podoba.

– Chyba nie muszę ci przypominać, że masz dopiero dziewiętnaście lat, co?

Rose śmieje się.

– Mamo, wyszłaś za mąż jako dwudziestolatka.

– Wiem. Dlatego nie muszę ci przypominać.

Obydwie kobiety uśmiechają się. Margaret wyciera ręce w swój niebieski fartuch i przechodzi do jadalni. Bez słowa przytula Rose.

– Uważaj na siebie i nie oddawaj swojego serca zbyt wcześnie.

Rose jest nieco zmieszana. Dobrze wie, że już oddała serce. Domyśla się, że mama próbuje powiedzieć coś jeszcze, coś o seksie. Rose czuje, jak drętwieją jej palce u nóg, ma nadzieję, że mama nie posunie się dalej.

– Wiesz, że on zawsze jest tu mile widziany. Chętnie go poznamy.

Serce Rose przepełnia się miłością. Jednocześnie odczuwa ogromną falę smutku, kiedy patrzy na matkę, na jej zgięte plecy, na ręce szatkujące kapustę nożem.

Ma czterdzieści pięć lat. Jest już taka stara. Czasami jej twarz wydaje się tak szara jak włosy spięte w kok. Zdarza się, że na jej policzkach pod wpływem złości pojawiają się jaskrawe rumieńce. Rose boi się o nią. Ma też poczucie winy, w pewnym sensie czuje się odpowiedzialna za to, że mama słabnie i gaśnie na ich oczach.

Kończy nakrywać do stołu, talerze wędrują do ciepłego piekarnika, a resztki warzyw lądują w ogrodzie na górze kompostu ojca.

Czuje się taka szczęśliwa. Jest ciepły i jasny czerwiec. Przed nią cały weekend. A dziś wieczorem spotyka się z Marthą. Rose nie może się doczekać, by wydać trochę ze swojej pierwszej tygodniówki.

Grace wpada do kuchni.

– Kto dzwonił? – Podnosi wszystkie pokrywki, by sprawdzić zawartość garnków, nie oczekując odpowiedzi. – Co na obiad? Umieram z głodu!

Rose uśmiecha się do siebie. Obserwując Grace, nagle zdaje sobie sprawę, jak to jest czuć się dorosłym.

Współczuje Grace, która nie ma jeszcze o tym bladego pojęcia.

*Poniedziałek, 3 kwietnia, godzina 9.30*

Rose wydawało się, że droga do domu trwa całą wieczność. Nie mogła przestać myśleć o staruszce z parasolem. Wstyd jej było na myśl o życzliwej twarzy Jane. Ręka jej się trzęsła i miała trudności z trafieniem kluczem w zamek.

Struchlała na dźwięk otwierających się drzwi sąsiadki. To Suzanne.

Nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Poczucie upokorzenia sprawiało jej fizyczny ból. Zatrzymała się w korytarzu, by złapać oddech. Nieprzytomna dotarła do kuchni, udało jej się znaleźć czajnik i filiżankę.

A potem usiadła przy kuchennym stole i zaczęła szlochać. Zalały ją fale żalu i wstydu. Później obeszła niespokojnie dom w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

Poczuła nieodpartą chęć obejrzenia starych zdjęć, sprawdzając przy tym, ile bólu jej to sprawi. Był wszędzie. Ślubne fotografie, zdjęcia szczęśliwej rodziny na wakacjach, pozujące dzieciaki. Ben był wszędzie.

Zadzwoiła do Jane, prosząc, by odebrała Briana i Lisę ze szkoły. Jane nie pytała o nic i zaproponowała, że nakarmi dzieci i zajmie się nimi tak długo, aż Rose po nie przyjedzie. Rose nie mogła nic więcej z siebie wydusić. Odłożyła słuchawkę bez słowa podziękowania.

Przez resztę ranka wałęsała się po domu. Od czasu do czasu na dźwięk klaksonu zamierało jej serce. Musiała go źle zrozumieć. Na pewno wróci. Przeprosi, że wyszedł tak nagle, popłaczą razem i zaczną jeszcze raz wszystko od początku.

Dwukrotnie zamarła w nadziei, kiedy zadzwonił telefon. Jak na

skrzydłach biegła go odebrać. To były telefony do Bena. Za drugim razem miała ochotę powiedzieć: „Przykro mi, ale Ben już tu nie mieszka”, ale i tak zapisała wiadomość, jak to miała w zwyczaju.

Przerażała ją cisza panująca w domu. Każdy kąt niby pełen niego, a teraz obco pusty. Świadomość, jak wiele z jej życia, domu i z niej samej należało do Bena, sprawiała ból.

Do szesnastej jej oczy były już zapuchnięte i czerwone, włosy w totalnym nieładzie, a hektolitry herbaty przelewały się w jej żołądku. Nie mogła powstrzymać łez, choć płacz nie przynosił żadnej ulgi. Odczuwała żal, ale inaczej niż wtedy z Michaeliem. Przepelniało ją poczucie wstydu. Nie potrafiła zatrzymać przy sobie męża. W dodatku on już jej nie kochał. Bezwartościowa kobieta, sama była sobie winna.

Kiedy wszedł Damien, wyczerpana leżała na łóżku. Odwróciła się plecami do drzwi tak, by nie mógł zobaczyć jej twarzy. Ale on nawet jej nie zauważył, przekonany, że matka jest teraz z dziećmi na codziennym popołudniowym spacerze. Słyszała, jak miota się po kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. W końcu tylne drzwi zamknęły się za nim i usłyszała jeszcze, jak zawołał do Johna, mieszkającego obok, że już idzie.

A potem zasnęła. Obudziła się ze sklejonymi powiekami, zaschniętymi ustami i z pulsującą bólem głową. Powoli zwlokła się z łóżka. Namoczyła gąbkę w zimnej wodzie i przyłożyła ją do oczu. W kuchni połknęła dwie tabletki przeciwbólowe, popijając je szklanką wody. Czas przywieźć Briana i Lisę. Damien powinien już siedzieć w domu nad lekcjami. Poszuka go w drodze do Jane.

Obiad. Nie było nic na obiad. Ben uwielbiał jeść, więc Rose do



mistrzostwa opanowała sztukę gotowania. Przez dwadzieścia lat, z wyjątkiem wakacji, gotowała dzień w dzień. Obiady niedzielne stały się doskonale wyreżyserowanymi przedstawieniami. W ciągu tygodnia Ben lubił dobrze zjeść – treściwy posiłek, prosty deser i kieliszek lub dwa dobrego wina. Sprawiało mu to tyle przyjemności, że Rose z ogromną radością przygotowywała wszystko dokładnie na osiemnastą.

Nie chciało jej się jeść, ale dobrze wiedziała, że Damien będzie umierał z głodu. Wyciągnęła z zamrażarki domowe lasagne, czekające na czarną godzinę. Dzieciaki uwielbiały jeść makaron, kiedy tata wyjeżdżał w interesach.

W ponurym nastroju obrała dwa ziemniaki i otworzyła kuchenkę mikrofalową. Usłyszała klucz Damiena w drzwiach. Wyglądało na to, że syn ma zamiar zjeść całą górę makaronu.

## *Czerwiec 1972*

Ellen leży na łóżku i czyta. Rose jest bez powodu wściekła, że starsza siostra została w domu. Przecież zawsze wychodzi w piątkowe wieczory.

– Pokłóciłaś się z Richardem? – swobodnie pyta Rose.

– Nie twój interes.

Rose marzy się własny pokój. Chce się przygotować powoli. Chce się napawać radosnym oczekiwaniem.

Zaczyna przeszukiwać szafę. Rzeczy są byle jakie i niemodne. Nic nie będzie pasować. Nie ma co na siebie włożyć.

Ellen czyta dalej. Pokój zaczyna się wypełniać złością Rose. Wściekle przesuwa ubrania na wieszakach, wpychając je na tył ciężkiej, starej szafy. Z trudem zamyka drzwi.

– Możesz nałożyć moje nowe džinsy i marynarkę, jeśli chcesz.

Ellen odłożyła książkę i przygląda się siostrze.

– Co?!

Ellen wzrusza ramionami, udając obojętność.

– Powiedziałam wyraźnie: pożycz džinsy i marynarkę, jeśli chcesz. J a nigdzie dziś nie idę.

Rose jest zbyt szczęśliwa, by podchwycić kontekst.

– Jesteś pewna?

Czuje, jak w środku rozpiera ją szczęście. Ellen znów wzrusza ramionami.

– No jestem. Mam tylko nadzieję, że on jest tego wart – dodaje gorzko.

*Poniedziałek, 3 kwietnia, godzina 18.30*

Jane otworzyła drzwi, jak tylko Rose zapukała.

– Wejdz, Rose. Uważaj na bałagan.

Rose przecisnęła się między kolorowymi stertami klocków Lego i garażem z pudełek po pampersach. Z dużego pokoju dobiegł wrzask, a chwilę potem zagłuszył wszystko telewizor. Muzyka z serialu *Sąsiedzi* dudniła w całym domu.

Jane pchnęła drzwi stopą w wynoszonym kapciu, odpychając na bok sterty samochodów i statków.

– Przyciszcie telewizor! Brian i Lisa, chodźcie przywitać się z mamą.

– Hej, mamó. Możemy oglądnąć *Sąsiadów*? Jane mówi, że tak, jeśli ty powiesz tak.

– Pewnie. – Rose zgodziła się z uśmiechem.

To nie był właściwy czas, by rozważać kwestię poprawności politycznej australijskich seriali. Jane roześmiała się.

– Czy to nie miłe powitanie? Człowiek myśli, że usychają za nim z tęsknoty, a tymczasem byle co w telewizji jest lepsze niż mama. Chodź, ja dla odmiany siedzę w kuchni.

Czasami Rose nie mogła znieść bałaganu panującego w domu Jane. A dziś działał na nią kojąco. Czwórka dzieci poniżej dwunastu lat, mąż wiecznie nieobecny, cierpiąca teściowa na piętrze i praca na pół etatu. Rose pomyślała, że gdyby jej przyszło to wszystko dźwigać, to pewnie by zwariowała.

– Siadaj, Rose. Mamy pół godziny gwarantowanego spokoju. Jima nie

ma, a mama odpoczywa na górze. Masz ochotę na filiżankę kawy?

Rose właściwie nie przywitała się jeszcze z Jane. Nie mogła na nią nawet spojrzeć. Jeśli Jane cokolwiek zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać. Teraz musiała odpowiedzieć. Po raz drugi tego dnia nie mogła wydusić z siebie słowa.

Przerażona zaczęła cicho płakać; wielkie łzy spadały na stół, gdzie trzymała łokcie, oczy zasłoniła rękoma.

Jane poczekała, aż potężny, powstrzymywany szloch został opanowany. Pocałowała Rose w głowę i podała jej garść chusteczek. Rose spojrzała na nią, duszący ból w klatce piersiowej łagodził jedynie rzęsy płacz. Kiedy jedna fala bólu została pokonana, nadchodziły kolejne, które zaraz wypływały zewsząd – z oczu, nosa, ust.

Potem uśmiechnęła się, próbując zbagatelizować całą sprawę.

– Ben odszedł ode mnie dziś rano. Powiedział, że już mnie nie kocha.

Ból w klatce piersiowej przypomniawszy o sobie potężnym skurczem. Jane trzymała ją, dopóki Rose nie przestała płakać. Potem usiadła obok niej przy stole i spokojnie wzięła ją za rękę.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Jest mi bardzo przykro. Chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

Rose kiwnęła potakująco. Dobrze będzie wyrzucić to z siebie i przyjrzeć się wszystkiemu z boku. Może nie było tak źle. Może to tylko jedna z tych okropnych kłótni, z których za jakiś czas będzie można się pośmiać. Zaciekła walka, której Ben i Rose nigdy ze sobą nie stoczyli. Opowiedziała Jane całą prostą historię, zdając sobie sprawę, że wcale nie była ona taka prosta. Kiedy tylko podzieliła się swoimi przeżyciami, nabrała przekonania, że to naprawdę się stało, ale jednocześnie poczuła

ulgę. Nawet dokuczliwe poczucie wstydu stopniało pod wpływem pełnego przerażenia wzroku Jane.

– Wygląda na to, że to już koniec. Powiedział, że jest nieszczęśliwy i że odezwie się, kiedy wróci. I to już wszystko.

– Nie chciał nawet o tym porozmawiać?

– Stwierdził, że próbował ze mną rozmawiać przez ostatnie lata. Sama już nie wiem, co bardziej boli – świadomość tego czy to, że już mnie nie kocha.

– A dokąd pojechał?

– Słucham?

– Powiedziałaś, że odezwie się, kiedy wróci. Dokąd wyjechał? Rose rozejrzała się dookoła. Bezwiednie zapamiętywała wszystkie szczegóły z kuchni Jane.

– Nie wiem. Nic nie powiedział. A ja, Boże drogi, ja nie zapytałam.

Za drzwiami wybuchła jakaś wściekła sprzeczka. Jane zerwała się z krzesła i dopadła klamki w momencie, kiedy Kate, jej najmłodsza córka, wbiegła właśnie do kuchni, zanosząc się histerycznym płaczem.

– Uspokój się natychmiast – rozkazała Jane. – Alison, proszę zabrać Kate na górę, pomóż jej przebrać się w piżamę i postarajcie się przy tym nie zbudzić babci. Derek, marsz na korytarz, porozmawiamy tam za chwilę. James, chcę cię natychmiast widzieć w łóżku. Żadnych dyskusji.

Rose uśmiechnęła się do siebie, kiedy wrzaski ucichły. Z korytarza dobiegały ściszone głosy. Ton Jane był ostry. Wróciła do kuchni i zamknęła drzwi.

– Kate jest na górze, więc nikt nie będzie im przeszkadzać; powinno być teraz trochę spokojniej. Na czym skończyliśmy?

– Nie mam pojęcia, dokąd pojechał mój własny mąż. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdołałam nawet o tym pomyśleć.

Jane przytaknęła.

– Wiesz, gdzie trzyma paszport?

– Tak, w swoim biurku, a ja mam zapasowe klucze. Zaraz po powrocie do domu sprawdzę, czy jest na miejscu.

Ustalenie, dokąd pojechał Ben, nagle stało się bardzo ważne. Rose musiała dowiedzieć się, gdzie teraz był jej mąż, nawet jeśli nie zamierzał już do niej wrócić. A gdyby coś się stało podczas jego nieobecności... ? Co? Co on by zrobił? Co ona miałaby zrobić?

Wiedziałyby, gdzie szukać Bena, tego Bena, którego знаła kiedyś. Tamten Ben był zawsze przy niej, tak jak wtedy, kiedy Damien miał zapalenie opon mózgowych. Natychmiast przyleciał z powrotem z Londynu tylko po to, by być z nimi w domu, mimo że niebezpieczeństwo minęło.

Ale ten Ben, który wyszedł dziś z torbą? Nie mógł tego zrobić pod wpływem chwili, jak jej się na początku wydawało. Miał gdzie pojechać, wszystko wcześniej zaplanował. A mimo to nic nie powiedział, nie dał jej nawet szansy, by mogła zrozumieć powody, dla których ją zostawił. Po dwudziestu latach można by oczekiwać czegoś więcej.

Rose miała wrażenie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Jej własne ciało stało się obce. Słowa „opuszczona żona” tańczyły przed oczyma. Kiedy się otrząsnęła, zobaczyła, jak Jane otwiera butelkę wina i nalewa jej kieliszek. Zaczęła protestować.

– Nie, dziękuję, dzieci...

– Wypij to albo przemówię do ciebie jak moja mama. Dzieciakom nic

do szczęścia nie brakuje. Derek poszedł wypożyczyć film. Lisa i Brian mogą tu nocować, spanie razem w łóżku ten jeden raz im nie zaszkodzi. Potem mogę ich zawieźć do szkoły, a ty będziesz miała trochę spokoju. Kiedy wszystko sobie jakoś ułożysz, to zabierzesz dzieciaki z powrotem.

Rose przytaknęła, bojąc się cokolwiek powiedzieć na głos.

– Porozmawiam z nimi za chwilę. Mogę zadzwonić do Damiena?

– Pewnie.

Rose przemówiła beztróskim tonem. Damien wydawał się zadowolony, że przez kolejne kilka godzin będzie miał dom tylko dla siebie. Rose walczyła ze sobą przez moment, ale w końcu doszła do wniosku, że jeśli chłopak cokolwiek kombinował, to dziś wieczorem zostanie to jego tajemnicą.

– Na zdrowie – chyba że znasz coś bardziej odpowiedniego.

– Na zdrowie może być. Dzięki, Jane. To naprawdę pomaga, jeśli możesz o tym komuś powiedzieć. Nie mogę tylko pojąć dlaczego. Dlaczego teraz? Dlaczego nie zorientowałam się, że jest tak bardzo źle?

– Zostaw te rozważania na później. Najważniejsze, żebyś się pozbierała. Otocz się swoimi przyjaciółmi, zadbaj o siebie i dzieci. Masz mnóstwo spraw do załatwienia, nawet jeśli Ben wyjechał tylko na parę tygodni.

Rose spojrzała na nią przerażona.

– Jezus Maria, nie mam pieniędzy. To Ben trzyma rękę na kasie. Co zrobię, jeśli zostawił mnie z niczym?

Jane uspokoiła ją.

– To mało prawdopodobne, Rose. Idź rano do banku i zobaczysz, że wszystko będzie w porządku, jestem tego pewna.

– Boże drogi, Jane, dziś o ósmej rano miałam szczęśliwą rodzinę i męża, którego kochałam. Dwanaście godzin później wszystko szlag trafił, a ja siedzę i rozmyślam, czy Ben mógłby okazać się takim draniem i zostawić mnie bez grosza.

Rose nie zdradziła, o czym jeszcze myślała. To nie mogło przydarzyć się jej. Takie rzeczy przytrafiają się innym ludziom, takim, którzy mieszkają w ciasnych domach, z gromadą dzieci na karku, z grzybem na ścianach i odciętym prądem. Takie rzeczy nie dotykały poważnych i przyzwoitych rodzin, w których każdy znał zasady gry i przestrzegał ich wiernie przez dwadzieścia lat. To nie przydarzyło się jej.

Jane wzniosła toast.

– A teraz zaplanujmy jutrzejszą kampanię. Najgorsze, co możesz zrobić, to nic nie robić. Lepiej już dowiedzieć się czegokolwiek, niż tkwić w ciemnościach.

Rose wzięła zeszyt i długopis wręczony przez Jane i razem zaczęły układać listę spraw do załatwienia, zanim Rose się dowie, jak będzie wyglądała reszta jej życia.

I tak nadszedł wieczór pierwszego dnia.



## *Czerwiec 1972*

Dzwony Elle pasują na nią jak ulał. A nowe buty na koturnach przestały uwierać, Rose czuje się wysoka, pewna siebie, zupełnie tak, jakby pożyczyła od siostry jej osobowość.

Rose czeka, aż Ben zatrzyma samochód, Grace, która za kilka dni odbierze swoje świadectwo, stoi na straży. Piszczycy tak głośno, że Rose chwyta ją za kołnierz i odciąga od okna.

– Zamknij się, Grace! – krzyczy wściekła. – Czy cała ulica musi ciebie usłyszeć?

Nie chce, by Ben wszedł do środka, jest na to jeszcze za wcześnie.

Chwyta torebkę leżącą na pierwszym stopniu.

– Cześć wszystkim!

I już jej nie ma.

Ben wysiada z samochodu i gdy ona się zbliża, on opiera łokcie o błyszczący dach. Rękawy koszuli ma podwinięte, na twarzy okulary słoneczne, krawat niedbale przekrzywiony.

Rose ma wrażenie, że zaraz umrze z miłości.

Mądry, ambitny Ben. Dwadzieścia dwa lata, czterdzieści funtów tygodniowo i służbowy samochód. Do wszystkiego doszedł sam. I wierzy, że zajdzie jeszcze dalej. Wie też, że chce Rose.

W drugi czerwcowy piątek 1972 roku Ben Holden z satysfakcją stwierdza, że całe życie ma przed sobą.

Nie widzi żadnych przeszkód, a jedynie szanse, które migoczą dookoła, zupełnie jak światła przy drodze do domu, ciągnące się z Howth Summit

w kierunku centrum miasta.

*Wtorek, 4 kwietnia, godzina 6.30*

Rose obudziła się wcześnie. W domu, bez Briana i Lisy, panowała cisza. Damien jeszcze spał. Niedługo go obudzi. Nie wiedziała, czy powinna wyjawic mu prawdziwy powód wyjazdu ojca. Nie miała pojęcia, co mu właściwie powiedzieć. Później coś wymyśli.

Weszła pod prysznic. Zmyła z siebie ociężałość poprzedniego dnia. Dwadzieścia trzy godziny. Jedna godzina za każdy rok spędzony z Benem. Dławiący ból w” klatce piersiowej ustał. Przede wszystkim pragnęła dowiedzieć się prawdy.

Ubrała się, wysuszyła włosy, zrobiła makijaż. Oczy miała wciąż nieco zapuchnięte, ale wyglądała wystarczająco dobrze, by spojrzeć ludziom w twarz i uporać się z tym, co miała do załatwienia. O wpół do ósmej zawołała Damiena na śniadanie. Smarowała chleb masłem, kiedy wszedł do kuchni w pizamie, ziewając i drapiąc się w głowę.

– Damien, wiesz, że ojciec nie lubi, kiedy siadasz do śniadania w pizamie. Umyj i ubierz się najpierw.

Dopiero po chwili zreflektowała się, co powiedziała.

– Przecież dziś go tu nie ma, co? – Damien wyszczerzył się do niej.

Do diabła. Nie było sensu teraz się o to kłócić.

– Brian i Lisa zostali u Jane na noc. Rozgadałyśmy się i nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło się bardzo późno. Smakowała ci kolacja?

Damien odpowiedział z ustami pełnymi płatków śniadaniowych. Kolejny zwyczaj, którego Ben nie cierpiał. Rose pozostawiła to bez komentarza.

– Idziemy na basen po szkole. Dasz mi pieniądze?

Rose wręczyła mu pięć funtów, zostawiając sobie drobne na parking.

– Być może będziesz musiał zająć się dzieciakami wieczorem. Nie umawiaj się nigdzie po kolacji.

– Czy John może do mnie wpaść? Rose kiwnęła.

– Tak, ale tylko on. Brian i Lisa zasnęli wczoraj bardzo późno. Jeśli dziś nie pójdą do łóżka wcześniej, to rozniosą cały dom. Kiedy zamierzasz odrobić lekcje, skoro przychodzi do ciebie John?

– Odrobimy je razem. Naprawdę – zapewnił, łapiąc jej spojrzenie. – I tak musimy wspólnie przygotować prezentację na historię.

– No dobra. Bylebym z tobą nie miała dodatkowych problemów.

Damien przyjrzał jej się uważnie.

– Wszystko w porządku, Ma?

– Tak. Muszę uporządkować trochę spraw związanych z twoim tatą, więc będę bardzo zajęta przez te parę dni podczas jego nieobecności. Potrzebna mi twoja pomoc.

Tyle mogła powiedzieć, by nie musieć kłamać. Jeśli dałoby się kupić więcej czasu do piątku, to nic więcej nie musiałyby tłumaczyć.

– Czy mam rozumieć, że z mojego wyjścia na dyskotekę w piątek wieczorem nici?

– Nie o tym teraz rozmawiamy, Damien.

– Czwartek? Czy do czwartku mogę liczyć na odpowiedź? Dwa dni. Nie musi podejmować decyzji w tej kwestii przez dwa dni.

– Dobra – zgodziła się.

Jak tylko wyszedł do szkoły, Rose zaczęła swoje poszukiwania. Rozsadzała ją energia, całe ciało rwało się do pracy. Miała przedziwne

wrażenie, że wstała po długim, hipnotyzującym śnie.

Paszportu nie było. W szufladzie znalazła swój i Damiena, leżące tam od zeszłorocznych wakacji. Ale paszportu Bena nie było. Otworzyła szafkę na dokumenty i wyjęła wyciągi z kart płatniczych Visa i American Express. Ben pomyślał o wszystkim. Z rachunku American Express nic nie wskazywało na wyjazd. Zaczęła studiować wyciągi z karty kredytowej Visa. Ben zawsze płacił na czas, żeby przypadkiem nie potracono mu odsetek. Kredyt został spłacony w zeszły piątek, przynajmniej taką datę miał stempel kasjera.

A potem jej wzrok padł na konkretną transakcję. Oparła się o biurko, czując, jak ugięły się pod nią nogi.

Biuro turystyczne Hedigan. Tysiąc sześćset funtów. Siódmy marca. Dziś był czwarty kwietnia. Niemalże od miesiąca dokładnie wiedział, co zamierza zrobić. A ona, prima aprilis, dała się na wszystko nabrać.

Poczuła wściekłość, oczy znów napęłniły się łzami. Już prawie przestała mieć nadzieję, że to tylko pomyłka i wszystko da się jeszcze rozsądnie wytłumaczyć. Zadzwoiła do Jane.

Przyjechała pięć minut później. Rose pokazała jej rachunek Visy.

– Wiesz, dokąd pojechał? Rose potrząsnęła głową.

– Nic nie jest napisane.

– Wiem, że nie napisali dokąd, ale możemy, to znaczy, ja mogę zadzwonić do tego biura i się dowiedzieć.

– Naprawdę mogłabyś? – wyszeptała Rose. Jej ręce znów zaczęły się trząść.

Jane szybko znalazła numer i wykręciła go.

– Dzień dobry, mówi Jane Kennedy, sekretarka pana Bena Holdena. W

zeszłym miesiącu, siódmego, zarezerwowaliśmy u państwa bilety i niestety, pan Holden zapomniał zostawić mi fakturę dla księgowości. Czy mogłaby pani przesłać mi kopię? Tak, zaczekam chwilę. Malaga, tak, zgadza się. Od trzeciego do siedemnastego kwietnia. Oczywiście dla dwóch osób. Tysiąc sześćset funtów. Czy mogłaby pani przesłać mi ten rachunek na domowy adres pana Holdena? Stokrotnie dziękuję. Tak, wystarczy w czwartek. Jeszcze raz dziękuję.

Jane odłożyła słuchawkę.

– Sama słyszałaś. Rose kiwnęła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że on to naprawdę zrobił. Lepiej jak od razu pójść do banku.

– Chcesz, żebym odebrała dzieciaki ze szkoły?

– Dzięki, Jane, ale nie. Chyba będzie lepiej, jak pewne rzeczy zostaną po staremu. Ale nie miałabym nic przeciwko kieliszkowi tego pysznego wina, kiedy dzieciaki pójdą spać.

Jane przytuliła ją.

– Będę na ciebie czekać. Zagonię całe moje stado wcześniej do łóżka. Jima i tak nie ma do czwartku, więc nie musisz się o niego martwić. Poza tym byłby wniebowzięty, że może wyrwać się z Joem na piwo.

Rose zastanowiła się nad tym przez chwilę. Ben nigdy nie miał żadnych przyjaciół. Upierał się, by po ciężkiej pracy wracać prosto do domu. Owszem, zdarzały mu się spotkania w interesach albo czasami dotrzymywał towarzystwa klientom, ale robił to rzadko. Tak bardzo lubił siedzieć w domu, że z czasem Rose przyzwyczaiała się, by przebywać zawsze tam, gdzie i on.

Nigdy jej to nie przeszkadzało. Była przecież szczęśliwa. Co do tego

nie miała żadnych wątpliwości.

## *Sierpień 1972*

Rose i Ben jadą rowerami. Jest niesamowicie gorąco. Rose uwielbia jazdę na dwóch kółkach. Ubóstwia to wyzwanie, gorąco, wiatr na twarzy, żywiołowy pęd. Dotarcie do mety nie liczy się tak bardzo.

Ben pedałuje tuż przed nią. Patrząc na jego plecy, Rose widzi, jak jest mu gorąco. Biała koszula lepi się do jego pleców. Ben jest nieco ociężały i zwykle opiera się naleganiom Rose, by pojechali gdzieś razem. Dzisiaj łaskawie zgodził się na wspólny wypad. Ale Rose dobrze wie, sądząc po jego sztywnych plecach, że chłopak jest wyraźnie niezadowolony.

Ben sygnalizuje skręt w lewo i gwałtownie zwraca rower w kierunku wejścia na molo Howth. Rose potulnie podąża za nim. Są parą zaledwie od kilku miesięcy i ich dotychczasowe kłótnie nie miały większego znaczenia. To nie były nawet kłótnie; drobne sprzeczki, nic poważnego. Zaraz o nich zapominali. Rose przeczuwa, że teraz będzie inaczej.

Ben wyjmuje paczkę papierosów i zapala jednego, kaszląc przy tym chrapliwie, jak to ma w zwyczaju. Ona nienawidzi ani zapachu, ani samego widoku papierosów, poza tym nie cierpi palców z nikotynowym nalotem. A ponad wszystko nie może znieść, że Ben pali. Jeszcze mu o tym nie powiedziała, wciąż czeka na odpowiedni moment.

– Nie waż się – cedzi Ben i dla wzmocnienia efektu zaciąga się powoli papierosem, tak by raz na zawsze dotarło do niej to, co ma do powiedzenia – nie waż się nigdy więcej prosić mnie, byśmy pojechali gdzieś rowerami.

I tyle. W pewnym sensie Rose odczuwa ulgę, że chodziło tylko o t o, że obyło się bez robienia scen. Ben nie wygląda na wściekłego, ale nie ma też



ochoty na dalszą rozmowę. I tak nie bardzo wiadomo, co można by jeszcze powiedzieć.

– Gotowa?

Wyrzuca niedopałek, wraca na drogę i rusza w kierunku Clontarf. Jako pokutę narzuca swe ślimacze tempo.

Rose nigdy więcej nie wspomina o jeździe na rowerze.

*Wtorek, 4 kwietnia, godzina 10.30*

Jack Morrissey zachowywał się bardzo uprzejmie. Natychmiast poprosił Rose do swego biura i zaproponował filiżankę kawy. Zgodziła się, a ból głowy przypominał jej, że nie jadła jeszcze śniadania.

Swoje przemówienie ćwiczyła w kółko pod prysznicem. Trudno było dojść do sedna sprawy. Bycie asertywną w towarzystwie ręcowników to jedna sprawa. Konfrontacja z garniturem w oficjalnym otoczeniu – to już zupełnie coś innego.

– Słucham, pani Holden, w czym mogę pomóc?

Rose miała przedziwne uczucie, że bankowiec zwrócił się do kogoś zupełnie innego. Z wysiłkiem zaczęła mówić.

– Nie najlepiej układa się nam ostatnio z Benem.

Nie! Nie tak zaplanowała rozpoczęcie przemówienia. Miała brzmieć bardziej oficjalnie. Trudno, musi już tak zostać. Szkoda, że nie może zacząć jeszcze raz.

– Doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem będzie separacja. Być może potem podejmiemy kolejne decyzje.

Czy tak brzmiało lepiej? Zauważyła, że Morrissey szykuje się do wyklepania pełnych współczucia formułek.

– Jak to czasami bywa, Ben musiał nagle wyjechać w interesach w poniedziałek, więc moim zadaniem jest sprawdzenie, jak się mają finanse firmy.

Niedobrze, bardzo niedobrze. Rose zaczęła się pocić. Na szyi i czole poczuła palące wypieki.

Jack Morrissey w obrotowym fotelu kręcił się nieznacznie na boki, uderzając przy tym złotym ołówkiem o blat biurka.

– Oczywiście mogę pokazać wyciąg z waszych wspólnych kont, pani Holden, ale rozumie pani, że pewne informacje dotyczące firmowego konta pani męża są poufne.

– Ale to ja jestem szefem firmy, panie Morrissey. Proszę bardzo, niech pan spojrzy – na papierze firmowym figuruje moje imię.

Rose chwyciła gwałtownie torebkę, rozsypując monety, papiery i szminkę po całym pokoju.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię, a przede wszystkim nie zachowywać się w ten sposób.

Morrissey podniósł rękę.

– Nie ma potrzeby, pani Holden. Natychmiast przygotuję dla pani stosowne rozliczenia, proszę chwilę poczekać.

Wyszedł z pokoju, a Rose wypiła łyk letniej kawy. Co miał na myśli, mówiąc „firmowe konto męża”? Przecież mieli depozyt, konto bieżące i konto firmowe Finehold, wszystkie wspólne, zapisane na nich oboje. Co rozumiał przez „jego konto firmowe”?

Kiedy Czekąła na powrót prezesa, gorączkowo rozmyślała, kogo mogłaby poprosić o pomoc, by się z tym wszystkim uporać. Nie wiedziała jeszcze dokładnie, jakich rad będzie potrzebować, ale instynktownie czuła, by trzymać się z daleka od wspólnych znajomych. Czy będzie musiała poradzić się adwokata? A jeśli tak, to gdzie ma szukać kogoś dobrego? Wyglądało na to, że ostatnie pięć funtów dała rano Damienowi na basen.

Jack Morrissey wrócił, w ręce miał pęk wydruków, a pod pachą trzymał grubą, skórzaną teczkę.

– A więc, pani Holden, oto wydruk z waszego depozytu – powiedział, wręczając jej pierwszy papier.

Rose złożyła wydruk, nie patrząc na niego.

– To wasz wspólny rachunek bieżący, a to firmowe konto Finehold. Mam nadzieję, że wszystko się zgadza. Jeśli będzie miała pani dodatkowe pytania, zawsze służę pomocą.

Rose zdawała sobie sprawę, że ją ponaglał. Sama chciała już wyjść, zamknąć się w gabinecie i dokładnie przestudiować każdy milimetr wydruków. Boże, spraw, żeby starczyło pieniędzy choćby tylko na kolejne dwa tygodnie. Z premedytacją i przekorą opóźniała swoje wyjście, dokładnie składając wydruki i układając je w pierwszej przegrodzie torby. Dopiero kiedy była w pełni gotowa, wstała. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się do Jacka Morrissey'a, który wyglądał teraz na niezbyt zadowolonego. Bez przerwy łapał się za węzeł perfekcyjnie zawiązanego krawata. Rose odczuła satysfakcję.

– Dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

Sama otworzyła sobie drzwi, odwróciła się i spojrzała na niego przez ramię.

– Skontaktuję się z panem pod koniec przyszłego tygodnia. Dopiero na parkingu zaczęła się trząść.

Czuła, że jej bluzka przykleiła się do pleców, a po nogach ściekał pot. Rzuciła marynarkę na tylne siedzenie i wyjęła bluzkę zza paska. Jadąc wzdłuż wybrzeża, otworzyła okno, wdzięczna za orzeźwiający powiew wiatru. Przez głowę przelatywało jej mnóstwo nedorzecznych myśli.

Ostatnie dwadzieścia lat wydawało się kompletnie nierealne, a Ben stał się odległym wspomnieniem. Rzeczywistość zaczęła się o ósmej rano w

poniedziałek. Kompletne załamanie towarzyszące jej przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny zmieniło się teraz w wolę przetrwania, w pragnienie, by wyjść z tego obronną ręką. To było nawet ważniejsze niż to, co ma powiedzieć dzieciom. Jak tylko zatrzymała się na światłach, sięgnęła po torebkę, by rzucić okiem na wydruki, ale nie zdążyła, bo natychmiast zapaliło się zielone światło, a za nią rozległy się ponagląjące piski klaksonów.

Rose wrzuciła ze zgrzytem pierwszy bieg, zupełnie ignorując nieprzyjemny dźwięk. Kto by się teraz przejmował takimi rzeczami? Zadziwił ją fakt, że ruch uliczny nadal trwał, a samochody jak zwykle przesuwają się wzdłuż ulic. Ludzie pojawiali się i znikali, załatwiając swoje codzienne sprawy. Nikt nic nie wiedział o nieszczęściach i dramatach osób przechodzących obok.

Podobnie czuła się, kiedy zmarła jej matka, wkrótce po zaręczynach. A potem z Michaelem. Przepęniała ją złość, że życie toczyło się bezlitośnie dalej, zupełnie tak, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło. Jakim prawem mleczarze rozwozili mleko, listonosze wsiadali i zsiadali z rowerów, a matki przyprowadzały dzieci do szkoły, gdy ona dopiero co patrzyła, jak zamyka się trumna?

Gotowano obiady, drzewa kwitły, ludzie przestali wydzwaniać z kondolencjami i stopniowo, a w końcu z poczuciem straty i bólem dalej szła przez życie. Zadzwoiła przyjaciółka, wspomniała o placku we wtorek. Pośród całego tego nieszczęścia ktoś gdzieś przygotował posiłek. Mimo że świat się właśnie zawalił.

Jak tylko zamknęła za sobą drzwi, zrzuciła z siebie spódnicę. Boże, było jej tak bardzo gorąco, cała się kleiła. Maksymalnie odkręciła wodę na

prysznic, dodając tyle zimnego strumienia, ile tylko była w stanie wytrzymać. Dysząc ciężko, pozwoliła, by woda spływała po niej silnym strumieniem; stała tak długo, aż jej palce zaczynały przypominać suszone owoce, a końcówki stały się białe i pomarszczone.

Musi coś zjeść. Dokładnie się wytarła, przywracając krążenie. Z zaciekawieniem weszła na wagę. Nie wierząc własnym oczom, zeszła i ustawiła wagę w innej pozycji. Spróbowała jeszcze raz. Pięć funtów. Rzeczywiście, wydawało jej się, że spódnica leży luźniej. O ironio, roześmiała się sama do siebie. W końcu nie najlepiej jej się ostatnio powodziło. Jeszcze trochę i będzie ważyć tyle, ile w dniu swojego ślubu, akurat na powrót Bena.... Pohamowała się.

– Co za myśli tłuką mi się po głowie w takiej chwili? – powiedziała głośno, wpatrując się w swoje odbicie i poklepując ciemne worki pod oczyma.

Zmusiła się, by nałożyć na twarz delikatny makijaż, choć miała wrażenie, że wygląda jeszcze gorzej. Za parę godzin będzie musiała odebrać dzieciaki.

Zastanawiała się, ile innych matek, które widywała w szkole, chowa swoje prawdziwe ja pod maskami makijażu – na policzkach koralowy, pudrowy róż, oczy podkreślone kredką w kolorze spalonego szafiru, usta pomalowane zgaszoną, cynamonową szminką. Już same nazwy kolorów nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Rose zamknęła drzwi łazienki, zawiązała mocno szlafrok i udała się do kuchni na poszukiwanie czegoś, czym mogłaby zapełnić żołądek w porze lunchu.

## *Marzec 1974*

Marcie nie podoba się sposób, w jaki Ben Holden przejmuje kontrolę nad wszystkim dookoła. Jego obecność czuć wszędzie, wślizguje się nawet na spotkania przyjaciółek. Ale musi uważać. Rose lubi Bena, a przecież to właśnie z Rose przyjaźnią się jeszcze od przedszkola, kiedy to poznały się w grupie maluchów. Martha nie ma chłopaka, ani nawet kandydata ze statusem „wkrótce nim zostanę”. Jej niechęć do Bena może być odebrana jako zazdrość. Ale nie ma zamiaru być piątym kołem u wozu. Zabawne, ale tak się właśnie się czuje, zbędna i na zapas. Trafne porównanie.

Benowi z pewnością zależy na Rose. Martha widzi tę determinację, z jaką zdobywa jej przyjaciółkę. Jest opanowany, spokojny, uprzejmy, pewny siebie do tego stopnia, że czasami wręcz bezczelny. Z żalem zauważa, że ona i Rose oddalają się od siebie.

Pod pretekstem egzaminów i pracy Martha stopniowo wycofuje się z towarzystwa Bena i Rose. Rzadko, raz na parę tygodni, kiedy Ben jest zajęty, dziewczynom udaje się spotkać. To nic nowego dla Marthy, przywykła do takiego obrotu spraw. Kiedy na horyzoncie pojawiają się chłopcy, przyjaciółki schodzą na dalszy plan. Może to i naturalne, w końcu nawet rak należy do zjawisk naturalnych na tej ziemi. Nie musi jej się to podobać.

W dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin Rose i Ben zaręczają się. Rose, jeszcze przed przyjęciem, spotyka się z nią, by podzielić się radosną nowiną.

– Nikomu nie pisałam słowa, Martha. Tak bardzo chciałam, żebyś to

ty pierwsza się o tym dowiedziała!

Rose wyciąga rękę, by pokazać pierścionek zaręczynowy.

– Założę go dopiero na twoją imprezę, ale najpierw chciałam tobie go pokazać.

Martha jest wzruszona jej dziecinną radością, nagle czuje się znacznie starsza od Rose. Wstydząc się tego, co czuje – choć sama nie potrafi dokładnie sprecyzować, co to jest – przytula do siebie przyjaciółkę. Wznosi toast tanim, czerwonym winem.

– Za długie lata szczęścia, Rose. Życzę wam obojgu wszystkiego, co najlepsze.

Przyjaciółki reagują bardzo emocjonalnie. Martha postanawia odsunąć na bok wszelkie wątpliwości. I tak wszystko już postanowione. Nie powie nic, co mogłoby być źle odebrane.

Zamiast tego słucha. Rose godzinami snuje opowieści o Benie i ich planach na przyszłość. Uwielbia go, więc Martha wspaniałomyślnie pozwala przyjaciółce wychwalać Bena pod każdym względem.

Twarz Rose promienieje, jej oczy są pełne nadziei na przyszłość.

– Ben wie, czego chce, a ja wierzę, że mu się uda. Chce jak najszybciej rozkręcić własny interes, więc na początku będę pracować. Już znaleźliśmy dom, który wystarczy nam na pierwsze parę lat. A potem Ben chce wrócić do Howth, jeśli będzie nas na to stać.

Ciekawe, czego ty pragniesz, zastanawia się Martha.

– I wiesz, Martha, oboje pragnęlibyśmy, żebyś była naszą druhną.

Rose powiedziała to niemal nieśmiało. Martha zastanawia się, na ile Rose rozszyfrowała jej uczucia. Zdradza ją to ciągle poczucie winy. Ze wszystkich sił stara się wykrzesać z siebie entuzjazm.



– Jak cudownie, Rose. Miałam nadzieję, że nie zapomnieliście o mnie.

Rose odpręża się natychmiast. Do końca wieczoru rozprawiają na temat wesela.

Kiedy Martha wraca do mieszkania, Karen jest jeszcze na nogach. Martha też nie czuje się senna. Rozmawiają do wpół do trzeciej. Karen świetnie potrafi nadać rzeczom odpowiedni sens. Martha szanuje jej opinie. Zasypia bez poczucia winy.

Nic więcej nie może zrobić. Zdradza Karen swoją niechęć do Bena i natychmiast odczuwa ogromną ulgę. Uważa go za tyrana, najgorszego z możliwych, subtelnego i przebiegłego zarazem; boi się, że Rose przeżyje gorzkie rozczarowanie. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak głęboko w to wierzy, dopóki Karen nie zachęca jej, aby przestała o tym myśleć i czuć się odpowiedzialna za Rose.

– Karen Davis, będzie z ciebie wspaniały lekarz – powiedziała Martha, pochylając się, by zgasić światło.

– A Rose – z tego, co usłyszałam – to świetny materiał na żonę. Prześpijmy się trochę. Przed nami ciężki dzień. Pozwólmy jej samej zdecydować o własnym losie. To jej życie.

I przez wiele kolejnych lat Martha tak właśnie robi.

*Wtorek, 4 kwietnia, godzina 14.30*

Na placu zabaw roilo się od dzieciaków. Lisa podbiegła do niej natychmiast, wyciągając ręce, by się przytulić. Rose pochyliła się i po raz pierwszy od rozstania z Benem mocno przytuliła córeczkę. Bardzo się za nią stęskniła. Brian, który za kilka dni kończył szóstą klasę, był o wiele chłodniejszy w okazywaniu uczuć. Zmierzał do niej, nie spiesząc się, po drodze „przybił piątkę” z co najmniej trzema chłopakami, których twarze Rose rozpoznała. Ci chłopcy trzymali się nieco z boku, sygnalizując w ten sposób swoją wyższość nad resztą.

Ale zauważyła, że syn ucieszył się na jej widok.

– No dobra, moi kochani, w drogę.

Rose otworzyła drzwi samochodu. Zwykle przychodziła po nich pieszo, ale dziś była spóźniona i nie chciała, żeby na nią czekali. W tych dniach ważne było utrzymanie starego porządku.

– Fajnie było wczoraj u Jane?

Brian ożywił się i natychmiast z zapałem zaczął opowiadać, niezrozumiałym dla niej językiem, o jednej z nowych gier komputerowych Dereka, a Lisa próbowała wtrącić choć słowo o wyremontowanym pokoju Alison i Kate.

Rose zamieniła się w słuch, zadowolona, że dzieciaki zdawały się nie wiedzieć i nie podejrzewać.

– Co na obiad?

Jezus, znowu jedzenie. Nawet nie pomyślała o zakupach. Szybko w myślach przejrzała zawartość zamrażarki. Damien zjadł wczoraj lasagne,

co oznaczało, że dla tej dwójki zostało jeszcze po porcji plus pieczony ziemniak. Damienowi zrobi risotto z tego, co znajdzie w lodówce. Ugotuje mu dużo ryżu. W razie czego później poda jajecznicę.

Na listę jutrzejszych spraw do załatwienia pod bardzo pilne musi wpisać zakupy. Zrobi je rano, jak dzieci pójdą do szkoły. W domu nie było płatków śniadaniowych, mięsa ani nic na drugie śniadanie do szkoły. Nie może przestać grać roli zaradnej gospodyni.

Dzieci zjadły obiad na tackach przed telewizorem, a Rose znów zamknęła się w gabinecie. Wyjęła kartki z torebki i wygładziła je.

Na depozycie było tysiąc funtów, osiemset na rachunku bieżącym i siedemdziesiąt tysięcy dwieście debetu na koncie firmowym Finehold.

Rose spojrzała raz jeszcze. Serce zamarło jej na dłuższą chwilę.

Ben ani słowem nie wspomniał o tak dużym debecie. Z tego, co rozumiała, w firmie wszystko układało się dobrze. Może tak duży debet świadczył o tym, że sprawy miały się bardzo dobrze? Skąd mogła wiedzieć? Szkoda, że nie miała pojęcia o prowadzeniu interesów.

Ben był zwolennikiem rygorystycznie określonego podziału obowiązków. Ona zapisywała wiadomości, podawała obiady wpadającym pracownikom, odbierała ludzi z lotniska, odwoziła ich na dworzec lub do domu, jeśli wypili za dużo wina – w gruncie rzeczy same nieistotne zadania, szczegóły, którymi Ben nie zawracał sobie głowy. Taka praca i trójka dzieci zapewniały jej zajęcie przez te wszystkie lata. Teraz pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby tak nie latała, a bardziej zaangażowała się w sprawy firmowe.

Rose zrobiła krótki rozrachunek. Zawsze to ona czuwała nad finansami, aż dwa lata temu, zupełnie nagle, Ben zwolnił ją z tego obowiązku,

twierdząc, że zatrudnił księgowego. Zgodziła się i jeśli potrzebowała pieniędzy na bieżące wydatki, to po prostu wypłacała je z banku.

Nie należała do rozrzutnych kobiet, zawsze z namysłem robiła zakupy. Była wdzięczna za finansową stabilizację i w jakiś sposób chciała mieć w niej swój udział. W duchu była niezmiernie dumna z tego, jak dobrze potrafi dysponować pieniędzmi, ale Ben machał ręką na zakupione przez nią okazjnie czy z promocji towary. Uprzejmie się tym nie interesował, więc to ona wzięła na siebie obowiązek edukacji finansowej dzieci. Propagowała bardzo surową politykę wydatków i oszczędności, która miała swoje znamienne wzloty i upadki, szczególnie w przypadku Damiena.

Jej najstarszy syn potrafił wydawać pieniądze w sposób, który wprawiał ją w osłupienie. Dżinsy za Pięćdziesiąt Funtów. (Nic nie mogła poradzić na to, że ta porażająca dla niej suma jawiła się jej wielkimi literami – właśnie tyle zarabiała tygodniowo, łącznie z nadgodzinami, zanim wyszła za mąż). Potem adidasy, znów cena przyprawiająca o zawrót głowy. W końcu poszli na kompromis – ona dokładała do jego niezbędnych zakupów trzydzieści funtów, a Damien pokrywał resztę z własnych oszczędności. Woląta nie wiedzieć, ile dokładnie wynosił jego wkład.

Rata za dom wypadła na dwunastego. Poza tym potrzebowała pieniędzy na prąd, gaz, telefon, benzynę, jedzenie i wszelkie nieprzewidziane wydatki. Z grubsza oszacowała potrzebną kwotę. Przy ostrożnym wydawaniu pieniądze z bieżącego rachunku powinny jej starczyć na jakieś trzy tygodnie. Zdecydowała się zlikwidować depozyt i założyć własne konto. To oznaczało „albo płacisz, albo tracisz”, potrzebowała teraz takiej gwarancji. Jeśli uda im się z Benem pogodzić,

wtedy zmieni zasady. Na razie, po dwudziestu latach, potrzebowała czegoś, co należałoby tylko do niej.

Przynajmniej zostawił im dość pieniędzy, żeby jakoś związać koniec z końcem. Nie był najgorszym łajdakiem. Może rzeczywiście potrzebował trochę czasu dla siebie, żeby uporządkować pewne sprawy.

W pewnym momencie Rose coś sobie przypomniała. Tysiąc sześćset funtów. Taka kwota starczyła na dwa bilety. Czy nie tak powiedziała wczoraj Jane? Jeśli nie, to ona to właśnie zrozumiała. Dopiero teraz, głęboko wstrząśnięta, zaczynała pojmować znaczenie tych słów. Inna kobieta. Kim ona była? Rose wyjęła wydruki, które wczoraj odłożyła.

Zaczęła śledzić po kolei wszystkie obce jej daty i miejsca, których znaczenia nie mogła sobie przypomnieć. Wzięła żółty odblaskowy mazak, przygotowała całoroczny wydruk i data po dacie zaznaczała każdy opis, który teraz potwierdzał zdradę. Z rachunku Visy odczytała około pięćdziesięciu takich transakcji. Wszystkie pokrywały koszty hoteli, restauracji, drogich kafejek. Podliczyła z grubsza. Trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt funtów w ciągu roku. Na kochankę. Z jej domowego budżetu.

Chwyciła plik wyciągów z American Express. Te były aż zanedo dokładnie. Każdy wydatek dokładnie opisany. Uważnie studiowała daty i imiona.

Najprawdopodobniej odnosiły się do klientów, konkurencji i innych osób powiązanych interesami. Otworzyła notes Bena, w którym sama zapisywała daty jego służbowych wyjazdów, nazwiska klientów, godziny przylotów.

Zaczęła mozolną pracę dopasowywania dat i rachunków. Przerwała, by nakarmić dzieci i położyć je spać. Ich humory były odwrotnie

proporcjonalne do zabawy z poprzedniej nocy. Nie była nawet trochę zła, ale za to stanowczo zagoniła je do łóżka. Dzieciaki doskonale wiedziały, kiedy należy się poddać.

Wróciła do gabinetu i siedziała tam do dwudziestej pierwszej trzydzieści. John i Damien cicho pracowali przy kuchennym stole. Zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa.

Zdażyła już dowiedzieć się wystarczająco dużo. Kazała Damienowi zamknąć drzwi na klucz i pójść do łóżka przed jedenastą. Opróżniła jedną z najdroższych skórzanych teczek Bena i wepchnęła do niej wszystkie papiery, nad którymi ślęczała.

Potem wybrała dwie butelki z jego najlepszych win i ruszyła w kierunku domu Jane.

I tak zapadł wieczór drugiego dnia.

## *Marzec 1975*

– Proszę bardzo – mówi Martha, podając Rose smukły kieliszek, lód pobrząkuje, objając się o szkło. – Coś na uspokojenie nerwów.

– Skąd to wytrzasnęłaś? Przecież wiesz, że ojciec nigdy w życiu nie zgodziłby się na drinka pod jego dachem!

Martha puszcza oko, podciąga sukienkę druhny aż do uda i bez słowa wskazuje na podwiązkę. Między wstążkami i koronkami spoczywają sobie spokojnie dwie małe butelki wódki Huzzar – dokładnie takiej, jaką podaje się w samolotach.

– Pomyślałam, że to najbezpieczniejsza kryjówka – Martha wyznaje dramatycznym szeptem. Twój tata uważa mnie za słodką panienczkę. Nalał mi 7-Up z lodem, pokorny jak baranek. Powiedziałam, że zaschło ci w gardle. No, w sumie to prawda, tyle że nie powiedziałam mu wszystkiego.

W teatralnym geście unosi kieliszek, a Rose ją naśladuje.

Rose pamięta, jak długą drogę przebyły razem. Najpierw grupa maluchów w przedszkolu, potem wspólna podstawówka. W szkole średniej znów lądują razem, wybierają te same przedmioty na maturę. Papużki nierozłączki. Martha towarzyszyła jej zawsze; bliska, serdeczna przyjaźń, która trwa nadal, mimo że po szkole każda obrała inną drogę. Jeszcze jako małe dziewczynki przysięgły sobie, że będą druhnami na własnych ślubach. I Martha dotrzymuje dziś słowa.

– Boże drogi, Martha, tak bardzo się denerwuję. Klamka zapadła. Wczoraj śniło mi się, że nie mogę się dostać do kościoła. Samochód

jeździł w kółko, ale nie mogłam znaleźć wejścia. A potem nagle jechaliśmy nad morzem, w pięknym słońcu. Wszyscy byli na rowerach, ubrani w szorty, a ja między nimi w sukni ślubnej. Poprosiłam kierowcę, żeby odwiózł mnie do domu, a potem się obudziłam.

– Doktor Martha diagnozuje klasyczny przypadek przedślubnej reakcji stresowej. Wypij do dna i pozwól mi upiąć twój welon. Wyglądasz przepięknie. Przytuliłabym cię, ale nie chcę pognieść twojej sukni.

Martha całuje ją w czoło i delikatnie ściska rękę.

– Wszystko będzie dobrze. Martha podchodzi do okna.

– Teraz i tak już za późno na zmianę planów – stwierdza swobodnie. – Samochód czeka.

Rose czuje się niezwykle. Nie jest zdenerwowana, ale obojętna, niemal sparaliżowana. Kocha Bena i ma nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi. Przez ostatnie sześć tygodni nie mieli czasu, żeby pobyć choć trochę ze sobą. Przygotowania do dzisiejszej uroczystości kosztowały ją mnóstwo czasu i energii. Wybuchiała płaczem niejeden raz. Z trudem znosiła tę presję. I nie było przy niej mamy, która by pomogła. Może stąd ten ogarniający smutek.

Rzuca ostatnie spojrzenie na pokój, który dzieliła z Grace i Ellen. Wygląda byle jak, panuje w nim bałagan, ale jej serce zwrócone jest w kierunku misia bez ucha, leżącego na łóżku, jej łóżku.

Czekają. Wszyscy czekają.

Wychodzi z pokoju i zbliża się do schodów. Ojciec czeka na nią na dole, uśmiechając się nerwowo. Rose zagryza wargi. Wie, że myśli teraz o mamie. Kiedy schodzi na ostatni stopień, ich twarze spotykają się na jednym poziomie. Rose oplata szyję ojca rękoma i przytula go mocno.



Żadne z nich nie wypowiada słowa.

Podąża wąską ogrodową ścieżką, trzymając go pod ramię. Ma wrażenie, że z każdym krokiem zostawia za sobą cząstkę siebie.

*Wtorek, 4 kwietnia, godzina 22.00*

Jane napełniała kieliszek Rose znacznie częściej niż własny. Wydawało się, że Rose nawet tego nie zauważyła. Sączyła wino nieobecna, pogrążona w gorączkowym studiowaniu rachunków i wyciągów z kart kredytowych. Jak tylko weszła, wyjęła sterty papierów z teczki, a potem nagle zatrzymała się.

– Boże, Jane, przepraszam. Pakuję ci się do domu, zakładając, że nie masz nic lepszego do roboty. Naprawdę, wybacz mi, ale nie wiem, co robię.

I zaczęła z powrotem pakować kartki do torby.

– Zaprosiłam cię na dzisiejszy wieczór, więc przestań rozmyślać, Idę po otwieracz. Wyjmij z powrotem te papiery.

Jane wróciła z dwoma kieliszkami, otwieraczem, zeszytem i ołówkiem.

– Bierzmy się do roboty. Przejrzyj te papiery i dyktuj to, co ważne. Ja będę notować, a potem spróbujesz zebrać wszystko w logiczną całość.

Rose kiwnęła, a Jane zamarła w skupieniu, wsłuchując się dokładnie, by nic ważnego jej nie umknęło. Rose, blada jak ściana, wyglądała mizernie. Musiała już wcześniej przewertować te kartki. Wydawało się, że zna je na pamięć. W kółko powtarzała te same szczegóły. Jane widziała, jak trudno było jej pogodzić się z okrutną prawdą. Ben miał... kogo? Kochankę? Panienkę na boku? Jakiego określenia użyć? I to już od dłuższego czasu. Dowody były przygniatające.

To nie był właściwy moment, żeby powiedzieć Rose o wieczorze, kiedy to razem z Jimem widzieli Bena w towarzystwie kobiety w Westbury

Hotel. Jim wzruszył ramionami, kiedy mu ich pokazała. Powiedział jej wtedy, że wymyśla sobie bzdury. Może i tak, ale sposób, w jaki ta kobieta pochyliła się w kierunku Bena, sposób, w jaki on jej słuchał, zdradzał seksualne powiązania. Instynkt jej nie zawiódł, zresztą rzadko się myliła. To nie było spotkanie w interesach. Jane słuchała dalej.

– Jak mogłam niczego się nie domyślić! Boże, ale ze mnie idiotka!

Rose ze złością opróżniła kieliszek.

– Ufałaś mu, Rose, nie szukałaś żadnych znaków, po prostu. Ale nie zapominaj, że to on ma romans, więc dlaczego obwiniasz siebie?

– Bo czuję, że to wszystko przeze mnie.

Jane spróbowała zmienić sposób myślenia Rose, opanowany przez poczucie winy. Ostrożnie wskazała na inne rozwiązania. Jednocześnie wołała nie mówić za dużo.

Lubiła Rose. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli Rose i Ben pogodzą się, to najprawdopodobniej straci ją jako przyjaciółkę. Rose wycofa się zawstydzona, że otworzyła się za bardzo, stanie w obronie nawróconego męża. Jane widziała to już wcześniej. Chciała pomóc, chciała się zaprzyjaźnić. Ale będzie lepiej, jeśli utrzyma wyważony ton.

Było już dobrze po północy, kiedy Rose zaczęła zbierać się do wyjścia. Przynajmniej, pod wpływem wina, z jej twarzy zniknęła trupia bladość.

Kilkakrotnie powtórzyła, jak bardzo jest wdzięczna. Nie pozwoliła Jane odprowadzić się do domu, upierając się, że czuje się w porządku, a spacer i świeże powietrze dobrze jej zrobią.

Mimo to Jane nie spuściła z niej oczu aż do rogu ulicy, mniej więcej w połowie drogi do domu. Rose odwróciła się i pomachała, stając w świetle ulicznej lampy.

Jane poczekała, aż telefon zadzwonił trzy razy, i odetchnęła.  
Zadowolona posprzątała kuchnię i poszła spać.

## *Marzec 1977*

Damę Street jest pełna ludzi. W powietrzu wyczuwa się radosne podniecenie z powodu nadchodzącego weekendu. Rose obserwuje zagęszczający się ruch uliczny z okna na trzecim piętrze. Przynajmniej nie pada.

– Wskoczysz z nami na drinka, Rose?

June, niezmordowana organizatorka życia towarzyskiego w ich biurze. Życzliwa, przyjaźnie nastawiona do ludzi. Lubi otaczać nowe dziewczyny opieką i już nieraz próbowała zaskarbić sobie sympatię Rose. A Rose nie lubi ani swojej pracy, ani koleżanek z biura. Nie ma z nimi nic wspólnego.

W końcu jest mężatka. Dyskoteki, imprezy, puby, choć są wszędzie, w jej życiu nie mają żadnego znaczenia. Czasami zazdrości koleżankom, ale z niechęcią przyznaje się do tego uczucia. Czuje się wyłączona z tego grona, plotkującego w poniedziałkowe ranki, a w czasie lunchu wymieniającego sekrety. Po dwóch latach marzy tylko o tym, by się stąd wydostać. Ona ma już wszystko to, do czego dążą te kobiety. Jak więc udaje im się wzniecić w niej poczucie niezadowolenia, rozczarowania? Rose czuje się niezręcznie w ich towarzystwie. Czasami bywa i tak, że wszelkie rozmowy cichną, kiedy tylko ona wchodzi do pokoju.

Szczerze mówiąc, Ben nie jest zbyt pomocny.

Byli zapraszani na kilka przyjęć, na niezliczone piątkowe wypadki. Ale Ben upiera się, że takie życie nie leży w jego naturze. Woli już, okazjonalnie, zjeść kolację w wyśmienitej restauracji, w towarzystwie obcych ludzi. Nie ma potrzeby dyskutować, żartować czy uczestniczyć w

pubowych eskapadach.

Rose dobrze się bawi, kiedy postanawia – bardziej z poczucia obowiązku niż z czegokolwiek innego – wyrwać się ze znajomymi. Z czasem przestają być zapraszani i tylko stara, dobra June się nie poddaje. Tego dnia Rose jest zmęczona i denerwują ją gorące wysiłki June, pełnej dobrej woli. A do tego wstydzi się za siebie.

– Bardzo chciałabym pójść z wami, June – kłamie. – Ale rodzice Bena zabierają nas dziś wieczorem na kolację. To nasza druga rocznica – wyznaje nagle, by nie brzmiało to zbyt smutno. – Muszę iść prosto do domu i przebrać się. Ale i tak dzięki.

W końcu June ustępuje.

– No to baw się dobrze. – Odwraca się i wybiega, by nie zostać w tyle za resztą towarzystwa.

Rose czeka dla pewności, aż wszystkie kobiety opuszczą budynek. Sytuacja jest paradoksalna, zachowuje się tak, jakby miała coś do ukrycia. Słaby ucisk, jaki poczuła wokół serca, przypomina jej, że niedługo to wszystko się skończy. Dwa lata, powiedział Ben. Dwa lata i potem mogą zacząć starać się o dziecko. Rose nie może się doczekać.

Bardzo chciałyby spędzić ten wieczór tylko z Benem, ale jego rodzice uparli się i już. Rose zastanawia się dlaczego. Wcale nie ma ochoty na to spotkanie.

Droga autobusem mija szybko, więc w domu jest wcześnie. Ben już wyszedł, zostawił jej kartkę. Wróci z rodzicami, by ją zabrać. Rose czuje kolejną falę złości. Nie mógł na nią poczekać?

Najwyraźniej też przygotował sobie kanapkę. Niepojęte, że ten na co dzień skrupulatny i porządny człowiek zostawia po sobie taki bałagan.

Długi blat pokrywają okruszki, na maselniczce brakuje pokrywki, a nóż jest cały utyłany od zeschniętego już pasztetu. Strużka mleka prowadzi do filiżanki po kawie, obok króluje pudełko z wysypującymi się ciastkami. Widocznie szukał tych z czekoladą.

Rose sprząta, gąbkę kładzie na stertę niepozmywanych jeszcze od śniadania naczyń. Miło byłoby mieć zmywarę, gdyż wtedy, jak przypuszcza, bałaganiarstwo Bena nie przeszkadzałoby jej tak bardzo. Może zacznie na nią odkładać, w tajemnicy.

Rose szykuje się pod prysznic. Ma dwie godziny, zanim Ben po nią przyjedzie. Może położy się na chwilę. Nogi bolą ją niesamowicie. •

W sypialni ściąga mokry ręcznik z łóżka. Ben był pod prysznicem. Dlaczego mokre ręczniki zawsze lądują na jej części? Niepościelone łóżko jest teraz nieprzyjemnie wilgotne, odpychające. Rose napełnia więc wannę i moczy się w cudownej pianie przez godzinę.

Ciepła, kojąca woda zawsze poprawia jej humor. Nigdy nie przypuszczała, że sprostanie codziennym obowiązkom jest takie trudne. Może przesadza, może to zwykłe dąsy; ciekawe, czy inni też się tak czują? A jeśli to ważny sygnał, że z ich małżeństwem jest coś nie tak? Pewnie to tylko paranoiczne myślenie albo brak zdrowego rozsądku, ale czy oczekuje aż tak wiele? Brakuje jej mamy. Coś jej mówi, że – jak to mawiała mama – dała się nabić w butelkę.

Takie myśli krążą jej po głowie w dniu drugiej rocznicy ślubu. Ostatnimi czasy nie ma zbyt wielu powodów do radości. Chciałaby, żeby ktoś jej powiedział, że to uczucie żalu, nieuchronne i silne, jest w pewnym sensie naturalne. Że każde małżeństwo ma lepsze i gorsze momenty, przystosowuje się, dojrzewa.

Szkoda, że Martha wyjechała do Australii. Ale w sumie nie, Martha nie byłaby odpowiednią osobą, której mogłaby się poradzić.

Rose wyciera się energicznie. Rozwiesza kilka ręczników do wysuszenia, a resztę wkłada do kosza na brudy. Wzdycha, widząc, że jego zawartość pęka w szwach. Weekend zapowiada się nieźle: zakupy, prasowanie i kolacja z teściami.



*Środa, 5 kwietnia, godzina 6.00*

Środa. Dzień trzeci. Może rzeczywiście siedem dni starczyło na stworzenie świata. Tak wiele mogło się wydarzyć w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin.

Rose czuła w głowie nieprzyjemny szum. Kiedy wychodziła od Jane, nic jej nie dolegało. Wino pomogło jej wyrzucić z siebie złość na Bena. Czuła ulgę, wewnętrzny spokój; Jane była świetnym słuchaczem. Rose zastanawiała się, jak to możliwe, że tak długo dawała sobie radę bez przyjaciółki. Boże, musiała się czegoś napić.

Była dopiero szósta rano. Odrzuciła kołdrę i wolno opuściła stopy na podłogę. Męczył ją kac. Jak, u diabła, ludzie w takim stanie dawali sobie radę z codziennymi obowiązkami? Miała się przekonać na własnej skórze – przed nią cały dzień ciężkiej pracy.

W lodówce nie było soku pomarańczowego. Zakupy. Musi zrobić zakupy. Wlała pół litra wody do wielkiego kubka i wygrzebała z zamrażarki parę kostek lodu. Nektar. Ponownie napełniła kubek. A potem usiadła, by zrobić listę zakupów.

Odezwały się w niej wszystkie instynkty oszczędności. Zaplanowała posiłki do niedzieli. W poniedziałek znów pojedzie na zakupy, kiedy dzieciaki będą w szkole. Cztery czy pięć dni na zapas powinno wystarczyć. Podkreśliła najważniejsze rzeczy. Dużo kurczaka i mielonego. Ugotuje potrawki na potem. Postara się ograniczyć czas w kuchni do niezbędnego minimum. Czeka zbyt wiele innych pilnych spraw do załatwienia.

Dwadzieścia po szóstej. Nie było mowy o powrocie do łóżka. Nastawiła czajnik na kawę i przygotowała sobie kanapkę. Znalazła owsiankę. Będzie musiała wystarczyć dzieciom na śniadanie.

Otworzyła notes i zapisała trzy sprawy, które postanowiła dziś załatwić. Po pierwsze, zakupy. Po drugie, skontaktować się z Barrym Herbertem, najbliższym współpracownikiem Bena. Ben nigdy nie wierzył w partnerstwo. Po trzecie, skontaktować się z prawnikiem Jane i Jima.

Między tym wszystkim, zawieźć i odebrać maluchy ze szkoły, przygotować obiady, dopilnować odrobienia lekcji i oporządzić trochę dom. Rose rozejrzała się dookoła. Jeszcze w poniedziałkowy rano było tu nieskazitelnie czysto. Dwa razy w tygodniu dokładnie sprzątała górę i dół. W piątki, żeby na weekend wszystko wyglądało perfekcyjnie, i we wtorki, zaraz po poniedziałkowym prasowaniu. Ben nie znosił widoku prac domowych, więc Rose instynktownie czuła, że ich układ zakładał jej dyskretną systematyczność i wydajność. Swoje obowiązki wykonywała cicho na tyłach domu.

Rola perfekcyjnej gospodyni domowej musiała teraz zejść na dalszy plan. Posprząta łazienkę, toaletę na dole i jeszcze umyje podłogę w kuchni. Tyle wystarczy. Potrzebowała teraz czasu dla siebie, by upewnić się, że panuje nad sytuacją.

Damien przyczłapał do kuchni, nieumyty, w piżamie. Rose nie skomentowała tego.

– Wcześniej wstałaś, Ma. Wszystko gra?

Jego ton był zbyt zwyczajny. Rose natychmiast wyczuła niepokój. Miał prawie osiemnaście lat, młody mężczyzna. Za rok i trochę skończy szkołę. Kiedy ona była w jego wieku, zaczynała już pracować na własne

utrzymanie.

– Usiądź, Damien. – Poklepała siedzenie obok. – Słuchaj, między twoim tatą i mną nie układa się dobrze. Wybrał sobie nie najlepszy moment na wyjazd. Kiedy wróci, postaramy się uporządkować pewne sprawy i zobaczymy, co będzie dalej. Tymczasem wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość. To nie ma nic wspólnego z tobą czy Lisa i Brianem. Dotyczy to tylko mnie i twojego taty. Oboje bardzo cię kochamy.

Rose zatrzymała się. Musiała wziąć głęboki wdech. Zakładała, że ostatnie zdanie rzeczywiście dotyczyło Bena; niech wątpliwości rozstrzygną na jego korzyść.

– Chcecie się rozejść?

– Naprawdę nie wiem, Damien. Powiem ci, jak tylko sama się dowiem, co będzie dalej.

– Nie chciałaś tego, prawda?

– Nie, nie chciałam, nigdy nawet nie pomyślałam, że może do tego dojść. Ale kto wie, może prędzej czy później i tak by się to stało. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, Damien.

Rose zrobiła wszystko, co w jej mocy, by się nie rozplakać. To nie było w porządku. Siedemnastoletni chłopak nie powinien być obarczany takimi problemami.

– Jak długo nie będzie taty?

– Myślę, że jakieś dwa tygodnie.

– Jak mogę pomóc?

– Co masz na myśli?

– No, na początek Lisa i Brian mogą obejść się bez twojego wożenia

ich do i ze szkoły. Są już wystarczająco duzi, żebym mógł zostawić ich pod bramą szkolną, a potem stamtąd pojechać autobusem na swoje zajęcia.

Rose uśmiechnęła się. Pamiętała jego przerażenie, kiedy po Bożym Narodzeniu zaproponowała mu właśnie takie rozwiązanie. Nie najlepiej wyrażał się wtedy o życiu ulicznym, więc nie nalegała. Teraz cieszyło ją jego przekonanie, że sam wpadł na taki pomysł.

– A jeśli nie będzie ciebie po południu w domu, dopilnuję, żeby ta dwójka usiadła do odrabiania lekcji.

Wzruszył ją ten zapal do pomocy i chęć przejęcia części ważnych obowiązków.

– A John mówi, że nie jest tak najgorzej.

– Co?

– Kiedy rodzice się rozchodzą.

John mieszka obok. Bill i Suzanne. Nigdy nie przypuszczała, że coś – kiedyś tak niepojętego – stanie się faktem powszechnym, obecnym wszędzie dookoła. Może to jakaś plaga? Suzanne pewnie czuła się podobnie, kiedy zostawił ją Bill. A ona, Rose, nic nie wiedziała, nie zadała sobie żadnego trudu, by się dowiedzieć.

– To byłoby naprawdę wspaniale, Damien. Mam kilka ważnych spotkań do przyszłego tygodnia.

– Pod jednym warunkiem. – Damien podniósł palec.

– Pod jakim? Wyszczrzył do niej zęby.

– Że nie muszę się myć i ubierać przed śniadaniem!

Rose rzuciła w niego kuchennym ręcznikiem i zanim wybuchnęła płaczem, zdążyła wyjść do łazienki i schować się pod prysznicem. Miała tak dobrego syna. Dużo czasu upłynęło, od kiedy ostatni raz rozmawiali

tak szczerze, w zaufaniu. Zdziwiło ją, jak łatwo przyszło mu oswoić się z myślą o rozbitej rodzinie. Czy zdawał sobie sprawę, że do tego dojdzie?

Pod mocnym strumieniem gorącej wody Rose zaczęła sobie przypominać, jak od pewnego czasu stosunki między Benem i jego najstarszym synem bardzo się ochłodziły. Przez te kilka ostatnich dni zupełnie o tym zapomniała. Kłótnie o długość włosów, kolczyki, wyniki w szkole. Wrogość między nimi unieszczęśliwiała ją. Rozdarta między mężem a synem, mnóstwo razy próbowała ich pogodzić. Ale Ben był nieustępliwy. Damien po prostu zaczął unikać towarzystwa ojca, często wychodził z pokoju, jak tylko Ben się tam pojawiał.

Teraz wydawał się niemal zadowolony z faktu, że Ben zniknął. Tak jakby cieszył się z takiego obrotu spraw, czując się usprawiedliwiony za nienawiść do wszystkiego, co wiązało się z ojcem. Czy czekał, mając nadzieję, że tak się to wszystko skończy?

Na myśl o tym, co ją czeka, Rose ogarnął strach.

Czy była jedynym na świecie idealnym połączeniem Rip van Winkle z Primaaprilisowym Głupkiem?

Dobudziła się wreszcie. Jej zmysły wyostrzyły się. Od tej pory będzie musiała nauczyć się sama radzić sobie w życiu.

## *Listopad 1978*

Jedyne, co Rose może robić, to wpatrywać się w prostokątne zawiniątko przy jej boku. Jeszcze raz liczy. Pięć paluszków przy każdej rączce, pięć maleńkich paznokietków. Nie może oderwać od niego wzroku. Czuje się senna, w głowie jej się kręci, ma świadomość, że gdyby wstała, nie byłaby w stanie zrobić ani jednego pewnego kroku. Sama myśl o chodzeniu rozśmiesza ją. Jest tak obolała, że nawet leżenie jest dla niej przykrym doświadczeniem.

Od ostatniego zastrzyku ma przyjemne uczucie, jakby unosiła się na wodzie. Teraz czuje, że znieczulenie przestaje działać. Mimo to z radością wraca do rzeczywistości, do możliwości świadomego skupienia się na małej istocie leżącej obok.

Z trudem udaje jej się przejść do pozycji siedzącej, uwiera ją niewygodne, zmięte prześcieradło. Na salę wchodzi młoda, uśmiechnięta od ucha do ucha pielęgniarka.

– Wszystko w porządku, pani Holden?

– Tak, dziękuję. Może pani podać mi dziecko?

Wszystko, czego pragnie Rose, to potrzymać synka w ramionach. Nagle robi się niespokojna na myśl, że mogłaby upuścić małego, siedząc w tej dziwacznej pozycji. Pielęgniarka znów się uśmiecha.

– Oczywiście. Jak mu pani da na imię?

Rose zazdrości pielęgniarce zręczności. Jej ruchy są pewne i szybkie. Dziecko jest uniesione, jego kocyk poprawiony i jednym zręcznym ruchem ciepłe, pachnące mydłem ciało ląduje w ramionach matki.

– Damien. Damy mu na imię Damien, po dziadku mojego męża.

Podczas gdy ona mówi, pielęgniarka jakoś udaje się poprawić łóżko. Rose nagle robi się wygodnie, przytomnieje.

W tym samym momencie oczy Damiena otwierają się. Głębokie, ciemnoniebieskie, patrzą prosto na nią. Trzymając go blisko twarzy, Rose przemawia do niego cicho. Widzi ją, jest pewna, że Damien ją widzi.

Zmienia mu pieluszkę, karmi i wciąż trzyma w ramionach, kiedy w czasie wizyt przychodzi Ben.

Stopniowo pokój zapęłnia się. Rodzice Bena, Grace, Ellen. Rose jest dumna z siebie. Ben stoi jak na straży, obie ręce na kołysce, w której leży jego mały syn.

Słychać śmiech, krążą prezenty, a Damien wędruje z rąk do rąk, tak jak inne paczki.

Nieświadomy niczego, mały przesypia całą imprezę. A Rose, choć to śmieszne, jest dumna z jego dobrego zachowania, tak jakby synek wystawiał jej świadectwo dobrej matki.

Ben dotrzymuje im towarzystwa przy kolejnym karmieniu, a Rose powoli zaczyna dochodzić do wprawy. Obserwuje, jak świeżo upieczony ojciec po raz pierwszy przewija synka. Jest niesamowicie szczęśliwa.

Oczy Bena błyszczą, kiedy wychodzi.

– Jest wspaniały, po prostu wspaniały, tak jak i ty. Jestem z was taki dumny.

Rose prawie nie zmrużyła oka pierwszej nocy, ale nie przejmuje się tym. Jej przerywane sny pełne są niebieskookich dzieci i szczęścia.

Nazajutrz rano, kiedy tylko dzieci przywieziono na salę, myśli sobie, że dokonała najlepszej rzeczy w swoim życiu.

Nowy początek. Nowa rodzina.

Nie może się doczekać powrotu do domu.



*Środa, 5 kwietnia, godzina 8.45*

Brian i Lisa utyskują na niesprawiedliwości tego świata. Brian chciał pojechać do szkoły samochodem, a Lisa – jak się wydawało Rose – potrzebowała towarzystwa matki. Rose obiecała dzieciom, że je odbierze, w myślach modyfikując swój plan.

Do supermarketu dotarła jeszcze przed otwarciem. W samochodzie szybko przejrzała listę zakupów. Zrobiła to automatycznie, jakby została zaprogramowana. Przypomniała sobie, jak wielki problem stanowiły dla niej zakupy na początku małżeństwa – wieczny dylemat, co kupić, co ugotować, jak urozmaicić posiłki. Ben zawsze zostawiał to na jej głowie, sam nie znosił supermarketów.

Dwadzieścia lat później. Wciąż robi zakupy. Czy był to jedyny stały, wytrzymały na wszystko aspekt związków międzyludzkich? Czy tylko kupowanie i gotowanie pozostawały niezmiennie? W pewnym sensie ta rutyna dawała ukojenie. Robiła to, co było jej dobrze znane, wolne od przykrych niespodzianek.

Ale dziś czuła się nieswojo. Nie chodziło tylko o to, że kupowała z większą rozwagą, bardziej oszczędnie. Robiła zakupy z innej perspektywy. To, co zawsze wydawało się takie zwyczajne – matki pchające spacerówki, i małe dzieci, przypięte szelkami w wózkach na zakupy – dzisiaj wyglądało inaczej. Zadbane kobiety, ze starannym makijażem, z pierścionkami i pomalowanymi paznokciami, o dziewiątej rano, nie były już takie same. Rose zaczęła postrzegać otaczającą ją rzeczywistość jako bardziej kruchą, ulotną. Przyglądała się uważnie twarzom dookoła.

Podziwiany przez nią do tej pory obraz klasy średniej, z ustabilizowaną sytuacją finansową i mocnym kręgosłupem moralnym, zaczął pękać.

W wyobraźni widziała panikę przyczajoną za pięknie umalowanymi twarzami i opalonymi, ozdobionymi pierścionkami rękoma. Czowała desperację ukrytą za maską dyskretnej szminki i podkładu. Z pewnością na tym etapie życia, kiedy dzieci są już dorosłe, nie trzeba być tak wcześnie w supermarkecie. Czy ogromny sklep stał się przystanią, miejscem, do którego można było wracać tylko po to, by przerwać monotonię mijających dni? Czy robienie zakupów stało się niezbędnym uzależnieniem, pomagającym nadać sens dniowi i pozbyć się uczucia marnotrawienia czasu?

Rose poczuła zimny pot na karku. Czy właśnie to czekało ją za dziesięć lat?

Młodsze kobiety zachowywały się inaczej. Nawet sposób, w jaki się poruszały, zdradzał, że miały swój cel i że bardzo ograniczał je czas. Rose pamiętała, jakiej precyzji i szybkości wymagało sprostanie codziennym obowiązkom: odwieźć jedno dziecko do szkoły, drugie do przedszkola, zrobić zakupy, z powrotem do domu, rozpakować torby, odebrać dziecko z przedszkola, znów dom, uśpić dziecko, przygotować lunch, odebrać starsze ze szkoły, przygotować obiad, a potem jeszcze mycie, kąpanie, przebieranie się, czytanie bajek. Niemalże widziała grafik rozpisany na twarzach tych kobiet.

Rose nie ograniczał już ściśle zaplanowany czas. Odejście Bena uświadomiło jej nagle, że dzieci też, prędzej czy później, zaczną podążać własnymi ścieżkami i że jednocześnie wiele rzeczy ulegnie zmianie. Już wkrótce skończy się jej rola wiecznie potrzebnej, niezastąpionej matki.

Współczuła tym młodym kobietom, ale bez cienia nostalgii. Kiedyś pragnęła jeszcze jednego dziecka po Lisie. Kiedyś wzruszał ją widok maleńkich twarzączek w koronkowych gniazdkach. Ale to było dawno temu. Nie wiedziała, w jakim stopniu Ben czy ona sama, albo to, co działo się w jej obecnym życiu, odpowiada za zmianę, którą czuła w sercu. A może to, że realnie oceniła sytuację, wiedziała, czego chce, a czego nie, w końcu po tylu latach niespójnego myślenia.

Wybierając rzeczy na półkach, Rose poczuła, jak bardzo pragnie zmienić swoje życie. Nagłe ogarnął ją paraliżujący strach przed utratą kontroli nad swoim życiem przez kolejne dwadzieścia lat.

Wzięła kurczaki z promocji, kalkulując, ile posiłków zdoła z nich ugotować. Wiedziała już, że jedyne, czego pragnie, to zacząć żyć własnym życiem, któremu sama nada kształt, z Benem albo bez Bena.

Pchając wózek wzdłuż półek i pozdrawiając znajome twarze, Rose znów się zastanawiała, co naprawdę w środku czują mijający ją ludzie. Ponieważ jej własny świat stanął do góry nogami, trudno uwierzyć, że inni żyli zupełnie normalnie.

Skończyła zakupy i pojechała do domu. W głowie pulsowało nieprzyjemnie. Dobrze byłoby móc wyłączyć myśli na godzinę albo i dłużej. Czuła się tak, jakby jej mózg nadrabiał zaległości po latach spoczynku, chociaż nigdy nie miała świadomości, że leniuchowała albo tępo patrzyła na świat.

Zawsze znajdowała czas, by przynajmniej przejrzeć gazetę, a wiadomości o dwudziestej pierwszej traktowała jak rytuał. Była na bieżąco ze wszystkimi gorącymi tematami, które Gay Byrne, Joe Duffy i Pat Kenny poruszali w swoich debatach. Raz nawet przyszedł jej do głowy

pomysł, żeby zadzwonić do programu Marian Finucane. Sprawy bieżące poruszały ją do żywego, rozśmieszały, oburzały, budziły współczucie. Należała do osób. dobrze poinformowanych.

To, jak się czuła, nie miało nic wspólnego z informacjami ze świata. Dokonała się w niej wewnętrzna rewolucja, zawaliły się fundamenty dotychczasowej hierarchii wartości. Podczas rozpakowywania toreb zdecydowała, że bez względu na to, co w przyszłości będzie się dziać między nią a Benem, zacznie żyć inaczej. Wciąż go mocno kochała, pozwoliłaby mu wrócić choćby i jutro, bez słowa wyjaśnienia. Ale nic już nie będzie wyglądać tak samo.

Dopiero wtedy zaczęła płakać. Bardzo ją to zaskoczyło. Od dobrych kilku godzin nie uroniła łzy.

Zwracając się do ścian w kuchni, powiedziała głośno:

– Co, u diabła, mam zrobić?

## *Listopad 1980*

Ben niemal na ostatnią chwilę zapowiada jej, że na kolację przyjdą Barry i Caroline. Damien ma ospę, a ona jest wykończona. Dotychczas spokojny dwulatek zmienił się w małego potwora. Krostki ma na całym ciele, między palcami u stóp, we włosach, na powiekach. Klatka piersiowa też jest zainfekowana, więc mały ma trudności z oddychaniem. Lekarz przychodził codziennie, a Rose ogarnęło przerażenie. Co będzie, jeśli syn straci słuch? Albo wzrok?

Lekarz zachował spokój, pocieszał ją. Rose chciałaby, żeby Martha była przy niej; Australia leży tak daleko. Jest zła na przyjaciółkę, że nie ma jej w tak dramatycznym momencie. To jedyny lekarz, któremu Rose ufa.

Choroba trwa dziesięć dni. Rose śpi, a raczej okupuje pojedyncze łóżko w pokoju Damiena. Jest zdumiona, że dziecko tak długo potrafi wytrzymać bez snu. Rose ucina sobie niespokojne drzemki w ciągu dnia, wchodząc do łóżka, kiedy tylko Damien tam ląduje. Każdego przedpołudnia na parę godzin włącza automatyczną sekretarkę. Ben nie lubi, kiedy maszyna odbiera wiadomości od klientów w godzinach pracy; twierdzi, że stwarza to wrażenie nierzetelności firmy.

Rose ukrywa przed nim prawdę. Zawsze upewnia się, że zanim przyjdzie do domu na lunch, wszystko funkcjonuje tak, jakby sobie tego życzył. Oddzwania na wszystkie wiadomości i osobiście zapewnia każdego z klientów, że Ben się z nimi skontaktuje po godzinie czternastej. Ma wyrzuty sumienia za to małe oszustwo, ale koniecznie potrzebuje tego

krótkiego odpoczynku. Upewnia się coraz bardziej, że to nie tylko z powodu choroby Damiena. Wygląda na to, że chroniczne zmęczenie jest objawem wczesnej ciąży.

Damien niemal już wyzdrowiał. Im jego stan jest lepszy, tym bardziej Rose czuje się wykończona i płaczliwa. Teraz, kiedy nie musi już doglądać go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jej nadludzka energia sprzed kilku dni opuszcza ją zupełnie. Jedyne, czego pragnie, to sen. Nie może się doczekać weekendu. Ben obiecał zostać w domu i zająć się trochę Damienem. Czas do piątkowego wieczoru dłuży się niesamowicie.

Kiedy Ben wraca na obiad w czwartek późnym popołudniem, Rose czuje się już lepiej. Wie, że sił dodaje jej cudowna wizja soboty. Dzień w łóżku, długa kąpiel, a potem wieczór w szlafroku.

– Wyglądasz znacznie lepiej – zauważa Ben. – A Damien też wraca do siebie – dodaje, zaglądając do dużego pokoju, gdzie Damien siedzi otoczony wielokolorowymi klockami Duplo.

– Tak, czuję się znów jak człowiek. Dobrze spałam ostatniej nocy.

Rose postanawia nie mówić jeszcze Benowi o swoich podejrzeniach. Poczekaj do momentu, kiedy będzie absolutnie pewna. Nie chce kolejnego fałszywego alarmu, kolejnego rozczarowania.

– Dobrze. Jeszcze jedna dobra noc i staniesz na nogi. Zaprosiłem Barry'ego i Caroline Herbertów na kolację w sobotę wieczorem. Nic wyszukanego, żadnych wielkich przygotowań. Myślę, że będziemy ze sobą współpracować. Potrzebuję tej współpracy, moja droga.

Sądząc po jego tonie, Rose wie, że nie ma sensu dyskutować.

Już słyszy jego logiczne, rozsądne odpowiedzi. Oczywiście, on zajmie

się Damienem w sobotę. Ona nie musi wstawać aż do wieczora, jeśli tylko tego chce. On zrobi zakupy według jej życzeń. Prosta kolacja. Nie zajmie jej to dużo czasu. Przyjdą tylko na parę drinków. Do północy już ich nie będzie.

Trzy godziny to niezbyt dużo z całego weekendu, prawda?

Rose jest wściekła. Nie chodzi o wysiłek, o gotowanie, o nic szczególnego. Po prostu potrzebuje czasu. Czasu, by móc stworzyć odpowiednią atmosferę, może taką, by mogła powiedzieć mu, że spodziewają się kolejnego dziecka. Czasu, by mógł skupić się tylko na niej. Nie chce, żeby obcy ludzie przychodzili do nich w sobotę wieczorem. Sama myśl o tym rujnuje jej wizję weekendu. Oprócz niechęci do gotowania i sprzątanania, którymi musi się teraz zająć, czuje opór przed dzieleniem się Benem z innymi ludźmi.

– O jakiej dokładnie kolacji myślałeś? – pyta.

*Środa, 5 kwietnia, godzina 11.00*

Rose parkuje przed biurem Barry'ego Herberta, na głównej ulicy w Malahide. Próbowwała uprzedzić go telefonicznie o swojej wizycie, ale obie linie były zajęte. Rose nie mogła dłużej czekać, nawet po to, by wykręcić numer jeszcze raz. Ponaglało ją pragnienie, by jak najprędzej się dowiedzieć, co się dzieje. Nie chciała, by jakaś tam sekretarka zmusiła ją do zmiany planów, wyznaczając termin spotkania na inny dzień w tygodniu. Musiała działać teraz, nie mogła pozwolić, by to nowe uczucie panowania nad sytuacją umknęło jej.

Zmusi Barry'ego Herberta, żeby ją przyjął, choćby tylko na kilka minut. Zdecydowała się usiąść w jego poczekalni, przeglądać gazety tak długo, aż on znajdzie czas, by z nią porozmawiać.

Tę sztuczkę pamiętała jeszcze z początków działalności gospodarczej Bena, kiedy cały dzień pracował w domowym gabinecie. Damien miał cztery lata, gdy przeprowadzili się do większego, czteropokojowego domu na ulicy przy wybrzeżu. Na dole był duży pokój dzienny, który przed blisko czterdziestoma laty służył za kuchnię. Przerobili go na biuro z małą poczekalnią, do której Rose zapraszała klientów, nie zakłócając tym samym domowej atmosfery. Te dwa pomieszczenia wyremontowali w pierwszej kolejności, zaraz po przeprowadzce. Interes kwitł.

Przypomniała sobie ludzi w garniturach, tak zdeterminowanych, by spotkać się z Benem, że gotowi byli czekać choćby i cały dzień. Prędzej czy później zapraszał interesantów do siebie po to tylko, żeby zaraz się ich pozbyć. Spotkania nie trwały dłużej niż dziesięć minut, a Rose często



myślała, że spławianie ludzi musi być najbardziej niewdzięczną pracą na świecie.

Zegar wskazywał dopiero jedenastą, więc mogła pozwolić sobie na czekanie aż do drugiej, bez presji czasu. Odważyła się tu przyjechać i działać dalej. Siedzenie w domu przy telefonie, czekanie, by coś się zdarzyło – zamiast samemu wziąć sprawy w swoje ręce – nie było tym, czego chciała.

Tak jak Rose przypuszczała, sekretarka zachowywała się bardzo uprzejmie. Rose wybrała sobie gazetę „Time” i rzuciła pobieżnie okiem na artykuł o Billu Clintonie i prasowej nagonce na Hillary. Głównie jednak zerkała na drzwi gabinetu Barry’ego.

Te otworzyły się niemal natychmiast i Barry wyszedł, żeby się z nią przywitać. Uścisnął jej rękę, a Rose pomyślała, że wyglądał na nieco zdenerwowanego. Zachowywał się zbyt formalnie. Wybrała chyba nie najlepszy moment.

– Zapraszam, Rose, wejdź do środka. Chłodna, zrób nam proszę... herbatę czy kawę, Rose?

– Dla mnie kawa, Barry.

Ucieszyło ją, że znów jest bezpośredni. Wyglądało na to, że zapanował nad sobą.

Jego gabinet utrzymany był w kojących, koralowych barwach. Meble wygodne, dyskretnie drogie. Barry’emu Herbertowi wiodło się dobrze.

Zauważyła torbę podróżną przy biurku z dołączonym lotniskowym znaczkiem. Egzemplarz gazety „Financial Times” leżał na stoliku obok saszetki z biletami lotniczymi. Dalej pęk kluczy i miękki skórzany portfel, na oparciu krzesła wisiała jego marynarka.

– Przepraszam za bałagan, Rose. Dosłownie minutę temu wróciłem z lotniska.

Dlaczego ludzie zawsze czuli się zobligowani, by przeproszać za bałagan wynikający z normalnego życia? Mogła zadać to pytanie, ona, która jeszcze trzy dni temu szorowała gorączkowo podłogę w kuchni, jakby właśnie tam miała się odbyć ważna operacja chirurgiczna. Życie to jeden wielki bałagan, cisnęło jej się na usta.

– Nie ma sprawy, Barry.

Powstrzymała się przed przeproszaniem go, przed powiedzeniem „nie będę ci długo zawracać głowy” albo „mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale... „. Zamiast tego poczekała, aż usiądzie, spojrzy jej w twarz i skupi na niej uwagę. Clodhna weszła z kawą, a Rose miała nadzieję, że będzie lepsza niż ta u Jacka Morrissey'a.

– Czym mogę ci służyć, Rose? Wszystko w porządku? Formułka, na którą nie oczekuje się negatywnych odpowiedzi. Rose wypila łyk gorącej, mocnej kawy. Na szczęście dużo lepsza.

– Potrzebuję paru informacji, Barry. I nie, nie wszystko jest w porządku, Ben odszedł ode mnie w poniedziałek.

Twarz Barry'ego zmieniła kolor, od ziemistego po biały, a potem zielony. Rose uznała, że to całkiem interesujące móc przyglądać się zmianom fizycznym na ludzkiej twarzy wywołanym przez szok. Jego filiżanka z kawą zatrzymała się w połowie drogi do ust, zupełnie jak w kreskówkach. Odstawił ją ostrożnie, spoglądając na Rose spoza modnych okularów.

– Co zrobił?

– Zostawił mnie. Myślę, że to już koniec, sam tak powiedział. Nie

mieliśmy ze sobą kontaktu od tego czasu, a mnie martwi kilka spraw, . Mam kilka luk, które muszę uzupełnić. Nie chcę stawiać cię w niezręcznej sytuacji, Barry, ale potrzebuję przyjacielskiego wsparcia.

Miała wrażenie, że to ktoś obcy opisuje jej życie. Nie czuła żadnego kontaktu z tą osobą, która w poniedziałek wstała o zwykłej porze, by zacząć kolejny dzień. To uczucie oderwania od własnego ciała stawało się bardzo uciążliwe. Rose czuła się jednocześnie przerażona i zachwycona, że jej ton pozostawał obojętny, że trzymała się faktów.

Dobrze mi idzie. Dochodzę do wprawy, pomyślała.

– Kiedy wyjechał?

Rose spojrzała na niego. Czy szok spowodowany tym, co usłyszał, nie był nieco przesadzony? Jakie to miało znaczenie, kiedy Ben ją zostawił. Chyba... chyba że postawił Barry'ego w bardzo trudnej sytuacji, zostawiając go w środku realizowania ważnej transakcji. To wyjaśniałoby ten dziwny kolor na jego twarzy.

– W poniedziałek. W poniedziałek rano, wcześniej rano – dodała Rose uprzejmie.

Barry złączył koniuszki palców.

– Rose, właśnie rozwiązałaś problem, o którego istnieniu dowiedziałem się jakieś dziesięć minut temu.

Podniósł kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru. Nawet do góry nogami Rose rozpoznała duże, pewne siebie pismo Caroline. Przypomniały jej się świąteczne kartki.

– Jeśli się nie mylę, twój mąż i moja żona leżą sobie teraz razem na plaży gdzieś na południu Hiszpanii.

W uszach Rose coś zaczęło brzęczeć. Doznała jakby olśnienia,

zobaczyła światło, obrazy, usłyszała głosy. Różne sceny z przeszłości nałożyły się na siebie. A wirujące przed oczyma przedmioty opadały na miejsce z dźwiękiem przypominającym dobrze naoliwioną klamkę do drzwi.

– Myślę, że masz rację – powiedziała cicho.

## *Listopad 1980*

Koniec końców, Rose przygotowuje dużą kolację. Ben jest wdzięczny, kiedy mu to proponuje. Jest pomocny, opiekuje się Damienem, przywozi zakupy.

Zabawne, ale Rose od razu polubiła Caroline Herbert. Nastawiła się, by ją znienawidzić od pierwszego wejrzenia. Nie złości się już na Bena, był dla niej taki dobry przez cały dzień, ale mimo to wciąż podsyca w sobie uczucie nienawiści do Caroline.

Wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej. Kobieta jest niska, dobrze zbudowana, ciemnowłosa, ubrana w miękką, brzoskwiniową suknię. Rose czuje się przy niej gruba i nieporadna, ale podoba jej się swobodny styl bycia Caroline. Siadają na sofie i Caroline sięga po fotografię Damiena, stojącą na stolyczku obok.

– Co za śliczny chłopczyk! Ile ma lat?

Rozmawiają o dzieciach, aż ostatnie uczucia napięcia i niechęci znikają. Wbrew sobie Rose zaczyna się dobrze bawić tego wieczoru.

Kolacja wypada znakomicie.

Rose sączy wino wolno i ostrożnie i cały czas obserwuje Bena. Może, mimo wszystko, ta noc okaże się najlepszą okazją.

Po deserze Rose uśmiecha się do Bena, a on zaskakuje ją, ściskając jej rękę na oczach Barry'ego i Caroline. To tak, jakby publicznie wyznawał jej miłość. Caroline rozumie ten znak i uśmiecha się do Rose.

Cudownie. Damien śpi spokojnie, kryzys z ospą bezpiecznie zażegnany. Ben kocha ją. Myśli o ich nowym dziecku. Powie mu później.

Atmosfera jest idealna.

– Oj, Barry, na miłość boską, nie bądź taki nadęty! – mówi Caroline.

Rose nie słyszała, co powiedział Barry. Jest zszokowana.

Nigdy nie ośmieliłaby się publicznie odezwać do Bena w taki sposób. Ale Barry nic sobie z tego nie robi, puszcza dowcipną ripostę, z której nawet Ben się śmieje. Rozśmiesza ich dowcip o małżeństwach, które nie zawsze zawierane są w niebie. Całe towarzystwo bawi się przednio. Rose zauważa, że Barry i Caroline z satysfakcją wytykają sobie własne słabości. Jest zadowolona, że ona i Ben dbają o siebie, przynajmniej na zewnątrz.

Rose jest zafascynowana związkiem Barry'ego i Caroline. Są do siebie tak podobni. W ich małżeństwie nie ma ustalonych granic, nie wiadomo, kto rządzi, a kto słucha. To przeszkadza Rose, która lubi porządek. Widzi, że Ben podziwia Caroline, która jest profesjonalistką od stóp do głów. O niebo przerasta Barry'ego. Dziwne, ale należy on do grona romantycznych naiwniaków.

Rose także podziwia Caroline. Przez chwilę jest zła na Bena, który uważa, że miejsce matki jest w domu, przy dzieciach, a teraz najzwyczajniej w świecie zachwyca się Caroline i jej niesamowitymi zdolnościami organizowania, wyjazdów w delegacje, prowadzenia firmy Barry'ego i dbania o rodzinę. Ale Rose jest dziś wspaniałomyślna. Ben właśnie otwarcie wyznał, że marzy o kolejnym synu.

Rose wie, że ma na myśli kolejne dziecko, ale dzięki Damienowi to właśnie pojęcie „syn” jest mu znajome.

Jego policzki są lekko zarumienione.

– Tak – mówi Ben. – To wspaniały, mały człowiek. Patrzy prosto na Rose.

– Pragniemy jeszcze jednego syna. Wypijmy za naszą nadzieję. I podnosi kieliszek wina w kierunku żony. Śmiejąc się, wszyscy wznoszą toast.

Nagle Rose chce, żeby już sobie poszli. Chce uwolnić się od wszelkich zazdrosnych, rywalizujących myśli, które choć niedorzeczne, cisną jej się w głowie. Chce powiedzieć Benowi o dziecku.

– Napijecie się jeszcze kawy?

Rose ma nadzieję, że zrozumieją ten uprzejmy sygnał, że czas już iść do domu. Ben proponuje brandy, namawiając ich, by zostali jeszcze trochę. Ale czar prysł. Caroline przebąkuje coś o nianiach, a Barry klepie się po kieszeniach. W końcu udaje mu się zlokalizować kluczyki.

Caroline patrzy na niego chłodno.

– Chcesz, żebym prowadziła?

Barry upiera się, że nic mu nie jest, a Caroline wzrusza ramionami za jego plecami. Rose się to podoba.

Od razu po ich wyjściu Rose prosi Bena o kieliszek brandy; sugeruje nawet, żeby zostawić naczynia i bałagan do rana. Ben jest zdziwiony – to niepodobne do niej, by coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy. On nie toleruje bałaganu z rana. Ale dziś jest w nadzwyczaj dobrym humorze.

Zaczyna powtarzać na głos cały wieczór, jak to ma w zwyczaju. Rose z zadowoleniem siada i słucha. Teraz wstyd jej trochę za wcześniejszą złość, jest wdzięczna, że wszystko się udało, tak jak Ben sobie życzył. Czeka na odpowiednią pauzę.

– Damien czuje się dzisiaj o wiele lepiej – zauważa.

– To prawda – Ben przytakuje. – Zajrzałem do niego po odprowadzeniu Caroline i Barry’ego, śpi twardo. Nie ma już temperatury. Przykryłem go.

Rose starannie dobiera słowa. Ben nie najlepiej odczytuje aluzje.

– Cieszę się bardzo, że wraca do starych zwyczajów. Przez kolejne parę miesięcy będę musiała na siebie uważać.

Ben patrzy na nią, nie rozumiejąc. Boi się nawet pomyśleć o tym, co przychodzi mu do głowy.

– Jesteś pewna? Czy wszystko w porządku? – Odstawia swój kieliszek i szybko przechodzi przez pokój. Szczęśliwa Rose kiwa głową.

– Rose, to fantastycznie... cudownie.

Obejmuje ją i rytmicznie kołysze w ramionach, głaszcząc jej włosy. Ona przytula się do niego mocno.

– Chodźmy już do łóżka – szepcze, ściskając go.

W jej pamięć ta noc wryła się jako najszcześniejszy moment ich małżeństwa.



*Środa, 5 kwietnia, godzina 13.00*

Rose opuściła biuro Barry'ego i chwiejnym krokiem schodziła ze schodów, obcasy stukały o wypastowane drewno. Trzymała się poręczy na wypadek, gdyby nogi się pod nią ugięły. Było jej gorąco, kleiła się od potu, marzyła, by znaleźć się w domu, pod prysznicem. Tam był jej azyl, jedyne miejsce, gdzie mogła pomyśleć. Dzieci uszanowały zasadę, że łazienka to miejsce intymne. Było to jedyne pomieszczenie w domu wolne od wspomnień. Woda uspokajała ją, wyobrażała sobie, jak kojące strumienie pomagały jej myślom rosnąć, dojrzewać, kształtować się.

Łazienka pasowała do jej nowego poczucia nagości i kruchości. Pod uzdrawiającym strumieniem wody nie było mowy o udawaniu, nie musiała mieć na sobie żadnych starannie dobranych ubrań, pod które mogłaby się schować. Okrywała ją jedynie własna skóra. Bieżąca woda szybko zmywała bolesny ciężar, zagłuszała przejmujące łkanie, pozwalała płakać do woli. Niemalże czuła, jak oczyszcza się z poczucia przegranej, rosnącej w niej niczym chwast.

Miała godzinę, zanim Brian i Lisa pojawią się w domu na lunch. Przypomniała sobie słowa mamy, że w czasie kryzysu rutyna to przekleństwo i błogosławieństwo. Odkrycie Barry'ego Herberta zaszokowało ją, ale nie aż tak bardzo. W pewnym sensie odczuwała ulgę, teraz wiedząc na sto procent. Rose zastanawiała się, w jakim stopniu instynkt podpowiadał jej bolesną prawdę, ale rozum odcinał się od niej. Namydlając się po raz drugi, pomyślała, że nie był to zwykły zbieg okoliczności, że to właśnie Barry znalazł się pierwszy na liście. Biedny

człowiek, był zdruzgotany. Nie posiadał żadnych instynktów, które mogłyby go ostrzec. Płakał gorzko, a Rose próbowała go pocieszyć. Nigdy wcześniej nie widziała nikogo, kto by tak całkowicie rozsypał się na kawałki.

Kolejny raz padła ofiarą ironii – podawała mu chusteczki z torebki, odebrała jego telefon i powiedziała Cliodhnie, że nikt nie ma mu przeszkadzać. Pocieszała mężczyznę, którego żona uciekła z jej mężem. Po raz pierwszy od trzech dni, a właściwie po raz pierwszy od bardzo długiego czasu miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Jak brzmiało to powiedzonko Jane? NANA: Niesłychane, Absurdalne, Niewiarygodne, Abstrakcyjne. Rose nie potrafiła rozpaczać nad swym położeniem, widząc załamane Barry'ego. I to nie dlatego, że nie wierzyła w szczerść jego cierpienia. Aż nazbyt dobrze wiedziała, co teraz przeżywa. Być może była to tylko przelotna chwila, ale straciła zdolność odczuwania czegokolwiek. Wszystko stało się zbyt absurdalne i nierzeczywiste, by potrafiła to ogarnąć. Chcąc dać Barry'emu czas na ochłonięcie, podeszła do okna i z przyjemnością zanurzyła się w odosobnieniu, które dało jej siłę.

Obserwowała ludzi za oknem, którzy spieszyli się, trzymali siatki z zakupami, pozdrawiali się, próbowali ominąć korki – wszyscy pędzili, mając do załatwienia niesłychanie ważne sprawy. Rose zastanawiała się, jaki to wszystko miało sens.

Barry podniósł słuchawkę i odezwał się ostrym tonem. Nie zrozumiała słów, ale jego głos mówił sam za siebie. Obróciła się do niego i zobaczyła jego twarz, zupełnie odmienioną pod wpływem gniewu. Zastanowiła ją siła tego uczucia. Może i ona odczuje złość później. W tej chwili zależało jej jedynie, by przeżyć, pragnęła tego ze wszystkich sił.

Barry, uniesiony gniewem, powiedział wiele przykrych słów o Caroline. Rose zdziwiła się. Winiła Caroline, oczywiście, ale Ben mimo wszystko był jednak jej mężem. Uważała, że Barry postępuje bardzo niełojalnie. Ale jeśli on obwinił Caroline, a i Rose uważała, że to głównie jej wina, to jaki udział w tym występku miał Ben? We wszystkich historiach, jakie kiedykolwiek słyszała o rozbitych małżeństwach, romansach i rozwodach, to właśnie kobiety były napiętnowane. Mężczyzn zaś uważano za pasywne ofiary drapieżnych kobiet. To jej wina. Tę formułkę Rose słyszała setki razy i już dawno się z nią pogodziła. Ale teraz nie była pewna. Przecież Ben nie był tylko pustym naczyniem, czekającym, by zostać napelnionym po brzegi ryzykownym seksem. Przed oczyma stanęła jej Caroline sprzed lat, w miękkiej, brzoskwiniowej, jedwabnej sukni. Nikt nie dałby złamanego grosza, że to potencjalna kandydatka na kochankę cudzych mężów.

Pozwoliła, by Barry uspokoił się. Właśnie zamierzał ją przeprosić, ale stanowczym gestem ręki powstrzymała go.

– Nie, daj spokój, Barry. Żal mi nas oboje, to wszystko, co mogę powiedzieć.

Skinął głową, twarz mu płonęła, pognieciona koszula, przekrzywiony krawat. Tak naprawdę w tym momencie jego było jej bardziej żal.

– Radzisz sobie... ? To znaczy, chciałem powiedzieć, czy starcza ci... dla dzieci... ?

Zamilkł natychmiast zawstydzony, że zasugerował coś, co mogłoby ją obrazić. Rose widziała upokorzenie wypisane na jego twarzy i zastanowiła się, jak ten człowiek mógł kiedykolwiek przeprowadzić jakiś interes. Może było jeszcze wystarczająco wielu ludzi, którzy doceniali jego

niemodną już szczerłość. Nadchodziły dla niego ciężkie czasy.

– Niczego mi nie brakuje, Barry, ale chciałabym, żebyśmy byli w kontakcie.

– Tak, proszę... Zróbmy tak. – Skinął głową z zapalem. – Może będziemy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Barry pocałował Rose w policzek, kiedy wychodziła. Zastanowiła się, jak wiele czasu upłynie, zanim stanie się dla Barry'ego bolesnym przypomnieniem tego, co się stało. Być może zacznie ją obwiniać za okrutną ucieczkę Caroline od niego i ich rodziny. Ich rodzina! Boże, nawet przez chwilę nie pomyślała o ich dzieciach. Nie zazdrościła Barry'emu tego, co musiał zrobić: powiedzieć im. Zresztą już wkrótce i ona będzie miała podobne zadanie do wykonania z Brianem i Lisa. To tylko kwestia czasu.

Powolutku, pomaluśku. Wystarczy już na jeden dzień.

Teraz do domu i pod prysznic.

Kolejny raz Rose nałożyła maskę z makijażu, która umożliwiła jej wyjście na światło dzienne. Brian i Lisa za pół godziny będą w domu. Będzie czekał na nich przygotowany lunch. Może nadszedł czas, żeby sprawdzić temperaturę ich emocji. Powiedzieć czy nie powiedzieć? Powiedzieć co? Że ich tata postanowił się zabawić i wyleguje się teraz na słońcu, popijając sangrię, kąpie się w ciepłym morzu gdzieś na południu Hiszpanii? Nie wspominając o innych przyjemnościach. Albo że już nigdy nie będą wszyscy razem mieszkać pod jednym dachem? Tak naprawdę, to sama nie wiedziała, co jest prawdą.

A jeśli Ben wróci... Rose wyprostowała się nagle, zostawiając garnek, który właśnie wyciągała spod zlewu. Do diabła z tym, co Ben chce, a

czego nie. A co z nią? Otworzyła puszkę zupy pomidorowej, ulubionej przez dzieci. Rzadko pozwalała im ją jeść, wołała przygotować podobną sama. Tyle że domowa zupa nie wzbudzała emocji, dzieci zachowywały się jak uprzejmi, lecz niezbyt zachwyceni goście. Więc dzisiejszy lunch serwuje Pan Campbell; zupa plus grzanki z serem powinny wystarczyć aż do obiadowej kolacji.

Trudno jej było skupić się na własnych myślach. Czy naprawdę musiała czekać, aż Ben raczy ją poinformować, co będzie dalej? Czy nie mogła sama podjąć decyzji? Oczywiście, że była w stanie. Jej poukładane dotąd życie nagle się rozsypało i to zaledwie w ciągu trzech dni. Trzy niewiarygodnie długie i bolesne doby. Ale przez te kilkadziesiąt minionych godzin całkowicie zmienił się jej sposób myślenia. Takiej siebie nie знаła. Pomieszała ciemnoczerwoną, gęstą miksturę i pomyślała o śmierci.

Słyszała nieraz, że mężowie i żony na całym świecie używali tępych i ostrych narzędzi w czasie kłótni. Podczas jednego z ostatnich spotkań przy kawie pewna kobieta wyznała, że rzuciła się na męża z parą nożyczek. Zdarła mu skórę na klatce piersiowej, ale na widok ciemnych, gęstych kropli krwi opamiętała się i pogodzili się z mężem.

– To nie były moje najostrzejsze nożyczki, te krawieckie miałam na dole – wyznała.

– Chodzi ci o to, że te nie były wystarczająco ostre! – wtrąciła kobieta, której Rose prawie nie znała.

Rose zaszokował wybuch gromkiego śmiechu, który wypełnił całą kuchnię. Pojawiły się kolejne opowieści. Szpilki, torby, popielniczki i inne ostre narzędzia użyte jako broń w małżeńskich walkach. Zadziwiające,

pomyślała Rose, że nie doszło do żadnych poważnych obrażeń. Śmiech był zaraźliwy. Jane wycierała sobie łzy kuchennym ręcznikiem i to właśnie z niej, a nie z innego powodu, śmiała się Rose. Tak naprawdę, wstrząsnęły nią te przykłady niekontrolowanego wybuchu agresji. Zdziwiło ją też, że kiedy kobiety ucichły, w powietrzu wyraźnie czuło się ulgę i odprężenie. Podobne wrażenie miała, kiedy jako mała dziewczynka wracała ze spowiedzi. Nigdy więcej nie myślała o tym aż do dzisiaj, a to wspomnienie z niewyjaśnionych powodów zaniepokoiło ją.

Jako że ten problem jej nie dotyczył, nie myślała wcześniej o przemocy domowej. To był gorący temat, Problem Społeczny dobry na różnorodne dyskusje. Jedno z tych haseł, na którego dźwięk zawsze kręciła z niedowierzaniem głową. Odczuwała ogromną wdzięczność, że żadne tych okropnych zachowań nie zdarzyło się w jej rodzinie. Oczywiście, chroniłaby dzieci, ale nigdy nie musiała tego robić. Takie nieszczęścia sprawiały, że szczególnie ciepło i czule myślała o Benie.

Przypomniała sobie, jak po powrocie z tego spotkania przygotowała naprawdę dobry, zupełnie wyjątkowy obiad dla nich wszystkich. Przepelniało ją uczucie wdzięczności. Była przecież taka szczęśliwa.

Teraz, kiedy mieszała wrzącą zupę, przypomniała sobie gotujące się jajka pamiętnego ranka, kiedy Ben odszedł. Czy gdyby wrócił, to czułaby się na tyle wściekła, żeby zakłuć go nożyczkami albo stanąć na jego bosej nodze w butach na szpilce? Może to wcale nie było takie oczywiste, jak się wydawało.

Kiedy tylko usłyszała kłótnię dzieci na ścieżce przed domem, naląła gorącą zupę do głębokich talerzy.

Po lunchu Rose rozejrzała się dookoła, sprawdzając, co wymagało

posprzątania w pierwszej kolejności. Wysłała Briana i Lisę do osobnych pokoi, by odrabiali lekcje. Miała dosyć ich sprzeczek. Zdawała sobie sprawę, że dzieci ją obserwują, ale nie chciała się tym zajmować, jeszcze nie.

W czasie odkurzania obrazków zupełnie niespodziewanie ogarnęło ją ogromne znużenie, fala zmęczenia za falą. Nie myśląc ani przez chwilę o dzieciach, na ślepo dotarła do sypialni. Czarne, wirujące plamki światła i ciemności tańczyły jej przed oczyma. Zdała sobie sprawę, że za chwilę zemdleje.

*Pogoda jest idealna na pogrzeb. Ciężkie, czarne chmury wiszą nad cmentarzem Balgriffin; duże, mokre krople błogosławią żałobników. Rose ściska dłoń Damiena; nie widzi już młodszych dzieci. Damien wygląda bardzo dorośle w jednym z garniturów Bena. Rose ubrana jest na czarno. Zawsze było jej do twarzy w tym kolorze.*

*W powietrzu słychać monotony głos wyliczający zasługi Bena dla społeczeństwa. Rose ma wrażenie, że unosi się nad swoją głową i obserwuje siebie. Wszystko jest takie wyraźne, zbyt wyraźne. Obraz, który ma pod sobą, jest tak kruchy, że lada moment może się rozsypać na kawałki.*

*Czuje, jak w klatce piersiowej narasta panika; walczy z dławiącym bólem, który toruje sobie w niej drogę aż do żołądka. Co zrobi, jeśli prześlizgnie się aż do jej stóp? Czy zdoła utrzymać się na nogach? A może osunie się nieprzytomna do grobu Bena, ciągnąc za sobą Damiena?*

*Damien, taki dojrzały, dobry, przypomina Bena z czasów, zanim nastąpiła ciemność. Rose wciąż walczy, żeby utrzymać się prosto, ale osuwa się, zostawia wszystkich w tyle. Nie może dosięgnąć żadnej z*

*wyciągniętych do niej dłoni. Ich palce drapią nieprzyjemnie jej gładkie, czarne rękawiczki. Co za długi lot, myśli sobie.*

Rose obudziła się nagle, podskakując nieprzytomnie, dokładnie tak, jak jej się czasami zdarzało przy zasypianiu.

Zasłony były zaciągnięte, na zegarku 18. 30. Rose leżała nieruchomo, zastanawiając się, co tak naprawdę się stało. Minęła dłuższa chwila, zanim otrząsnęła się z przerażenia wywołanego snem. Serce biło jej mocno, ręce i nogi zdawały się zbyt ciężkie, by nimi poruszyć. Nie pamiętała, jak znalazła się w łóżku, ale była przykryta, a jej papcie leżały na podłodze. Rose odwróciła się do poduszki i pozwoliła, by łzy spływały wolno i rozpuściły stalową obręcz dookoła jej klatki piersiowej i pleców. Tym razem poczuła się lepiej, kiedy przestała płakać. Wykrzesła z siebie optymizm i poczuła przyływ energii.

Dam radę. Właśnie tak. Wytrzymałam od poniedziałku, jestem silna.

Rose otrząsnęła się ze snu, zachowa go dla Jane i kolejnej butelki wina. Rozczesała włosy, nie myśląc nawet o zrobieniu czegoś z twarzą, i zeszła do kuchni, do dzieci.

Zauważyła czerwone oczy Lisy. Nieszczęśliwa dziobała widelcem kielbaski i fasolkę; torebki frytek rozsypały się po całym stole. W pomieszczeniu panowała złowroga cisza. Lisa prześlizgnęła się po niej wzrokiem, Damien miał posępny wyraz twarzy, a Brian wbił wzrok w magazyn komputerowy. Rose rozeznała się w sytuacji w kilka sekund. Damien dopilnował, żeby Lisa jej nie przeszkadzała. Rose przełknęła gorzkie rozczarowanie, że ta trójka została zmuszona, by dorosnąć tak szybko. Zanim podeszła do stołu, wiedziała już, jak poradzić sobie z sytuacją.



– No, no, jestem pod wrażeniem. Naprawdę potrzebowałam tej drzemki, jesteście kochani, że mi nie przeszkadzaliście. Czuję się jak nowo narodzona.

Rose pochyliła się i przytuliła Lisę, ignorując obojętność dziewczynki.

– Dalej, Brian, odłóż ten magazyn, aż skończysz kolację. Nie ma czytania przy jedzeniu.

Pogładziła jego permanentnie najeżone włosy.

– Czy zostało coś dobrego dla mnie?

Przeszła obok krzesła Damiena i podeszła do czajnika, by napełnić go wodą. Mijając syna, położyła ręce na jego ramionach i zacisnęła je lekko. Ku jej zdziwieniu złapał rękę i przytrzymał ją przez chwilę.

– Zostawiliście coś? Umieram z głodu. Lisa, podaj talerz, podgrzeję to dla ciebie. Zimna fasolka musi być okropna.

Wzięła talerz Lisy i włożyła go do mikrofalówki.

– Podjadę rowerem po frytki dla ciebie, Ma. Za minutę będę z powrotem.

Brian chwycił garść monet leżących na środku stołu, drzwi trzasnęły z hukiem i już go nie było. Rose nie znosiła frytek, ale w tym momencie nie zjadłaby niczego innego z większą przyjemnością.

Lisa spojrzała na nią pełna nadziei. Rose panowała nad sobą, by jej twarz pozostała neutralna.

– A teraz, kto na ochotnika się zgłasza, żeby po kolacji pomóc mi napić i nakarmi roślinki? Nie wyglądają na zbyt szczęśliwe.

To było ulubione „zajęcie Lisy. Zaczęła gorączkowo kiwać głową, z ustami pełnymi frytek i keczupu, a w jej oczach znów pojawił się błysk. Rose w myślach zaplanowała dalszą część wieczoru. Rośliny, przytulanki,

długa bajka dla Lisy przed snem; dokładne obejrzenie komputerowej prezentacji Briana, którą przygotował do szkoły. Być może pośle go do łóżka nieco później, tak aby zapewnić go, że wszystko jest w porządku. A na sam koniec Damien.

Nie tylko rośliny potrzebowały troski. Temu akurat w znacznej mierze potrafiła zaradzić.

I w końcu nadszedł wieczór trzeciego dnia.

*Luty 1981*

Rose budzi się nagle. Serce bije jej niespokojnie. Obok czuje ciężkie, ciepłe ciało Bena. Coś jest nie tak.

Przeszywa ją ból. Rozpościera się nieprzerwanie w dół, promieniuje na całe ciało, dopada pleców z taką siłą, że Rose z trudem łapie powietrze.

– O Boże, nie, błagam, nie pozwól, by to się stało, nie teraz... Ben podskakuje dobudzony. Złapała go mocno za ramię, dzieląc się swoim bólem.

– Rose, co się dzieje? Boli cię? Szybko, powiedz mi.

Zapala światło i obraca się, by spojrzeć na twarz Rose.

Biała maska wykrzywiona cierpieniem przestraszyła go. Ciemnobrązowe, głębokie oczy, a wszystko inne blade jak ściana, przeszyte niebieskimi żyłami.

– Rose, odezwij się do mnie. Czujesz skurcze?

Rose kiwa głową, błagając w kółko Boga, w którego przestała właśnie wierzyć. Okrutny Bóg, bez serca, jak może krzywdzić ją i dziecko. Jest za wcześnie. Znacznie za wcześnie.

Ból dosięga kolan. Rose zamyka oczy, decyduje się zasnąć i obudzić dopiero wtedy, kiedy będzie po wszystkim. Dziwne, ale wciąż widzi Bena. Spogląda na niego gdzieś spoza własnego ciała. Ból jakby się oddalił, nie czuje go w sobie. Czy Ben go zabrał?

Myśli zlewają się. Rozsądne myśli o jutrzejszym obiedzie i lekcji pływania Damiana. Śmieszne skojarzenia o unoszeniu się na wodzie i o mamie. Gdzieś pomiędzy tym wszystkim dociera do niej, że umiera.

Nie przeraża jej to. Ale chce coś powiedzieć Benowi. Musi go skłonić, żeby jej wysłuchał.

Ben jednak nie słyszy milczącej żony. Odkrywa kołdrę, gotowy, by ją podnieść. Rose słyszy jego krzyk:

– Jezus Chrystus Przenajświętszy!

Dzięki krwi jest jej ciepło. Dobrze będzie tak zasnąć, jest tak przyjemnie.

Ale nie pozwalają jej zasnąć. Silne ręce, wiele rąk, podnoszą ją na chłodną i twardą powierzchnię. Nie chce jechać. Krzyczy do nich, żeby ją zostawili, ale słyszą tylko jęk.

Zabierają ją gdzieś. Ma zimne ręce.

Ben mówi coś do niej, ktoś trze lodowate dłonie. Właśnie, kiedy już docierał do niej jego głos, poczuła coś nowego, narastającego w gardle.

Czy tak urodzi się dziecko? Czy jej maleńkie dziecko to nic więcej jak krzyk? Rose otwiera oczy w panice. Ben siedzi tuż koło niej, trzyma jej rękę, kołysze się gorączkowo.

Dlaczego żeglujecie? Nagle rozpoznaje to doznanie: przyj, przyj, koniec. Rose chwytą się kurczowo Bena.

Dlaczego on płacze?

A potem sama wymiotuje, raz za razem, szłocha, krwawi, wykrwawia się każdym możliwym otworem.

Kładzie się wykończona. Nagle do jej świadomości dociera wysoki, skowyczący dźwięk, podobny do tego, który wydaje ulubiona zabawka Damiana. Jego piszczący samochodzik.

Oczy Rose otwierają się szeroko, przypomniała sobie coś ważnego. I zaraz jej to umyka.

Ben odgarnia włosy z jej czoła, jego twarz przepelnia czułość. Rose wie, że wszystko jest już stracone.

– Jesteśmy prawie na miejscu, moja kochana, prawie na miejscu. Wytrzymaj jeszcze tylko kilka minut.

W tle słychać trzeszczące radio. Ktoś za nią odpowiada:

– Dwie minuty.

Znów zamyka oczy. Nie chce widzieć twarzy Bena. Nie chce wiedzieć tego, co można z niej odczytać.

Pchają ją gdzieś. Musiała się zdrzemnąć.

Ktoś sprawia jej ból, szarpiąc za ramię. Młody mężczyzna w białym kitlu, na szyi stetoskop.

– Wszystko idzie dobrze, Rose. Przepraszam za to szturchanie. Mieliliśmy małe trudności z wbiciem się w twoją żyłę.

Uśmiecha się do niej, mówi, uspokaja.

Ktoś inny delikatnie odwija ją z wielowarstwowej płachty ręczników i koców.

Wyostrza słuch. Słyszy krzyk na sali. Dochodzi do niej: „tętno płodu”. Nagle wokół niej atmosfera zagęszcza się.

– Straciłam moje dziecko, prawda? Czy ono żyje? Pielęgniarka kładzie rękę na czole Rose.

– Tętno jest słabe.

– Co to znaczy? Proszę, proszę mi powiedzieć. Proszę się dowiedzieć.

Wraca lekarz. Kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Przykro mi, Rose. Nie możemy wyczuć tętna. Straciłaś dużo krwi. Niemożliwe, by dziecko zdołało przeżyć.

Rose bezwiednie zaczyna się trząść. Z jej lewej strony pojawia się

pielęgniarka, twarz pełna życzliwości.

– Owinę cię kocami. Cała drżysz z zimna.

– Gdzie jest mój mąż?

– Na zewnątrz. Za chwilę do ciebie przyjdzie, jak tylko doktor Harrington skończy. Musimy ci przetoczyć więcej krwi, Rose. Sporo jej straciłaś, ale już widzę, że wracają ci kolory na twarz.

Pielęgniarka masuje jej lewą dłoń. Życzliwość, wszędzie dookoła życzliwość. Zostało tylko sześć tygodni. Co za okrutny Bóg.

– Damy ci coś na znieczulenie bólu, Rose. Czeka cię nadludzki wysiłek.

Rose spogląda na niego przerażona.

– Czy nie możecie go ze mnie wyjąć? Czy muszę się tak męczyć na marne?

A potem znów robi się senna. Czuje ciepło promieniujące z prawej ręki. Błogosławiona ciemność.

*Czwartek, 6 kwietnia, godzina 6.30*

Czwartkowy poranek był piękny. Rose obudziła się wypoczęta i zważa, choć spała płytko. Szósta trzydzieści. Wstała natychmiast. Zdążyła się już nauczyć, że poranne leżenie w łóżku nie wychodzi jej na dobre. Jeśli nie wstałaby natychmiast, zalałyby ją fale smutku. Nie miała czasu na wewnętrzny niepokój. Musiała wstać i zacząć działać.

Wiedziała, że czekał ją telefon do prawnika. Nie miała na to ochoty, bo wydawało jej się, że to ostateczny krok. Rozum podpowiadał jej, że należało upewnić się, że była chroniona i jakie miała opcje, gdyby Ben nie wrócił. Ale jej sercu trudno było podejmować decyzje w tych kwestiach. Ciągle odkładała to na później.

Na cały ranek zaplanowała gotowanie. Do pory lunchu wszystkie posiłki do końca tygodnia miały znaleźć się w zamrażarce. Jeśli chodziło o sprawy kulinarne, musiała mieć pewność, że panuje nad sytuacją. A Jane zaprosiła ją na lunch, więc było coś, na co mogła czekać z przyjemnością.

Wczorajszy wieczór okazał się udany. Lisa zasypiała już jako o wiele szczęśliwsza mała dziewczynka. Rose nic jej nie powiedziała o Benie; nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas.

Brian zapytał ją, kiedy tato wraca do domu. Rose odpowiedziała, zgodnie z prawdą, że nie wie, ale przypuszczała, że może to być siedemnastego. Ta informacja zadowoliła chłopca. Szczegółowo przedstawił jej swoją prezentację komputerową, a ona udawała, że nie zdaje sobie sprawy z późnej pory. Jego tryumfująca twarz, kiedy ona niby to zauważyła, że było już wpół do jedenastej, wystarczyła, by nabrać

pewności, że z Brianem przynajmniej na razie także wszystko było w porządku.

Damien siedział z nią do drugiej w nocy. Od północy walczyła ze sobą, by nie otworzyć kolejnej butelki wina. Nigdy wcześniej tyle nie piła, ale teraz nie mogła się doczekać kilku kieliszków co wieczór. Wino pomagało jej otoczyć się ciemnością. Przemknęło jej przez myśl, że to najlepszy sposób prowadzący do uzależnienia. Do diabła z tym, później będzie się o to martwić.

Ulubione powiedzenie mamy stale tłuło się jej po głowie. Wystarczy nieszczęście na jeden dzień. W jej przypadku dozwolona dawka została znacznie przekroczona. Po godzinnej walce z samą sobą, kiedy stało się jasne, że Damien nie miał zamiaru iść do łóżka, poddała się. Damien był wyraźnie podekscytowany. Nigdy wcześniej nie widziała go tak rozgadanego. Tym razem, kiedy wyciągnęła butelkę i otwieracz, sięgnęła po dwa kieliszki.

Widziała, że był zadowolony. Ale w głowie zapaliły się ostrzegawcze światełka. Chciała pozostać szczerą wobec niego.

– Damien, nie chcę, byś w jakikolwiek sposób czuł, że skoro nie ma tu twojego ojca, to ty masz zająć jego miejsce.

„Nie ma tu” wydawało jej się najbardziej neutralnym określeniem stanu rzeczy, najbezpieczniejszym, jakiego mogła użyć. Wzruszył ramionami.

– Wcale tak nie czuję – powiedział. – Ale jestem już na tyle dorosły, by wiedzieć, że coś się święci. I są rzeczy, które mogę zrobić, by pomóc.

Rose odniosła nieprzyjemne wrażenie, że Damien był zadowolony, że Ben ich zostawił. Zasmuciło ją to.

– Nie chcę, byś mnie osłaniał albo trzymał dzieci z daleka ode mnie.



Jestem ci wdzięczna za dzisiejsze popołudnie, bo nie tyle zasnąłam, ile straciłam przytomność. Ale ty masz żyć swoim życiem, pilnować własnych spraw.

Nagle roześmiał się.

– Czy to znaczy, że mogę iść na dyskotekę w piątek?

– Tak, to znaczy, że możesz iść na dyskotekę w piątek, i w dodatku na mój rachunek!

Potem śmiali się i gawędzili w ciepły, relaksujący sposób, a Rose zdała sobie sprawę, że już nie będzie można tego odwrócić. Cokolwiek by się stało, w jej domu pojawił się kolejny dorosły, człowiek, tyle że ona sama wcale nie była taka pewna, czy cieszy się z tego powodu.

Pokręciła przecząco głową, kiedy nadstawił kieliszek, by mu dołąła, i chwilę serdecznie się przekomarzali. Wzdychając i kręcąc głową w udawanej rozpacz, skropiła dno jego kieliszka winem, tylko parę kropelek.

O drugiej w nocy dopadło ją zmęczenie z całego dnia. Wepchnęła korek do butelki i powiedziała Damienowi, by się kładł. Schowała butelkę do barku w dużym pokoju i po chwili namysłu zamknęła ją na klucz, który potem wsunęła do kieszeni szlafroka. Nie ma co kusić losu.

Choć spała bardzo krótko, następnego ranka obudziła się niezwykle wypoczęta. Schudła kolejne dwa kilo. Pod prysznicem aż się zakrztusiła, kiedy pomyślała sobie o odkryciu, którym podzieli się z Jane. Znalazła w końcu pewny sposób na pozbycie się zbędnych kilogramów.

Gwarantujemy dziesięć kilogramów mniej w dwa tygodnie. W razie reklamacji zwracamy męża lub pieniądze.

*Czwartek, 6 kwietnia, godzina 12.00*

Rose właśnie kończyła ozdabianie tarty, kiedy zadzwonił telefon. Szybko wytarła ręce i podniosła słuchawkę. Zanim powiedziała „halo”, domyśliła się, że to rozmowa zamiejscowa, sądząc po metalicznym pogłosie.

Ścisnęło ją w brzuchu, a serce zaczęło bić szybciej. Usta stały się suche, trudno było wypowiedzieć słowo.

– Halo? – wydusiła z siebie.

– Rose? – zapytał kobiecy głos.

Caroline? Czy Ben miał wypadek? Czy żył? Rose zaczęła się bać.

– Tak, mówi Rose.

Chwyciła się kurczowo telefonicznego kabla, starając się ze wszystkich sił, by nie upaść.

– Rose, tu Martha.

Prawie krzyknęła, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

– Martha? Skąd dzwonisz?

– A niby skąd miałabym dzwonić? Z Sydney, głuptasie. Pogłos był denerwujący. Zaczęły mówić w tym samym czasie, ich głosy nałożyły się na siebie.

– Ty pierwsza! – krzyknęła Rose.

– Przyjeżdżam do domu na sześć tygodni. Nie planuj żadnych wakacji na lipiec. Bardzo się za tobą stęskniłam!

Prawie dwadzieścia lat. Martha odwiedziła dom tylko raz, dziesięć lat temu, kiedy zmarł jej ojciec. Jako jedynaczka zawsze twierdziła, że po

śmierci ojca nikogo już nie ma. Przez pierwsze kilka lat udało im się utrzymać bliski kontakt, ale z czasem łączyło je coraz mniej wspólnych spraw, więc stosunki rozluźniły się. A teraz, gdy Rose potrzebowała przyjaciółki najbardziej, ta prawie tu była.

Nie chciała jej teraz powiedzieć, nie przez telefon. Napisze do niej. Właśnie taką przyjemność zafunduje sobie dziś wieczorem. Napisze do Marthy. Opisz wszystko na niebieskiej papeterii lotniczej. Kto wie, być może dzięki temu łatwiej będzie zrozumieć, co tak naprawdę się stało.

Niezła perspektywa. Jedno z ulubionych słów Marthy. Przynajmniej ma przed sobą jakąś perspektywę.

– To wspaniale! Cudownie będzie się z tobą spotkać. Czy mieszkasz pod tym samym adresem?

Głos Marthy oddalał się. Rose nie mogła jej usłyszeć.

– Pracujesz nadal w tym samym szpitalu?

Rose krzyczała do słuchawki. Za wszelką cenę chciała kontynuować rozmowę.

– Napiszę do ciebie do szpitala, OK?

– Tak, w porządku. Słyszę cię doskonale, ale ty najwyraźniej masz kłopoty, żeby mnie usłyszeć. Pisz do szpitala. Klinika Pediatrii. I pośpiesz się!

– Dziś wieczorem napiszę! Słyszysz? Wieczorem, obiecuję! Dalej już nic nie mogła usłyszeć. Odłożyła słuchawkę i zaczęła szlochać.

Ślub. Martha jako drużna. Wódka i 7-Up. Rose płakała tak długo, aż poczuła się zupełnie pusta.

A potem siedziała beczynn timer, aż nadszedł czas, by pójść do Jane.

*Czwartek, 6 kwietnia, godzina 13.00*

Jane przywitała Rose wymowną miną. Wskazała na kuchnię i wzniosła oczy do nieba. Rose zgadła, że ktoś wpadł z niezapowiedzianą wizytą. Pokiwała głową, by pokazać Jane, że nie ma sprawy. Przywitały się głośno i radośnie. Jane zaprowadziła ją do nadzwyczajnie wysprzątaney kuchni.

– Rose, to jest Colette, moja szwagierka. Colette, poznaj moją przyjaciółkę, Rose.

Rose była zadowolona. Najpierw Martha, a teraz Jane przedstawia ją jako przyjaciółkę. Rose poczuła, że rodzi się w niej coś, co przypomina szczęście.

– Miło mi cię poznać, Colette.

Podają sobie ręce. Rose wręczyła tarte Jane, która krzyknęła z radości.

– Ty mała spryciuło. No nie, jeszcze ciepła, chyba prosto z piekarnika.

Rose obserwowała Colette, której zainteresowanie wypiekiem przekraczało zwykłą uprzejmość. Jane droczyła się z nią.

– Spójrz na to, Colette. Założę się, że dałabyś sobie głowę uciąć za kawałek tych pyszności!

– Wygląda wspaniale. Dalej, przestań mnie trzymać w napięciu.

Rose usiadła, podczas gdy Jane ukroiła trzy duże porcje i postawiła przed nimi szklaną misę sałatki. Colette sama się obsłużyła. Rose nie mogła się zdecydować, czy kobieta jest aż tak bardzo głodna, czy po prostu niegrzeczna.

– Idealna – zwróciła się prosto do Rose. – Czy kiedykolwiek myślałaś, żeby zacząć na tym zarabiać?

Rose wpierv spojrzala na Jane, a potem znów na Colette.

– Nie – powiedziala w koncu. – Nigdy o tym nie myslalam.

Poczula, ze cos sie swieci. Wiedziala, ze Colette nie zapytala ja o to z czystej ciekawosci.

– Colette ze swoja wspolniczka prowadza mala restauracje w Greystones. Przyszlas w momencie, kiedy narzekala na problemy z zamowieniami na posilki.

Twarz Jane nic nie zdradzila.

Rose czekala, az Colette dokończy wstep Jane.

– Jestem w trakcie poszukiwan kogos, kto dostarczalby mi tarty, domowy ciemny chleb, ciasto i inne tego rodzaju rzeczy. Czy chcialabyś przygotowac mi kilka probnych potraw? Potem, jezli sie dogadamy, dam ci tygodniowe zamowienie. Zainteresowana?

– Tak. Nawet bardzo. Na kiedy mam ci przygotowac probki? To bylo cos, co Rose nagle zapragnela robic ponad wszystko inne na swiecie. Nie musiala sie nikogo radzic. Bena nie bylo przy niej, a to oznaczalo brak planow, do ktorych musialaby sie dostosowac. W koncu znalazla cos, co ja zajmie, a moze kiedyś zrobi z tego jeszcze wiekszy uzytek.

– Dasz rade na jutro rano?

Colette wręczyła jej jedna z wizytówek restauracji. Rose przeczytala szybko. La Bonne Bouche, Greystones, spolka Wicklow. Kawalek drogi. Bedzie musiala dokladnie zaplanowac caly dzien. Zdala sobie sprawe, ze pobudka o szostej rano to nowy punkt w codziennym programie. Cieszyła sie, ze ma jakis cel. Niby taki drobiazg, ale jej podekscytowanie przekraczalo wszelkie granice.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Jane. Zabrała się do tarty z

nowym, krytycznym smakiem, kalkulując w myślach ilość i koszt składników. Sam Bóg wiedział, że jest w tym dobra, miała za sobą wystarczająco długi staż.

Chciała być w domu przed powrotem Briana i Lisy ze szkoły, więc pożegnała się. Colette i Jane gawędziły dalej, a ona obiecała, że zadzwoni później.

Kiedy wróciła do domu, zobaczyła na podjeździe obcy samochód. Rose ostrożnie zbliżała się do drzwi. Spostrzegła przeraźliwie bladą Lisę. Z samochodu wysiadła Ann Walsh, szkolna nauczycielka, która z przeprosinami na ustach powitała Rose.

– Bardzo przepraszam, pani Holden. Dzwoniliśmy jakąś godzinę temu, ale nikt nie odbierał. Lisa uparła się, że pani powinna być w domu, wpadła w panikę, więc musieliśmy przywieźć ją tutaj i poczekać.

Ann Walsh podeszła bliżej do Rose i ściszyła głos.

– Lisa jest chora, ale poza tym coś ją martwi. Zdenerwowała się bardzo, nie mogliśmy jej uspokoić, więc postanowiliśmy, że najlepszą rzeczą będzie ją tu przywieźć i poczekać na panią.

– Dziękuję bardzo, naprawdę dziękuję pani. Czy powiedziała, o co się tak martwi?

Ann zawahała się przez chwilę.

– Myślę, że niepokoi się o pani zdrowie. Przeraziła się, że nie otworzyła nam pani drzwi, tym bardziej że samochód zaparkowany jest przed domem. Powiedziałam, że pewnie poszła pani na spacer, pogoda jest taka piękna. Ale to jej nie uspokoiło.

– Dziękuję jeszcze raz – powtórzyła Rose. – Wiem, w czym rzecz. Zajmę się tym.

Otworzyła drzwi samochodu i wyciągnęła ręce w kierunku Lisy.

– Chodź, skarbie. Zaraz poprawimy ci humor.

Lisa nie wytrzymała. Mocno przyłgnęła do Rose i zaczęła płakać. Rose kiwnęła do Ann, że wszystko jest w porządku, i niosąc tulącą się do niej dziewczynkę, doszła do drzwi frontowych. Zniosła córeczkę prosto do swojej sypialni, gdzie położyły się razem na podwójnym łóżku. Rose przykryła je obie i kołysała w objęciach swoją małą dziewczynkę, aż szloch ustal.

Nadszedł czas, żeby powiedzieć dzieciom.

*Czwartek, 6 kwietnia, godzina 15.55*

Rose cicho zamknęła drzwi sypialni. Lisa w końcu zasnęła. Sama też musiała się zdrzemnąć na chwilę, dochodziła szesnasta.

Przez sekundę ogarnęła ją panika, ale zaraz oprzytomniała. Czwartek – Brian gra w koszykówkę. Weszła do kuchni i napełniła czajnik. Chłopcy powinni być w domu w ciągu pół godziny. Musiała znaleźć sposób, by powiedzieć prawdę Brianowi i jednocześnie dać do zrozumienia, że wczoraj nie próbowała go okłamać.

Lisa podsłuchiwała Johna i Damiena w drodze do szkoły. Niby sami niedawno byli dziećmi, ale już zdążyli zapomnieć, że maluchy usłyszą wszystko, a szczególnie to, czego najbardziej nie powinny się dowiedzieć.

John zapytał Damiena, czy jego ojciec zamierza wrócić.

Rose potrafiła sobie wyobrazić odpowiedź Damiena. Wzruszenie ramion, a potem lakoniczne: „Nie sądzę, zresztą mało mnie to obchodzi”. Lisa skojarzyła te słowa z „nieprzyjazną atmosferą” w domu, jak to określiła, i całą dobrą robotę wczorajszego wieczoru trafił szlag. Dziewczynka naprawdę się przeraziła. W trakcie porannych zajęć doszła do wniosku, że mamusia też ich zostawi, więc musiała wrócić do domu, by ją zatrzymać.

Rose spróbowała jak najlepiej wytłumaczyć córeczce prawdę.

– Czasami dorośli źle się zachowują i jest lepiej, jeśli mieszkają osobno przez jakiś czas. Ale ja nigdzie nie odejdę, Lisa. Gdziekolwiek ty jesteś, i ja tam będę. Przysięgam, że nigdzie nie odejdę.

– Dla kogo tak jest lepiej? Dla dorosłych? – zapytały niewinne



usteczka.

– Tak, ale dla dzieci też. Nie jest dobrze rosnać wśród ludzi, którzy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Byłabyś nieszczęśliwa.

– Czy właśnie to przydarzyło się tobie i tatusiowi? Rose trudno było odpowiedzieć.

– Tak, kochanie, nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Ale cokolwiek się stanie, obydwójce dopilnujemy, żebyście byli razem, szczęśliwi i żeby niczego wam nie brakowało.

– Czy mogę dostać gorącej czekolady? Rose pocałowała ją.

– Oczywiście, że tak. Właściwie to napijemy się jej razem, zaraz przyniosę dwa kubki do łóżka.

Ale zanim Rose wyszła z pokoju, Lisa już spała.

Rose dziękowała w duchu za tę dziecięcą zdolność wyłączania się po uzyskaniu takich informacji. Nie miała wątpliwości, że na podobne pytania będzie musiała odpowiedzieć jeszcze ze sto razy. Wciąż będzie udzielać tych samych jasnych i klarownych odpowiedzi, aż w końcu pytania staną się tylko formalnością. Dla dzieci ważne będą nie tyle informacje, ile uspokajające zapewnienia, mające siłę oddziaływania mantry.

Rose przygotowała sobie filiżankę kawy rozpuszczalnej. Martwiła się o Briana, o jego widoczny brak troski, ucieczkę w bezpieczny świat komputerowy. Będzie musiała powiedzieć mu mniej więcej to samo co Lisie. Tyle że trudno będzie odgadnąć, co chłopak naprawdę myśli i czy zdołała go uspokoić.

I jeszcze trzeba ostrzec Damiena, żeby uważał na to, co mówi. Jezus, to wszystko bardzo się skomplikowało. Rose przesunęła dłońmi po głowie,

próbując złagodzić napięcie, jakie odczuwała. Takie zamieszanie, a nikt z nich nie wiedział o innej kobiecie!

Telefon Marthy podbudował ją. Tak bardzo potrzebowała kilku godzin samotności, czasu tylko dla siebie. List do przyjaciółki otwierał przed nią taką perspektywę.

Zagoni ich wcześniej do łóżka, a jutro... Boże! Tarty! Zmusiła się, żeby przyhamować.

– Nie pozwolę, aby wszystko się zawaliło.

Powiedziała to na głos, gdy wylewała resztki kawy do zlewu. Zrobi dokładnie tak, jak planowała. Lisa może nie iść do szkoły i pomóc jej. Droga do Greystones będzie okazją do rozmowy. Mogą nawet zjeść razem lunch w restauracji Colette.

Dzięki Bogu, jutro już piątek. A potem dwa pełne dni, by się pozbierać i zgromadzić siły na nowy tydzień. Siedem dni bez Bena. Koniec pierwszego tygodnia. Bez Bena.

Brian i Damien przyszli do domu razem, wściekle głodni. Rose wstawiła warzywa na ogień.

I tak zapadł wieczór czwartego dnia.

## *Luty 1981*

Jest piękny, jasny dzień, kiedy Rose się budzi. Ben pochyla się nad nią i bierze w swoje ręce jej dłoń.

– Witaj. – Całuje ją w oba policzki. – Tak mi przykro, kochanie, bardzo mi przykro.

Ale ona wiedziała, naprawdę. Wiedziała już wtedy, kiedy obudziła się tamtej strasznej nocy, setki lat temu.

– Jaki mamy dzień? – pyta nagle.

– Czwartek.

– Więc kiedy to się stało? Głaszczesz jej włosy.

– Ostatniej nocy, kochanie. Dokładnie o drugiej nad ranem.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało. Nic nie pamiętam. Ze smutnym spokojem Ben układa brakujące elementy w całość.

– Gdzie on jest? Gdzie go zabrali? Ben wyciera sobie oczy wierzchem dłoni.

– Nie wiem. Zaraz przyjdzie tu lekarz.

Ale Rose nie dba o to. Zaczyna płakać. Ze szczegółami rozpamiętuje najgorszą noc swojego życia. Żal narasta i pęka, narasta i pęka, i tak w kółko. Resztę swojego życia Rose spędzi, płacząc.

*Piątek, 7 kwietnia, godzina 5.50*

W piątek padało. Rose nie cierpiała prowadzić samochodu w deszczu. Kiedy obudziła się i zobaczyła przytłaczającą szarość, natychmiast ogarnęło ją rozdrażnienie. Stojąc pod prysznicem za dziesięć szósta, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w tym tygodniu zareagowała naturalnie.

Jak dotąd, przeżywała jedynie stany ekstremalne – od rozpaczy po euforię, od nadziei po paralizujący strach. Czasami silne poczucie odpowiedzialności obezwładniało ją. To, że zareagowała rozdrażnieniem na nielubianą pogodę, potraktowała jako dobry znak. Kto wie, może jej życie wracało powoli do swego rytmu, tego sprzed niecałego tygodnia? Albo zaczynała właśnie nowy etap.

List do Marthy dobrze jej zrobił. Swoje przeżycia opisała szczegółowo, wypełniając trzynaście niebieskich kartek. Pisała gęsto, porządnie, oszczędzając papier, tak jakby chodziło o ratunek prywatnego lasu deszczowego. Chciała wszystko opisać w wyważonym tonie, ostrożnie więc formułowała myśli i odpędzała te dotyczące przyszłości. Miała wrażenie, że rozsypuje słowa bezładnie na kartce, w jej głowie roiło się od fatalnych myśli. Jak tylko zdołała przelać je na papier, uwolniła się od nich. Nie oszczędziła żadnego detalu, poczynając od ślubu, dzieci, zmarłego Michaela, a kończąc na swej poobijanej i sponiewieranej miłości do Bena. Zdradziła Marcie płataninę targających nią sprzecznych uczuć, których nie była do końca świadoma.

Chciała, żeby on wrócił do domu. Pragnęła go zabić. Marzyła, by wrócił do domu, żeby mogła go zabić. Potrzebowała go, by znów

uporządkował jej świat.

Skończyła pisać i zastanowiła się. Pisząc do Marthy, uświadomiła sobie, że ma już czterdzieści dwa lata. Przez cały tydzień napotykała ludzi, którzy w tym wieku już coś osiągnęli. Nie wszystkich знаła osobiście. Fotografie rówieśników w gazetach wywoływały nieprzyjemny strach. Powoli, jak wynurzający się wielki potwór z ciemności, zaczęła w niej dojrzewać myśl, że dla niej było już za późno. Nic nie osiągnęła, jej najlepsze lata minęły, zasilala szeregi starszego pokolenia. Właściwie to najwięcej wspólnego miała z dinozaurami. Dla dzieci równie dobrze mogła mieć i siedemdziesiąt lat, nie widziały różnicy, bo i tak była stara. Martha, proszę bardzo, starszy specjalista drugiego stopnia w pediatrii.

Wszystko, co miała w domu, to kilka zapiekaneek z wędzonym łososiem. Plus wczorajsza porcja Briana. Chłopcy wrócili z koszykówki w niezbyt dobrych humorach. Rose widząc zmęczoną twarz Briana, wspomniła o jedzeniu. I wtedy syn eksplodował, krzycząc na nią wściekle i trzaskając drzwiami.

– Czy on coś wie? – spytała Damiena.

– Zapytał mnie, czy coś jest nie tak. Powiedziałem, że nic nie wiem. Wtedy nazwał mnie kłamcą. Słyszał, jak rozmawialiśmy przedwczoraj w nocy. Naprawdę się wściekł, ale nie miałem czasu cię uprzedzić. Przepraszam.

Oczy Damiena wypełniły się łzami. Rose spróbowała go dotknąć, ale syn gwałtownie się odsunął. Puściła go.

– To nie twoja wina, Damien. Nigdy nie będzie idealnej chwili czy miejsca, żeby ujawnić prawdę. Musiałam powiedzieć dziś Lisie, więc teraz przyszła kolej na Briana. Nie martw się, prędzej czy później musiało do

tego dojść.

Rose nie straciła panowania nad sobą, zdawała sobie sprawę, że taki był nieuchronny bieg wydarzeń.

Brian zniósł prawdę spokojniej niż Lisa. Powiedziała mu dokładnie to samo, używając tych samych fraz. Trzymał się z dala od niej, nieustępliwy. Uważała, żeby nie wkroczyć w jego przestrzeń. Siedział na swoim łóżku, a ona zajęła małe, wiklinowe krzeselko przy oknie.

– Czy mogę pooglądać telewizję? – Brian zapytał lodowatym głosem, kiedy tylko skończyła.

To było dla niej jak cios nożem. Zacięta twarz dziecka niczym skalpel ugodziła ją w samo serce. Wiedziała, jak syn podziwiał Bena, jak bardzo za nim przepadał. Poczwała gromadzące się łzy. Już sama nie miała pojęcia, co było gorsze: Damien napawający się złym zachowaniem Bena czy Brian wyładowujący gniew na niej. Odezwała się do niego opanowanym głosem:

– Tak. Jeśli będziesz głodny, mam dla ciebie obiad. Będę w kuchni, gdybyś mnie potrzebował.

Rozumiała, że potrzebował czasu, żeby pojąć to, co mu powiedziała. W kuchni panowała złowroga cisza. Jedzenie Damiena stało nietknięte, ona też nie była głodna. Lisa jeszcze spała, a Brian raczej nie miał ochoty dotykać niczego przygotowanego przez matkę.

Przed oczami stanęła jej nagle scena z mistrzostw świata w łyżwiarstwie figurowym. Wyobraziła sobie sędziów ze swoimi kartami, którymi pokazywali noty za występy. Na lodowisku jej mistrzowska tarta upadła, rozkładając się jak długa. Na samą myśl o tarcie robiło jej się niedobrze. Rano musi sporządzić listę rzeczy, potem je kupić, w końcu

przyrządzić trzy głupie potrawy i w tym pieprzonym deszczu zawieźć je do Greystones, a potem jeszcze wrócić.

Kilka razy głęboko odetchnęła. Powolutku, pomaluśku. Gdyby pozwoliła sobie na wybuch złego humoru w tej chwili, zbyt wiele kruchych rzeczy dookoła mogłoby tego nie przetrwać.

Kiedy wyszła z łazienki, natknęła się na ubranego już Briana. Nie należał do rannych ptaszków. Poprzedniej nocy, nie odzywając się ani słowem, poszedł spać. Przywitała się z nim chłodno, bez sztucznego zapału, bez przytulaniek i innych mamusinych bajerów. Schodzili sobie z drogi przez pewien czas, trzymając się jak najdalej od siebie, gdy szykowali sobie śniadania. Uważał, by nie daj Boże nie znaleźć się zbyt blisko niej, ona zachowała ostrożność, by przypadkiem go nie dotknąć.

Usiedli. Zaczął grzebać łyżką w gęstej masie owsianki, mieszając kleisty miód. Obserwowała, jak jego mała twarz dosłownie się rozpadła i chłopiec zaczął płakać. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, te słowa krążyły jej po głowie. Odczekała chwilę. Poczwała, jak i do jej oczu napływają łzy, kiedy syn podniósł na nią przepełniony bólem wzrok, oferując jej swoją chęć bycia pocieszonym. Kołysała go w ramionach, a on nie protestował. Pocieszała go szeptem, tak jak potrafiła najlepiej.

Kiedy tylko poczuła, że ma już dosyć, wytarła jego twarz i uśmiechnęła się do niego, czekając, aż odwzajemni uśmiech.

– Słuchaj, Lisa zostaje dziś w domu. Mam do załatwienia parę spraw. Co byś powiedział na wolny dzień?

Jego twarz rozpromieniła się.

– Naprawdę?

– Do diabła ze wszystkim. Myślę, że potrzebujemy tego dnia dla siebie.

Poza tym przyda mi się wasza pomoc.

Tryskał teraz entuzjazmem.

– Pewnie, co tylko chcesz. Czy mogę pograć na komputerze? Skinęła głową.

– Ale najpierw dokończ śniadanie, tak jest, grzeczny chłopiec. Wszystko w porządku?

– Tak jest, cool.

Szczyt pochwały i uznania. Cool. Wystarczy już na jeden dzień.

Zakomunikowała Damienowi o ich planach, nie składając mu podobnych propozycji. Przygotowała się na odparcie protestu przeciwko jawnej niesprawiedliwości. Ale nic takiego nie nastąpiło.

– No, nie ma sprawy. John gra dziś z Josephem i idę kibicować. Czy moja dyskoteka jest nadal aktualna?

Rose poczuła się tak, jakby ostatnie dwadzieścia cztery godziny spędziła na gorących negocjacjach Unii Europejskiej.

– Tak, możesz iść, ale najpóźniej o wpół do pierwszej jesteś w domu.

Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, że nie warto dalej pertraktować.

– Dobrze – przystał na te warunki, smarując masłem czwartą kanapkę.



## *Luty 1981*

Jeśli jeszcze ktoś jej powie, że ma aniołka w niebie, to oberwie. Rose nie chce niczego tak bardzo abstrakcyjnego. Chce płaczącego, wierzgającego, głodnego, na wpół obudzonego o trzeciej nad ranem noworodka. Na co jej aniołek? Zacznie krzyczeć, jeśli jeszcze ktoś jej powie, że będzie miała kolejne dzieci, zupełnie tak, jakby ludzi można było zastąpić.

W domu po jej powrocie panuje przerażająca cisza.

Ojciec usprawiedliwia się złym samopoczuciem i – jak twierdzi – nie jest w stanie jej odwiedzić. Grace zachowuje ostrożny dystans. Gdyby kiedykolwiek wcześniej Rose wyobraziła sobie podobną sytuację, właśnie takiego zachowania oczekiwałyby od najbliższych, ale teraz jest rozżalona na siostrę.

Ellen jako jedyna mówi Rose po prostu: „Tak mi przykro”.

Rodzice Bena są w stosunku do niej bardzo formalni, jeszcze bardziej niż zwykle ostrożni. Rose wydaje się, że raz czy dwa dostrzega coś w twarzy teściowej, coś, co dodaje jej otuchy, ale kobiety nigdy nie zostają sam na sam w pokoju.

Przez pierwsze dni Rose zastanawia się, czy nie zwariuje. Czy w ogóle urodziła jakieś dziecko? Dlaczego wszystkim tak zależy, by uwierzyła, że to był potwór?

Z zadowoleniem wspomina swoje zwycięstwo, kiedy trzymała Michaela w objęciach tak długo, jak jej na to pozwolili.

Kiedy obejmowała jego zimne ciało, wcale nie wydawało jej się, że

jest ono nieludzkie. Ogrzała ich oboje słodkim uczuciem błogości, przytulając mocno. Wobec pielęgniarek zachowała się niegrzecznie i obcesowo, więc w końcu zostawiły ją samą.

A potem, kiedy jest na to gotowa, pozwala mu odejść.

Żałuje, że nie ma zdjęcia, pukla jego włosów, czegokolwiek, co dowodziłoby jego istnienia. Wszyscy tak się spieszą, żeby o nim zapomnieć. Nawet Ben robi wszystko, by zapomnieć.

Ona zawsze będzie o nim pamiętać. Nie wyprze się siebie.

Jest Rose. Nie pozwoli, by to ją zniszczyło.

Przepaść między tym, czego oczekuje od niej Ben, a tym, kim ona się staje, zwiększa się każdego dnia.

Żeby zagłuszyć towarzyszący tej zmianie ból, zaczyna maszerować.

*Piątek, 7 kwietnia, godzina 8.50*

I znów Rose czekała przed supermarketem. Przyjechała tu w interesach, więc w rękach trzymała jedynie listę składników. W domu wszystkiego starczy aż do poniedziałku. Dopiero wtedy uda się na kolejną wycieczkę do supermarketu. Dziś chodziło o coś innego.

W jednym ze starych zeszytów Lisy przygotowała tabelkę, by zapisać, ile czasu spędziła w sklepie, ile kosztowały składniki, czas przygotowania i gotowania, czas jazdy samochodem i zużyte paliwo. Jeśli wszystko się uda, obliczy ostateczną kwotę później.

Kiedy otworzono drzwi supermarketu, ogarnęło ją zdenerwowanie. Zupełnie inne uczucia towarzyszyły jej przy robieniu tego rodzaju zakupów – zakupy do pracy, za którą dostanie wynagrodzenie. Nie spieszyła się, dokładnie ważyła, wybierała, przeliczała. Zdecydowała się przygotować trzy różne tarty: z szynką i karczochami, z wędzonym łososiem i śmietaną, a także jedną wegetariańską. Jak tylko skończyła pisać list do Marthy, o drugiej nad ranem zaczęła uważnie studiować książki kucharskie. Razowe bułeczki, mleczny chleb, orzechowe rogaliki i rosyjski chlebek wielkanocny – taki zestaw wybrała na pierwszą próbną partię.

Potrzebuje świeżych drożdży. Nie mogąc ich znaleźć w lodówce, poczuła, jak ze strachu dostaje gęziej skórki.

– Przepraszam, czy mają państwo drożdże? Niedoinformowany młody człowiek z miotłą w ręku spojrział na nią tępym wzrokiem. Pokazała mu małą niebieską puszkę.

– To są suszone drożdże – wytłumaczyła, słysząc niemal tykanie zegara w głowie. – Szukam świeżych. Czy mógłby je pan dla mnie znaleźć?

Chłopak i jego miotła pospieszyli wzdłuż korytarzy. Rose znów spojrzała na zegarek. Zmartwiła ją myśl, że pewnie zapomniał. Jednak po kilku minutach wrócił, tyle że z pustymi rękoma. Rose poczuła, jakby skóra na czole naprężyła się nieprzyjemnie.

– Nie mamy świeżych drożdży, ale piekarnia może ich trochę dać. Ile pani chce?

Napięcie zaczęło znikać z jej twarzy.

– Cztery deka wystarczy. Bardzo dziękuję.

Trzęsącymi się rękoma odłożyła niebieską puszkę na półkę. Wszystko musiało się udać. Chłopak znów się oddalił, by wrócić za chwilę; z wypisanym na twarzy celem wyglądał poważniej. Rose zrobiło się go żal. Był niewiele młodszy od Damiena. Podziękowała mu i wcisnęła funta.

Wróciła do domu, rozpakowała sprawunki i do dziesiątej ręce miała całe w mące.

Proces szykowania potraw okazał się bardzo terapeutyczny. Dokładnie wyrobiła ciasto na razowe bułeczki, ciskając i ugniatając gęstą masę na kuchennym blacie. Nie najlepszy poranny humor minął bez śladu.

Wyrabiając ciasto, planowała kolejne wypieki: bagietki, domowe pączki, ryżowe wafle. Zrobi na próbę wszystko, a potem dostarczy Colette, cokolwiek ta sobie zażyczy. A jeśli Colette nie podejmie z nią współpracy, to może znajdzie się ktoś inny. Akurat to potrafiła robić naprawdę dobrze.

Pewnie jej zdjęcie nie ukaże się nigdy w gazecie, lat jej nie ubędzie, ale może, może zacznie zarabiać na życie tymi zwyczajnymi, skromnymi, prawdziwymi razowymi bułkami.

Droga do Greystones upłynęła zaskakująco miło. Szaruga ustąpiła, jak tylko zostawili za sobą Dublin. Niebo rozchmurzyło się. Lisa i Brian zrelaksowani, wyglądali na szczęśliwych. Atmosfera w samochodzie ożywiła się, chwilami sięgając historycznego punktu. Rose była rada, że powiedziała im prawdę. Jakakolwiek dalsza rozmowa nie wchodziła w grę. Kasety zmieniały się według ściśle przestrzeganej kolejności, a poziom decybeli daleko odbiegał od zalecanych norm.

– Teraz moja kolej – zażądał Brian. – Nie posłuchaliśmy nawet pierwszej strony Nirvany.

Rose ucieszyła się, że ma teraz szansę zatopić się we własnych myślach, przyjrzeć się – jak to określała – nowym prawdom. Było ich tak wiele.

Prawda Bena, jej prawda i to, co dzieci uznały za prawdę. Trudno było rozeznaczyć, co w rzeczywistości było prawdziwe. Jeśli terażniejszość była realna, to jak miała ocenić ostatnie dwadzieścia lat? Czy przez cały ten czas Ben żył w kłamstwie?

Próbowała ocenić, jak ta sytuacja na nią wpłynęła. Zaczynała dostrzegać możliwość życia dla siebie, bez Bena. Nie wzbudzało to w niej entuzjazmu, ale liczyła się z taką sytuacją. Przerazające, choć jednocześnie zabawne.

Piąty dzień. Równie dobrze mogło upłynąć pięć milionów lat. Czas nie miał znaczenia, tak naprawdę liczył się tylko emocjonalny dystans, jakiego nabierała.

Więcej przygotowań poczyniła na wyjazd do Wicklow niż na tę podróż przez pustkę po odejściu Bena. Trudno jej było pomieścić wszystko w głowie. Zamyśliła się na chwilę i niemal przejechała obok zakrętu do

restauracji.

Brian i Lisa zaczęli krzyczeć, sprowadzając ją znowu na ziemię:

– Mamo! Jest znak na Greystones! Musisz tu skręcić! Zwolniła, płynnie zmieniła biegi i skierowała się prosto na Bonne Bouche. Musiała się skoncentrować. Nie miała czasu na uzalanie się nad sobą.

Przyjechała dokładnie na umówioną godzinę, a Colette wyszła na powitanie.

– Rose. Dobrze cię widzieć. Nie spóźniłaś się.

Rose poczuła lekkie zirytowanie. Ton Colette uznała za zbyt protekcyjny.

Razem wnieśli tacki z jedzeniem. Wspólniczka Colette, Annie, podeszła, by się przywitać.

– Rose! Tak miło mi ciebie poznać! Dojechaliście bez kłopotów?

Rose polubiła ją natychmiast. Miała taką jasną i przyjacielską twarz.

– Bez żadnych problemów, dzięki.

Annie skierowała uwagę na Briana i Lisę. Colette nawet ich nie zauważyła.

– Annie, to jest Lisa, a to Brian. Moi dzisiejsi pomagierzy. Annie uścisnęła im rękę.

– Jestem pewna, że nie macie nic przeciwko puszcze coli i odrobinie czegoś do jedzenia. Chodźcie ze mną.

Rose słyszała, jak rozmawiała z nimi najnormalniej w świecie, zachęcając, by poczęstowali się bułeczkami i rogalikami, wybierając dla nich te najładniejsze. Była świadoma, że obok czekała Colette.

– A więc przyjrzyjmy się dokładnie, co my tutaj mamy. Rose usłyszała zniecierpliwienie w głosie Colette.

Kilka starszych pań siedziało leniwie nad filiżankami kawy i rożkami.

– Urwanie głowy mamy rano i w porze lunchu – poinformowała ją Colette. – Teraz jest spokój. – Podniosła tackę. – Przejdę się z tym dookoła.

Poprowadziła Rose do stołu. Zanim Rose zdążyła usiąść, Colette już nie było.

Lawirowała między stołami, częstując klientów bułeczkami i chlebem przywiezionym przez Rose.

Rose obserwowała, jak Annie ponownie napełnia talerze dzieci. Uśmiechnęła się do Rose i podeszła do niej, by dotrzymać towarzystwa. Rzuciła okiem na pusty stół. Rose zauważyła błysk złości w jej oczach.

– Napijesz się kawy, Rose?

– Nie, dziękuję, Annie, nic mi nie trzeba.

– Specjalnie pościłam, żeby w brzuchu starczyło mi miejsca na twoje tarty. Miałabyś ochotę zjeść z nami lunch?

Rose skłamała, że musi wracać. Jedyne, o czym marzyła, to by mieć to już za sobą. Annie nie nalegała. Colette wróciła do stołu rozpromieniona.

– Te są wspaniałe, Rose. To orzechowe nadzienie jest wyśmienite.

Kiedy ugryzła kolejny spory kawałek, Rose poczuła się nagle zmęczona. Była zadowolona, że nie musi lubić Colette.

Za to restauracja przypadła jej do gustu. Utrzymana w ciepłych i żywych barwach, z wyeksponowanymi ścianami z cegły, jaskrawoczerwonymi obrusami i serwetkami z materiału. Może kiedyś sama pomyśli o czymś podobnym, ale zostawi sobie te marzenia na odległą, spokojniejszą przyszłość.

Spojrzała na kartę dań. Proste potrawy, przyrządzone z najłatwiej

dostępnych składników. Boeuf Straganów, Coq au Vin, ryba po hiszpańsku. Sałatki i świeże warzywa podawane do wszystkiego.

Rose zaczęła się denerwować. Miała nadzieję, że podjęcie decyzji nie zajmie im zbyt wiele czasu. W oczekiwaniu na tę decyzję kalkulowała ceny w menu, szacując czas potrzebny na ich przygotowanie i realny zysk.

Podskoczyła, kiedy Annie w końcu odezwała się do niej.

– Nie musimy trzymać cię w niepewności, Rose. Wszystko jest przepyszne. Czy jesteś pewna, że zdołasz dostarczyć nam tyle, ile potrzebujemy?

Rose zapewniła je obie, że da radę. Annie krzyknęła wesoło: „Witaj na pokładzie!” i kolejna godzina upłynęła na szczegółowym omówieniu ilości i rodzaju zamówień. Rose z grubsza oszacowała koszty przedsięwzięcia, na wszelki wypadek podwajając kwoty niezbędne na składniki. Obiecała przygotować bardziej szczegółowy kosztorys pod koniec przyszłego tygodnia. Wyglądało na to, że wspólniczki są zadowolone, i uroczyście uścisnęły sobie dłonie.

Rose zastanawiała się, dlaczego nie czuje się bardziej podekscytowana. Zeszłej nocy, kiedy przygotowywała ciasto drożdżowe, wpadła na pomysł, by sprzedać swój samochód i zainwestować w furgonetkę. Wspaniałe, ambitne plany rysowały się przed nią przez całą noc. Teraz jednak nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby cienia entuzjazmu. Powinna skakać z radości, że jej umiejętności mają wzięcie. A tak naprawdę, to mało się tym wszystkim przejmowała. Do głosu dopuściła pesymistyczne wizje, że i tak nic z tego nie wyjdzie.

W drodze do domu Rose martwiła się, że podjęła się zadania, któremu nie podoła. A co, jeśli Ben wróci i będzie musiała przestać? Życie po



siedemnastym kwietnia nie będzie wyglądać już tak samo, bez względu na to, co się stanie. Przerażała ją myśl, że obiecała coś, czego być może nie będzie mogła wykonać. A jeśli w ogóle nic nie zarobi?

Rose była bardzo, bardzo zmęczona, kiedy dotarli do domu. Senni Brian i Lisa siedzieli cicho z tyłu. Rose widziała w lusterku, jak Lisa kilkakrotnie brała kciuk do buzi. To nawyk, który dziewczynka zarzuciła miesiące temu.

Dom wydał się nieprzyjazny, zimny, mimo że Damien był wcześniej i nastawił ogrzewanie. Teraz siedział u Johna. Znow zaczęło padać.

Nikt nie był jeszcze głodny; dzieci z zapalem zasiadły przed telewizorem. Rose zostawiła je, przekazując wytyczne, by ją obudzić o wpół do ósmej.

Przykryła się kołdrą i natychmiast zapadła w głęboki, mocny sen.

## *Kwiecień 1981*

Rose codziennie rano pokonuje tę samą trasę. Spacer to dla niej terapia, ma coś do zrobienia. Dzięki temu jej ciało, oprócz uczucia pustki, doznaje czegoś innego.

Każdego ranka wychodzi z domu, pchając Damiena w spacerówce.

To rytuał. Zmusza się do wyjścia z domu dokładnie o wpół do dziesiątej. Żwawo podąża ku drewnianemu mostowi na Dollymount. Zanim tam dojdzie, jej nogi rozluźniają się, a poranna sztywność ustępuje.

Na promenadzie zaczyna się prawdziwy spacer. Według zaleceń lekarza, który poradził jej codzienną gimnastykę. Pomoże jej to pokonać naturalną depresję po stracie dziecka.

Tak mówi lekarz.

Malutki Michael.

Dzięki marszowi każdy ranek ma swój cel. A mimo to jest jej łatwiej popołudniami. Stawianie czoła rutynie jest dla niej najgorsze.

Spotyka, a raczej widzi codziennie tych samych ludzi.

Kobieta z walkmanem, mężczyzna z dwoma chartami. Zastanawia się, czy te psy są wcieleniem jakichś diabłów.

Po przejściu mostu Rose zaczyna nabierać prędkości. Wiatr zawsze wieje jej w twarz na drodze do Clontarf. Dobrze jej z tym. Zapiera się ze wszystkich sił. W drodze powrotnej wiatr wynagradza jej tę determinację i więcej w plecy, pomaga dotrzeć do domu.

Po pierwszym tygodniu zdobywa plastikowy daszek do wózka Damiena. Dziecko nie było w stanie złapać oddechu na silnym wietrze,

spotęgowanym zawrotną prędkością, w której znajdował ujście gniew matki. Teraz chroni je daszek. Czasami chłopiec obraca się do niej, śmiejąc się z zachwytu, kiedy ona przyspiesza. Zawsze odwzajemnia jego uśmiech. Jest zadowolona, że syn siedzi w wózku plecami do niej.

Mijają wiktoriańskie domy, dalej kępy drzew palmowych, cudem ocalałych pomimo ciągłych ataków sztormów. Przechodzą przez Vemon Avenue i maszerują dalej do końca albo początku promenady – zależy z której strony nadjeżdża.

Nie odczuwa znużenia z powodu pokonywania w kółko jednej tylko trasy. Wręcz przeciwnie, znajome budynki i ich granice dodają jej otuchy. Codziennie stałe punkty orientacyjne: te same przesiąknięte zapachem moczu budy, niezmiennie lodowate ławki i zardzewiałe schody na plażę. Uwielbia je wszystkie razem i każdy jeden z osobna.

Mierzy sobie czas. Każdego dnia stara się pokonać swoją trasę o dziesięć sekund krócej. Powodzenie oznacza dobry dzień. Podobnie zachowywała się jako dziecko, kiedy chodziła po chodniku tak, by nie nadepnąć na pęknięcia. Przestrzeganie reguł przyniesie jej szczęście.

Większość drogi płacze. Rozpamiętuje każdy moment porodu Michaela, jego malutkie ciało. Zupełnie jakby wszystko oglądała na wielkim ekranie rozpostartym przed jej oczyma; ten sam horror każdego dnia.

Jeśli pogoda dopisuje, płacze za osłoną ciemnych okularów. W pochmurny dzień, kiedy niezmordowanie pcha wózek, łzy mieszają się z kroplami deszczu, a ona pragnie, by zmyły z niej ból.

Czasami tak się dzieje. Zdarza się, że spacer jest spokojny, nie wymaga wysiłku. Maszeruje szybko, ale czuje, że jej wewnętrzna energia nigdy się

nie wyczerpie.

Takie dni nazywa swoimi wyspami. Miejscami, na których panuje pokój. Ale tylko do czasu. Kiedy uśpiony żal budzi się, uderza w nią ze zdwojoną siłą.

Stopniowo odległości między wyspami zmniejszają się. Ogromne światło, które widzi przed oczyma, przesuwa się nieznacznie na bok. Strumień światła zwęża się i skupia. Zaczyna przesuwać się ze środka jej czoła, a ona czuje promieniujące ciepło na szczycie głowy. Obraz zamazuje się i Rose zaciska powieki, by wrócić do rzeczywistości.

Marsz kończy się tuż przed łukami mostu. Siada na murku, wpatrując się w morze, a Damien dostaje picie z kubeczka. Rose też pije wodę długimi łykami z butelki, którą wcześniej całą noc chłodziła w lodówce.

Podczas tego odpoczynku i zabawy z Damienem nogi zaczynają się jej trząść z wysiłku. Kolana zdają się nie istnieć.

Ma nogi z plasteliny, tłumaczy Damienowi. Stare gliniane nogi. Trzyma go kurczowo za rękę, kiedy synek maszeruje po murku oddzielającym promenadę od morza. Chłopiec zatrzymuje się często, by zbadać dziury w skale wypełnione morskim mułem. Pochyla się nad nimi, jedną rękę kładzie na kolanie, zupełnie jak dorosły człowiek. Jego buzia się nie zamyka. Kiedy wracają do wózka, opiera się o nią, tak by móc obserwować rozbijające się fale w dole.

Wychyla się z zaskakującą siłą. Ona pozwala mu na to, trzymając go w stalowym uścisku. Lubi, kiedy Damien wychyla się tak mocno, ufając jej bezgranicznie. Dopiero kiedy synek ląduje bezpiecznie na ziemi, puszcza jego rękę.

Powoli rytm serca uspokaja się. Robi jej się zimno. Chowa butelkę do

siatki przymocowanej do wózka. Owija Damiana kocem i ruszają w kierunku domu.

Przez kolejne sześć miesięcy po śmierci Michaela maszeruje każdego dnia. Wyraźny dotąd obraz jego twarzyczki zaczyna się zamazywać. Smutek zajmuje miejsce bolesnej udręki. Jest dumna z siebie, że nie potrzebuje i nie bierze żadnych tabletek.

Czasami w drodze powrotnej, kiedy mały Damien słodko śpi, jakaś inna ciemność gromadzi się w piersiach Rose. To nie ma nic wspólnego z synkiem.

Raz, gdy zdarzyło się jej zasnąć w fotelu wczesnym popołudniem, ma sen o szczurze, który rośnie w niej. Wgryza się w jej pierś. Budzi się, ale on nadal tam jest.

W drodze do domu zdarza się, że szczur wstaje. Znów zaciska na niej szczęki, a czasami próbuje przepchnąć się głową przez jej ściśnięte gardło.

Rose nie wie, z jakiej dziury wypęłza szczur. Wie jedynie, że ma zamiar zostać w niej na zawsze.

Próbuje wymyślić mu jakieś imię, zaznajomić się z nim. Przyzwyczajają się do jego ciężkiej obecności, ciemniejszej, gdy tylko zbliża się do domu.

I tak dzień po dniu uczy się, jak z nim dalej żyć.

*Piątek, 7 kwietnia, godzina 19.30*

– Mamo, obudź się, proszę!

Rose z trudem wraca do rzeczywistości. Coś było nie tak. Damien gwałtownie nią wstrząsał.

– Obudź się, mamo, proszę!

W jego głosie słychać było panikę.

Dotarło do niej w końcu, że leżała w łóżku, nad nią stał przerażony syn, a zegar wskazywał późną porę. Usłyszała wewnętrzny alarm.

– Dalej, obudź się!

– Co jest? Co się stało? Powiedz mi szybko!

Sięgnęła po szlafrok i kapcie, ale zaraz zdała sobie sprawę, że jest całkowicie ubrana. Kto jest ranny? Czy da radę dojechać do Tempie Street, czy ma dzwonić po karetkę? Jakie kolejne nieszczęście ich spotkało?

– Nic się nie stało, Ma, wszystko gra, tylko nie mogłem cię dobudzić.

Twarz Damiena zbladła ze strachu, oczy zaokrągliły się, a usta zaczęły drżeć. Rose domyśliła się natychmiast, co pomyślał syn. Mimo że sytuacja wydawała się alarmująca, ona zachowała spokój i opanowanie.

Damien pomyślał nawet o tym, by zamknąć drzwi do sypialni. Może nawet na klucz. Postanowiła zaraz wyjaśnić sytuację, tak by nie pozostawić żadnych niejasności czy poczucia winy.

Odsłoniła zasłony, żeby dokładnie widział jej twarz. Był piękny wieczór; morze mieniło się spokojne, deszcz w końcu ustał, a niebo zalało się wiosennym błękitem. Podeszła z powrotem do łóżka, usiadła na nim i

spojrzała synowi prosto w oczy.

– Damien, ostatnia rzecz, jaka przysłaby mi do głowy, to samobójstwo.

Damien odwrócił głowę, wstydząc się za siebie. Uparcie patrzyła na niego, nie spuściła z niego oczu choćby na moment.

– Nie mam do ciebie żalu, że się boisz. Od tygodnia życie w tym domu jest nie do zniesienia.

Ledwo wypowiedziała te słowa, od razu uzmysłowiła sobie, jak bardzo trafiła w sedno. Nawet ściany zdawały się emanować stratą i smutkiem. Cały dom, jeszcze do niedawna tak bardzo pewny ustalonego porządku, zupełnie się teraz pogubił bez głównego gracza. Czy podobne uczucia towarzyszyły niektórym ludziom twierdzącym, że mieszkają w nawiedzonych domach? Czy gdyby jej rodzina opuściła nagle to miejsce, zostawiając za sobą rozpacz, to kolejnym lokatorom udzieliliby się ten smutek?

Rose zdała sobie sprawę, że nie tylko dla niej wszystko uległo radykalnej zmianie, ale że życie Damiena w pewnym, określonym wymiarze również nie było już takie samo. Zanim Ben odszedł, Damien całą swoją energię koncentrował na nienawiści do ojca. W miarę możliwości chciał się od niego różnić. Zdarzało się, że nie wytrzymał nawet siedzenia obok ojca. Patrząc na nieszczęśliwą twarz syna, Rose uświadomiła sobie, że Damien czuł się częściowo winny za to, że Ben odszedł.

Ta myśl ją załamała. Wszyscy, oprócz sprawcy całego zamieszania, czuli się winni. Dlatego Damien tak gorączkowo starał się pomóc, pragnął robić więcej, niż można by od niego oczekiwać.

– Damien, w żadnym wypadku to nie twoja wina – Rose odezwała się cicho. – To nie ma nic wspólnego z tobą. Dotyczy to tylko mnie i twojego ojca.

Poczekala, ale nie spojrzal na nia.

– Wiem, że nie mogliście się dogadać, ale to normalne w twoim wieku. Młodzi ludzie muszą się buntować przeciwko rodzicom, chcą się od nich różnić.

– Nienawidzę go.

– Wiem o tym. Może kiedyś się to zmieni, a może nie. To, co naprawdę jest ważne... – Zatrzymała się, by zmusić go do spojrzenia na nią. – To, co naprawdę jest ważne, to że mam zbyt wiele powodów, by żyć dalej i nawet nie pomyśleć o samobójstwie.

Rose nie zraziła się jego zażenowaniem, zignorowała je. Rozmawiała z nim szczerze, bez ogródek, jak dorośli z dorosłym.

Może dobrze się stało, że chłopak nie ubóstwiał ojca. Przynajmniej mógł teraz czerpać siłę ze swojej złości. Szybko dorastał.

– Mam swoje własne życie, Damien, mam was troje i pracę do wykonania. Za nic w świecie bym z tego nie zrezygnowała.

Skinął głową, wpatrując się w swoje dłonie. A potem wstał cicho. Miała wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć. Ale najwyraźniej zmienił zdanie i wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Rose pozwoliła mu odejść. W tej chwili nie miała nic więcej do powiedzenia.

Wpadł do niej ponownie o dwudziestej pierwszej w poszukiwaniu pieniędzy. Rose wstała, wzięła prysznic i przebrała się natychmiast. Wszyscy razem usiedli do kolacji. Nalała sobie i Damienowi po kieliszku



wina i całe towarzystwo wzniosło toast za sukces z Bonne Bouche. Rose miała wrażenie, jakby przeniosła się w inne miejsce. Dzięki temu, że powiedziała dzieciom prawdę, używając zrozumiałych dla nich słów, czuła w sobie pokój. Po raz pierwszy od poniedziałku otrząsnęła się z wrażenia, że coś deptało jej po piętach. Dzieci zjadły i doceniły kolację. Młodsza dwójka nie walczyła ze sobą, co więcej – zaoferowała nawet pomoc przy zmywaniu. Rose poczuła się tak, jakby po długim marszu dotarła do oazy i nie musiała już nigdzie gorączkowo pędzić.

John i Philip weszli do środka, żeby się przywitać. Damien stał wyczekująco.

– Ile chcesz? To znaczy, przepraszam bardzo, ile potrzebujesz?

Rose droczyła się z nim. John i Philip przyglądali się temu z rozbawieniem. Rose zdawała sobie sprawę, że flirtuje ze swoim najstarszym synem na oczach jego kolegów. Najwyraźniej podobało im się to, a i Damien cieszył się jak dziecko, kiedy wręczała mu funta. Zależało jej, żeby postrzegali ją jako fajną mamę. Tylko na ten wieczór. Mama, która ma wszystko pod kontrolą. Taka, która nigdy nie zrobiłaby nic tak głupiego, jak popełnienie samobójstwa.

Udawała przerażenie, kiedy poprosił o więcej. W końcu usatysfakcjonowana i rozbawiona trójka wyszła. Rose pomodliła się do swego prywatnego boga, by na ten wieczór Damien zapomniał o swojej matce, przestał się o nią martwić i znów poczuł, że ma siedemnaście lat.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości, podczas gdy trzech przyjaciół maszerowało drogą. Stała przy oknie, obserwując ich. Tręcili się wzajemnie, podstawiając jeden drugiemu nogę i okazując sobie sympatię w ten sposób.

Po ich sposobie maszerowania widziała, jak bardzo się cieszyli na wspólną zabawę. Damien nawet nie próbował się obejrzeć. Obserwując, jak cała trójka doszła do furtki, Rose nagle zobaczyła ich oczami kogoś obcego. Miała wrażenie, że jej oczy skupiły się na innej rzeczywistości, na odrębnym poziomie egzystencji. Oto miała przed sobą trzech młodych mężczyzn, długonogich, rozluźnionych, pewnych siebie. Z całej trójki najbardziej męski wygląd miał Philip. Szerokie ramiona, gładko ułożone włosy, mocne ręce. Nagle skręcili za rogiem i zniknęli jej z oczu.

Teraz co? W domu panowała cisza. Rose pomyślała o ułożeniu planu na kolejne zamówienie dla Bonne Bouche, ale szybko porzuciła ten zamiar. Przez chwilę pragnęła stać tak nieruchomo, napawać się tym nowym spokojem dookoła. Ściany, które przez cały tydzień ją przytłaczały, ustąpiły w końcu, pozwalając jej zaczerpnąć powietrza. W kątach nie czaiły się już żadne ciemne kształty. Chociaż za oknem panował zmrok, kuchnia tonęła w przyjemnym, zachodzącym blasku. Rose przyciągnęła do siebie krzesło i oparła na nim stopy. Kolejny zwyczaj, na który Ben marszczył czoło. Od lat tego nie robiła. , Próbowała zrozumieć, co tak naprawdę nagle się zmieniło. Jej percepcja czasu uległa radykalnej zmianie; wskazówki zegara rozjechały się we wszystkich kierunkach, raz wydłużając godziny niemiłosiernie, to znów przyspieszając. Przyłapała się ze zdziwieniem, że przez cały dzień nie pomyślała o Benie. Oczywiście, na każdym kroku potykała się o okoliczności jego odejścia, ale nie myślała o nim jako o swoim mężu czy mężczyźnie.

I nagle zrozumiała, co się zmieniło. Nie tęskniła za Benem. Ani w ciągu dnia, ani teraz, wieczorem. Czuła, że nic nie brakuje jej do szczęścia.

Przeciągnęła się wolno.

Jeden telefon, płaczące dziecko czy nagłe wspomnienie mogło zburzyć ten spokój. Nacieszy się nim tyle, ile może. Odkorkowała butelkę wina i schowała ją z powrotem do lodówki. Gazety z ostatniej niedzieli wciąż tkwiły na półce pod kuchenką mikrofalową.

Rose nastawiła czajnik i otworzyła „Tribune” na stronie z wiadomościami. Wystarczy już na jeden dzień.

I tak po cichutku, mgliście nadszedł kolejny wieczór.

Piąty dzień.

*Sobota, 8 kwietnia, godzina 6.00*

Rose nie mogła sobie przypomnieć, od ilu lat po raz pierwszy spędzili sobotę bez Bena. Doznała cudownego, leniwego olśnienia, że nie musi nic robić. Z pewnością nie wstanie o szóstej rano. To były jej dwa dni wolnego, które zamierzała spędzić na uczciwym odpoczynku. W niedzielę wieczorem zaplanuje kolejny tydzień. Mogła robić to, na co tylko przyszła jej ochota. Wewnętrzny spokój umocnił się w niej, pozbyła się tego wrażenia ulotności, które towarzyszyło jej poprzedniego dnia.

Rozejrzała się dookoła trzeźwym wzrokiem. Ostatnie kilka dni zostało za grubym szkłem. Tu i teraz nabrało świeżości, wyrazistości, miała wrażenie, że przygląda się przedmiotom po raz pierwszy w życiu. Kiedy zamknęła oczy, wyobraziła sobie, co czeka ją w nadchodzącym tygodniu. Teraz, gdy miała przed sobą wizję dwóch cudownie leniwych dni, trudno jej było zobaczyć Bena, przypomnieć sobie jego twarz i wygląd. Mogła otworzyć oczy i spojrzeć na fotografię przy łóżku. Ale wolała tego nie robić. Zasnęła.

Lisa obudziła ją w południe. Rose czuła się niewyraźnie i natychmiast pożałowała, że tak szybko zasnęła ponownie. Ale zdołała wykrzesać z siebie uśmiech do Lisy, która stała obok, trzymając ostrożnie kubek kawy. Mimo najszczerzej chęci dziewczynki, szkód nie dało się uniknąć i kanapka pływała w kawie na talerzyku. Rose usiadła w udawanym zachwycie. Lisa trajkotała jak nakręcona.

– No to co, mogę iść?

– Iść gdzie?

– Mamo! Wcale mnie nie słuchasz! Na przyjęcie urodzinowe Ciary!

– Przepraszam, kochanie, daj mi minutę na dobudzenie.

Lisa położyła ręce na biodrach w geście zniecierpliwienia.

– Na którą godzinę? – To było jedyne inteligentne pytanie, na jakie mogła się zdobyć.

Piętnasta. Dobrze, może iść. Zdąży wziąć prysznic, kupić prezent i dojechać do Portmarnock. Oczywiście, wszystko da się załatwić. Damien wybierał się do Philipa, a Brian znów umówił się z Derekiem.

Czekała ją kolejna oaza spokoju i samotności. Wykorzysta ten czas na zastanowienie się, co ma powiedzieć prawnikowi w poniedziałek.

A po południu ogarnie dom.

A potem odda się przyjemności nicnierobienia.

*Sobota, 8 kwietnia, godzina 15.55*

Rose wróciła do domu tuż przed szesnastą. Kiedy zamknęła za sobą drzwi wejściowe, ogarnął ją strach. Odczekała chwilę, wstrzymując oddech. Powoli przeszła przez korytarz, otwierając po drodze drzwi do wszystkich pokoi. Popołudniowe słońce zalało kuchnię i pokoje w drugiej części domu ciepłym, jasnym światłem. Odczuła wyraźną ulgę, kiedy sprawdziła pomieszczenie za pomieszczeniem. W każdym odnajdywała to samo poczucie światła i przestrzeni, którego po raz pierwszy doświadczyła poprzedniego wieczoru. Wreszcie uwolniła się od tych okropnych wizji czegoś krwawiącego, zranionego, nawiedzającego każdy pokój, do którego weszła. To znów był jej dom, a nie wrogi świadek okrutnych wydarzeń. Nawet rośliny w doniczkach wyglądały na szczęśliwsze i zdrowsze, odkąd ona i Lisa zaczęły się nimi i sobą wzajemnie opiekować.

Jedno spojrzenie na ogród i Rose dokładnie wiedziała, jak zamierza spędzić resztę dnia. Trawnik był zaniedbany i zmęczony zimą, jej krzewy róż także wymagały oporządzenia. Wszędzie roilo się od radosnych żonkili, czekających tylko, by powiązać je w bukiety, zanim zdążą przekwitnąć. Pragnęła nappełnić swoje piękne, niebieskie wazonu tuzinami kwiatów. Rose przebrała się w stare spodnie i gruby sweter, po czym wyszła na zewnątrz w jasne i chłodne popołudnie.

Trzy godziny później trawa była przystrzyżona, resztki liści wygrabione, a żonkile ścięte. Twarz Rose promieniała. Czerpała przyjemność z fizycznego zmęczenia, nie pozwoliła sobie choćby na

krótki odpoczynek. Poczula satysfakcję, wykonując pracę, która zwykle należała do obowiązków Bena. W powietrzu unosił się upajający zapach skoszonej trawy, a Rose ogarnęła euforia. Odniosła takie małe zwycięstwo, ale miała wrażenie, że na jego fali była w stanie osiągnąć znacznie więcej.

Gdyby minął kolejny tydzień, zaniedbany i brzydki ogród zmieniłby się nie do poznania. Wystarczy tylko na chwilę spuścić go z oczu i zobacz, co się dzieje. Ta myśl ją podłamała.

Rose schowała kosiarkę do szopy na narzędzia i zawiązała czarny worek pełen liści, przygotowując go na wtorek dla śmieciarzy. Zdjęła stare buty przy tylnych drzwiach i ruszyła prosto do kuchni.

Najpóźniej o dwudziestej trójka dzieci miała wrócić do domu, tak więc zostało jej jeszcze pół godziny. Kolejna chwila ciszy na zastanowienie się, co przyniesie następny tydzień. Spokój dodawał jej otuchy, pocieszał. Rose wyciągnęła kalendarz i rozpisała na kolejne dni to, co ma do zrobienia. Zdawała sobie sprawę, że bardzo potrzebuje zajęcia. Bonne Bouche zapewniło jej dość pracy, ale chciała też spokojnie przemyśleć konsekwencje odejścia Bena. I jego ewentualnego powrotu – choćby tylko do kraju, jeśli już nie do niej. Na poniedziałek wyznaczyła sobie ostateczny termin spotkania z prawnikiem, nawet jeśli miałyby to zrobić tylko po to, żeby móc powiedzieć Jane: „Tak, zrobiłam to”.

Wciąż odczuwała ogromną niechęć przed podjęciem tego ostatecznego kroku. Wolałaby najpierw porozmawiać z Benem. Ale co zrobi, jeśli on nie będzie miał ochoty na rozmowę? Albo jeśli mąż zadba tylko o swoje sprawy, zostawiając ją i dzieci na lodzie? Czy ona będzie miała cokolwiek do powiedzenia?

Nagle przestraszyła się tych myśli, więc przy nazwisku i numerze telefonu Davida O'Briena wpisała godzinę dziewiątą rano, a potem podkreśliła wszystko. Zmusi się, by załatwić to od razu, jeszcze przed zakupami i prasowaniem, i wszelkimi innymi sprawami, które wydawały się ważniejsze. Miała tydzień, by uzbroić się w wiedzę. Każdy kolejny ranek zarezerwuje sobie na zbieranie informacji, choćby nawet miało to oznaczać pieczenie o świcie i oporządzanie domu o północy.

Rose zrobiła sobie kanapkę i właśnie nalewała herbatę, gdy usłyszała głos Lisy wołającej: „do widzenia!”. Zerwała się szybko i podbiegła do drzwi na czas, by pomachać matce Ciary, zaaferowanej rozwożeniem jeszcze trzech pobudzonych małych dziewczynek do domów. Rose przytuliła Lisę, zachwycona jej rozpromienioną buzią i błyszczącymi oczyma.

– Dobrze się bawiłaś? Chodź i wszystko mi opowiedz.

Ściskając w rękach torbę z niespodziankami i opowiadając rozgorączkowanym tonem, Lisa podążyła za mamą do kuchni. Rose schowała kalendarz do torebki i zachęciła Lisę do opowieści o filmach, torach z przeszkodami rozstawionymi w ogrodzie, milionach prezentów, torcie i solenizantce wyglądającej jak balerina.

I tak nadszedł wieczór szóstego dnia.



## *Wrzesień 1984*

Prawda jest taka, że Rose zapisała się na kurs lepienia z gliny w przypiływie złości. Dwóch małych chłopców, ulewne wrześnie deszcze i oczekiwanie, że wszystkiemu da radę, sprawiły, że zażądała jednego wolnego wieczoru dla siebie.

Ben zapewnia ją, że nie ma potrzeby szukać opiekunki, bo wróci do domu o szóstej.

Myśl o wieczorze poza domem dodaje jej skrzydeł i Rose czuje, że wytrzyma dziś wszystko. Wierzy, że dzieci też skorzystają trochę z jej humoru. A to obudzone poczucie wolności daje jej wrażenie, że jest bardziej kochającą mamą. W ostatnim czasie praca Bena stała się jego obsesją. Sukces uderzył mu nieco do głowy, a wciąż chce jeszcze więcej. Upiera się, że to wszystko dla niej i jego synów.

Ale ona ma wątpliwości. Ben uwielbia siłę biznesu, gorące pertraktacje, obiady w wytwornych restauracjach. Czasami Rose ma wrażenie, że mąż upił się uwielbieniem samego siebie. Ma dość roli wiecznie czekającej żony. Pragnie towarzystwa innych ludzi.

Kiedy nadchodzi wieczór, Rose odczuwa prawdziwe podniecenie. Nigdy dotąd nie zrobiła nic artystycznego. Kto wie, może będzie w tym dobra. Uwielbia swoje rośliny, uwielbia zanurzać ręce w dobrej, bogatej ziemi. A teraz cieszy się na myśl, że poczuje na dłoniach inny rodzaj gliny. Wyobraża sobie jej chłód i gładkość. Chce coś stworzyć; wyroby z gliny wydają się trafionym początkiem.

Od momentu przebudzenia Rose nie przestaje myśleć o wieczornej

ucieczce i cały dzień planuje pod jej dyktando. Kurs trwa od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej, trzy cudowne godziny. Będzie musiała wyjść o wpół do siódmej, piętnaście minut potrzebuje na dojazd, drugie tyle na znalezienie sali i zrelaksowanie się przed zajęciami. Jakaś mała cząstka niej denerwuje się, zupełnie tak, jakby miała iść do szkoły.

W myślach planuje dokładnie, co ma do zrobienia przed wpół do siódmej. Do tego czasu nakarmi, przebierze i przygotuje Briana do spania. Ben zje kolację, pobawi się z nim do wpół do ósmej, a potem położy go spać. Brian w końcu zaczął przesypiać całe noce, w końcu. Miała za sobą cztery trudne miesiące, ciężką ciążę. Rose żyła w ciągłym strachu, że najmniejszy ból to sygnał nieszczęścia.

Ona i Damien zjedzą razem o piątej. Przygotuje wieczorne posiłki, jak tylko Damien pójdzie do szkoły, a Brian utnie sobie południową drzemkę. Od jedenastej do pierwszej zamieni się w tornado: przygotuje jedzenie, wypierze i wysuszy niekończące się sterty ubranek dziecięcych, wyczyści kominek, posprząta.

Potem odbiór Damiena ze szkoły, powrót do domu, przypilnowanie odrobienia lekcji i odbieranie telefonów Bena. Wszystko da się zrobić, jeśli człowiek dobrze się zorganizuje.

Będzie zrobione.

Chciałaby, żeby zadzwonił Ben, mogłaby mu przypomnieć. Pamiętał jeszcze dziś rano. To na pewno starczy.

Rose jest serdeczniejsza dla chłopców tej środy. Brian, który nie usiedzi na miejscu, jest w dobrym humorze. Damien, taki dorosły uczeń, z zaangażowaniem odrabia lekcje przy kuchennym stole. Rose, poważna i cierpliwa, obserwuje, jak chłopiec pracowicie ćwiczy pisanie liter.

Po obiedzie Rose pozwala chłopcom oglądać kreskówki, Brian w leżaczku, Damien siedzi obok na straży.

Bierze szybki prysznic i przebiera się. Zastanawia się nawet gorączkowo, w co się ubrać. Łapiąc niezwykle blade odbicie w lustrze, Rose zatrzymuje się i wciąga głęboko powietrze.

– Weź się w garść – mówi sama do siebie.

Strach ustępuje trochę, kiedy wkłada ulubione džinsy i jasnoczerwony sweter. Przybiera pewny siebie wygląd, chociaż wcale się tak nie czuje.

O osiemnastej jest już gotowa. Delikatny makijaż pomaga zatuszować strach.

Wyłącza telewizor po wiadomościach i trzyma Damiena na kolanach. Mały ssie swój kciuk i gładzi palcami satynowy narożnik kocyka, podczas gdy ona czyta mu dwie opowieści z książki *Thomas the Tank Engine*. Chłopiec, zawsze zmęczony po szkole, jest już bardzo śpiący. Zadowolony siedzi koło niej, kiedy sięga po Briana. Ten, w przeciwieństwie do starszego brata, nie za, wsze daje się łatwo utulić. Ale dziś ma dobry humor.

Rose trzyma malucha w ramionach, kiedy podchodzi do okna, by wyglądać Bena. Kuchenka jest włączona, warzywa ugotowane. Ben nienawidzi podgrzewania. Lepiej niech się pospieszy.

Rose jeszcze się nie martwi. Dopiero kwadrans po osiemnastej. Nawet jeśli się spóźni, to ona zdąży, wychodząc z domu za piętnaście siódma. To niepodobne do Bena. Zwykle może nastawić zegar, patrząc na niego.

Przez kolejną godzinę Rose miota się między złością a strachem. Coś musiało się stać. Czy miał wypadek? Usilnie próbuje sobie przypomnieć, gdzie się dzisiaj wybierał. Czy powiedział jej? Rose nie pamięta.

Kładzie młodsze dziecko do łóżka. Damien przebrany w piżamę bawi się klockami Lego, siedząc cicho ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w dużym pokoju. Często wyczuwa humory Rose.

O dwudziestej Rose bierze go do łóżka i czyta mu ostatnią historyjkę, próbując opanować złość. Ma nadzieję, że dziecko wie, że nie złości się na nie.

Co się dzieje? Czy jej wolny wieczór jest tak nieważny, że Ben zapomniał o nim? Mógł chociaż zadzwonić.

Rose czuje się uwięziona. Nie może wyjść i zostawić dzieci, ani znaleźć opiekunki, nawet jeśli jakaś byłaby jeszcze wolna. Na dworze jest już ciemno. Słyszy deszcz bębniący w tył domu. Może jednak wydarzył się straszny wypadek.

Ben wraca do domu w momencie, kiedy Rose po raz kolejny próbuje się zdecydować, czy jest wściekła, czy zmartwiona. Wchodzi do dużego pokoju, ciągnąc krawat.

– Cześć, kochanie. Przepraszam za spóźnienie. Rose jest zbyt wściekła, by odpowiedzieć.

Ben zdaje się tego nie zauważać.

– Jeden z kontraktów Barry’ego wypalił. Spotkałem się z nim późnym popołudniem i dobiliśmy targu. Wygląda na to, że spisałem się na medal!

– Przerywa, widząc wyraz twarzy Rose. – Rose?

– Czy nie mogłeś chociaż zadzwonić? Ale Ben nadal promienieje.

– Dziś wieczorem leciał z powrotem do Londynu, Rose. Nie mogłem go tak po prostu zostawić. A ten kontrakt przyniesie nam kupę forsy. O co ci chodzi?

Ton Bena gwałtownie się zmienia.

Rose czuje od męża whisky. Czy naprawdę nie miał wolnej chwili, by przeprosić rozmówców i uprzedzić ją? By wyjść do toalety i po drodze skorzystać z telefonu? Nawet jeśli zapomniał o jej kursie lepienia z gliny, mógł zadzwonić i powiedzieć, że przyjedzie później.

Zanim zacznie mówić, Rose wie, że wszyscy porządni ludzie uznają ją za złą, zepsutą i dziecinną osobę. Przecież Ben, uważający siebie za doskonałego żywiciela rodziny, wywiązywał się wspaniale ze swoich obowiązków. Zapewniał byt swojej rodzinie.

A ona awanturuje się o jakiś wieczorny kurs lepienia garnków. Czy on ma zapomnieć o zarabianiu, by jego żona mogła taplać się w mulistej glinie? Czy to jest rozsądne życzenie?

– Cieszyłam się na ten kurs. Nie mogłam nawet załatwić opiekunki, ho nie wiedziałam, co się dzieje. Nie mogłeś mnie jakoś uprzedzić?

Sama słyszała swoje skomlenie. Prawdziwe pytanie brzmiało: dlaczego jej czas zawsze liczy się mniej niż jego? Czy jej potrzeby nie są ważne? Ale to pytanie nie może być zadane, jeszcze nie.

– Nie mogę w to uwierzyć, Rose. Rozmawiamy tutaj o bezpieczeństwie naszej rodziny, a ty wkurzasz się o wieczorny kurs lepienia garnków? Lepiej zastanów się, co jest dla ciebie naprawdę ważne. Wypruwam sobie flaki, żebyś ty mogła...

– Ty wypruwasz sobie flaki? A ja co? Myślisz, że siedzę tu cały dzień i opierdalam się, podczas gdy ty mnie utrzymujesz?

Ben robi krok w tył. Nie cierpi, kiedy Rose klnie. Rzadko to robi, zachowując mocne słowa na silne emocje. To jedna z takich sytuacji.

– Jesteś niemądra. Nie dało się temu zapobiec. Na swój kurs pójdziesz za tydzień. Na miłość boską, to dopiero wrzesień, a kurs trwa do Bożego

Narodzenia. Dorośnij wreszcie.

Ben wychodzi z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Wściekle tupie nogami po schodach.

Rose chwyta płaszcz i klucze i idzie na długi, satysfakcjonujący spacer w deszczu. Kiedy wraca do domu, jest gotowa przebaczyć i przeprosić. Mają przed sobą całe życie.

Ale Ben śpi.

W kolejną środę dochodzi do podpisania kontraktu. Rose jest zaproszona na uroczystą kolację. Oczywiście zgadza się.

W następną środę Ben jedzie do Londynu, a Brian ma krup.

Pod koniec października Rose się poddaje.

*Niedziela, 9 kwietnia, godzina 9.30*

Niedziela upłynęła na pełnym wypoczynku. Pogoda była do niczego. Ciemne, wielkie i ciężkie chmury, ulewne deszcze, a od południa gwałtowne i częste burze gradowe. Rose nawet nie wspomniała o kościele. A tak naprawdę, to nie miała ochoty oglądać znajomych szczęśliwych rodzynek. W następną niedzielę wypadała Wielkanoc, może wtedy pójda wszyscy razem. Wydawało się nieco niedorzeczne wspomnianie o niedzielnej rutynie teraz, gdy wszystko straciło znaczenie. Jeśli będą mieli ochotę, mogą pójść wszyscy razem wieczorem.

Po wspólnym śniadaniu Brian i Lisa zaczęli szykować się pod prysznic. Rose wysłuchiwała ich marudzenia, drażnienia się, kto miał iść pierwszy, narzekania na przymus sprzątnięcia po sobie rzeczy i mokrych ręczników. Krzyknęła na każde z osobna, więc dzieci, jak to miały w zwyczaju, zaczęły żalić się sobie nawzajem.

Rose nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dzisiejszy poranek był testem na stabilizację sytuacji. Dzieci zachowały się tak, jak można się było spodziewać, ona zareagowała tak, jak wymagała tego sytuacja, i na tym się skończyło. Nawet Brian, który w piątki chodził na basen i jak twierdził, nie kwalifikował się na prysznic w niedzielę, swój rutynowy protest potraktował z przymrużeniem oka. Wyglądało na to, że dzieci ostrożnie bawiły się tym, co znały dotąd jako normalną niedzielę. Zaufały swoim instynktom, że tak należało postąpić najpierw, by potem mogło wydarzyć się coś więcej.

– Ale ja nie chcę oglądać *Króla Lwa*. Widziałem to już na urodzinach

Keith.

Rose usłyszała agresję w tonie Briana. Nie znosiła, kiedy syn atakował Lisę. Poczekała, by sprawdzić, czy dziewczynka da sobie radę.

– I co z tego? To moja kolej, żeby wybrać. Mama tak powiedziała.

Koniec kropka. Moja kolej. Lisa, która wierzyła w przestrzeganie ustalonych reguł, nie dała za wygraną. Dziewczynka dobrze zapamiętała obietnicę sprzed tygodnia. Rose popatrzyła na nią z korytarza, Lisa stała z zaciśniętymi pięściami i twarzą wyzywająco uniesioną w kierunku brata. Napięcie między rodzeństwem dosłownie unosiło się w powietrzu. Zdecydowanie brakowało im Bena do tej układanki. Najpierw msza, potem ceremonialny niedzielny obiad, a wreszcie wspólne wyjście, które zawsze nadawało sens niedzieli w oczach Briana i Lisy. Damien już dawno temu wybrał zajęcie się własnymi sprawami.

Rose spróbowała odepchnąć własne potrzeby. Nie miała ochoty iść z nimi do kina. Wcale nie chciało jej się wychodzić z domu. Natychmiast dopadły ją wyrzuty sumienia. Biedne dzieci. To nie była ich wina. Musi się trochę wysilić. Otworzyła stronę wczorajszej gazety z rozrywką, by sprawdzić, co grają w kinach.

Obiad ugotowała wcześniej, wymagał jedynie podgrzania. Nie miała ochoty spędzać czasu w kuchni. Damien wrócił ze sklepiku z gazetami i mlekiem. Rose poczuła falę ciepła, patrząc na niego. Przemoczony do nitki przyczłapał do kuchni. Zamknęła za nim drzwi.

– Spotykasz się dziś z przyjaciółmi, Damien?

– No. O drugiej. Właśnie dzwonię do Philipa. Idziecie do kina?

– Miałam nadzieję, że nie. Nie mam ochoty wychodzić dziś z domu.

Prośba Rose zawisła ciężko między nimi. Damien nie wyglądał na



zadowolonego.

– Idziemy wszyscy do Pulp Fiction, Ma. Mamy to nagrane od dawna.

Damien wyswobodził się z ciężkiej peleryny, Rose pociągnęła za przemoczone rękawy. Zapanowała długa cisza. Kiedy spojrzała na niego ponownie, zobaczyła poczucie winy wypisane na jego twarzy.

– No dobra – powiedział w końcu. – Zabiorę ich do kina. Rose przez chwilę zabrakło słów. Poczowała, jak pęcznieje jej serce. Nie chciała, żeby czuł się w ten sposób. Podjęła decyzję.

– Nie, Damien. Zastanowiłam się i w trójkę zostajemy dziś w domu. Brian i Lisa będą musieli sami zapewnić sobie rozrywkę na ten dzień. Ale dzięki za propozycję.

Obserwowała, jak Damien odetchnął z ulgą.

– No, jeśli naprawdę tak uważasz...

– Jestem pewna.

– Mogę zadzwonić? Tylko jeden szybki telefon?

– Powiedz, że to ja nalegałam! – Rose zaśmiała się.

– Dzięki, Ma. Jesteś najlepsza.

Dziesięć minut później, w dzinsach i z włosami na żel, maszerował już do bramy, przy której właśnie pojawili się John i Philip. Każdy z nich miał na sobie grubą pelerynę. Trzech muszkieterów. Rose patrzyła, jak popędzili przez ulicę, by złapać autobus. Ten zmoczył im nogawki, co chłopcy skomentowali gromkim śmiechem, zastanawiając się jednocześnie, na ile mokre nogawki mogą wpłynąć na ich image.

Kiedy wróciła do dużego pokoju, Lisa odkryła właśnie pisaki zapomniane na dnie pudła z zabawkami. Z entuzjazmem zabrała się do kolorowania. Nawet pożyczyła kilka Brianowi, który kończył prezentację

komputerową. Spojrzał na Rose, kiedy ta weszła do pokoju.

– Dziś zostajemy w domu, moi drodzy. W przyszły weekend, na Wielkanoc, wymyślimy coś fajnego.

Lisa przestała kolorować na chwilę. Dzieci wpatrywały się w jej twarz. Rose czekała, ale nikt się nie odezwał. W końcu Brian, nieco podenerwowany, zapytał:

– Zagramy W monopol, Ma?

Rose objęła niedzielne gazety i fotel przy kominku tęsknym spojrzeniem. Uśmiechnęła się do niego.

– A może być trochę później, Brian?

– OK, o czwartej? – Kiwnął głową, upewniając się.

– Czwarta mi odpowiada. – Rose znów się do niego uśmiechnęła.

– Czy ja też mogę grać? – zapytała Lisa.

– Czemu nie.

Rose uniosła nogi i otworzyła gazetę. Przemknęło jej przez myśl pytanie, co w tej chwili robili Ben i Caroline. Zdecydowała się jednak o tym nie myśleć. Miała zamiar cieszyć się niedzielnym popołudniem pierwszy raz od dwudziestu lat.

I tak siódmego dnia Rose wypoczywała.

*Niedziela, 9 kwietnia, godzina 12.30*

Ben przestawił parasol, by schronić się przed południowym słońcem. Tydzień idealnie błękitnego nieba, idealnych temperatur, ciepłych nocy. Rozpierało go szczęście.

Dziwnie było przebywać z Caroline bez obawy, że zostaną nakryci. Niezbyt dobrze się z tym czuli przez pierwsze dwa dni.

Podczas kolacji drugiego dnia Caroline powiedziała Benowi, że zauważyła zmianę w ich związku. Oznajmiła to chłodno. Nie była zdenerwowana, stwierdziła tylko stan rzeczy.

Ben zamarł, nie przywykł do takiej bezpośredniości.

On też to zauważył. Czuł się nieco rozczarowany, że pierwsze dni nie były tak szalone i pełne napiętności, jak sobie wcześniej wyobrażał. Chciał wskrzesić atmosferę z początku ich znajomości. Skradzione popołudnia, potajemne schadzki w piątki. Tego rodzaju rzeczy.

Zaczynając tę rozmowę, pomieszała mu szyki. Trudno było mu ją przekonać, siebie zresztą też, że to naturalna reakcja.

Mówiła o tym tak, jakby opowiadała o kimś, kogo nie zna. Ten brak zaangażowania zbił go z tropu.

Skupił na niej całą swą uwagę – napełniał kieliszek, trzymał za rękę, kupił czerwoną różę od kwiaciarki, która wyglądała jak żywy obrazek z turystycznego prospektu. Wraz z zapadającym zmrokiem Caroline zaczęła się cło niego więcej uśmiechać, rozluźniła się, jej oczy wypełniły się blaskiem.

Poczuł ulgę, że znów staje się tą Caroline, którą znał kiedyś.

Ale następnego ranka wstała przed nim i ubrana siedziała na małym balkonie; twarz wystawiła do słońca, książkę trzymała na kolanach.

Bena ogarnęło seksualne rozczarowanie.

A ona przez cały dzień zachowywała się serdecznie, ciepło, brała go za rękę, całowała przy ludziach. Podczas lunchu upili się trochę i Caroline chichotała, kiedy bocznymi uliczkami prowadził ją w stronę hotelu. Jej śmiech ucichł, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi do pokoju.

Gorączkowo rozebrali się. Ben czuł, jak cały chłód i dystans Caroline topi się w niej.

Była namiętna i pełna pożądania, on przepelniony radością i czuły. Było im lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Po wszystkim wydawała się całkowicie zadowolona, w stosunku do niego zupełnie swobodna. Miał świadomość, że traktuje ją jak zdobycz, przerażała go myśl, że może ją stracić.

Wszystko się układało. Wiedział, że właśnie tak. Nie traktowała go już z rezerwą, a on chciał, by dowiedziała się, jak bardzo jej potrzebował.

Pragnął wyznać jej, że zostawił Rose. Gorączkowo spalił za sobą mosty, nie było już nic do stracenia. Nie miał dokąd wracać. Nie chciał mieć dokąd wracać.

Pragnął, by została z nim na zawsze.

Zdecydował, że powie jej to tego wieczoru, w ich pierwszą w życiu niedzielę spędzoną razem. Dla niego był to ostateczny krok. Czuł, że ona też tak myśli, teraz, gdy początkowe poczucie obcości zmieniło się w dobrze znaną zażyłość.

Patrzył na nią przez stół, przypominając sobie mnóstwo podobnych wieczorów, kiedy siedzieli tak naprzeciw siebie. Wiedział, że w takich

chwilach znikwały wszelkie podziały i bariery. Czuł się pogodzony z całym światem.

Obserwował, jak założyła włosy za uszy – gest ten powtarzała nieprzerwanie. Przyjemność, którą czuł, widząc, jak to robi, sprawiała mu niemal fizyczny ból. Uwielbiał, jak włosy gładziły jej brodę, opadając delikatnie, kiedy pochylała głowę.

W jej uszach błyszcząły kolczyki. Dostała je od niego, wyszukane i drogie. Caroline należała do kobiet, które same kupowały sobie doskonałą biżuterię; jego podarunki przyjmowała bez komentarza.

Gorączkowo pragnął kupić jej taką biżuterię, która świadczyłaby publicznie o jej przynależności do niego.

W intymnym blasku świec dosięgnął jej ręki. Miała zimną dłoń od dotykania lodowatych ścian kieliszka.

– Caroline, musimy porozmawiać.

Spojrzała na niego szybko, wolną ręką znowu poprawiła włosy za uchem.

– Tak.

To było oświadczenie, nie pytanie. Z pewnością też myślała, że nadszedł czas, by podjąć decyzję.

Czerpiąc odwagę z tego, co odczytał jako zgodę, brnął dalej, zatapiając się w miłości do niej:

– Kocham cię, Caroline. Dzięki temu wspólnemu tygodniowi jestem tego pewien bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Caroline wyprostowała się.

– Wiem, że postanowiliśmy nie podejmować żadnych ostatecznych decyzji przed upływem tych dwóch tygodni, ale nie mogłem czekać.

Mówił głosem przejętym pod wpływem emocji. Nie zauważył wyrazu jej twarzy.

– Zostawiłem Rose. Nie powiedziałem ci o tym aż do teraz, bo nie chciałem, żebyś czuła z tego powodu presję. Ale to już skończone, powiedziałem jej.

Na twarzy Caroline w końcu pojawiły się emocje.

– Caroline, posłuchaj mnie. Kocham cię i zostawiłem Rose. Ale nawet gdybyśmy nie zaszli tak daleko, to małżeństwo nie istniało. I tak bym ją zostawił.

Caroline zbierała się do wstania. Zobaczył w jej twarzy to, co uświadomił sobie, kiedy tylko skończył mówić – kłamał.

Caroline chwiejnym krokiem wychodziła z restauracji. Kelner, który właśnie miał przyjąć zamówienie, stanął kompletnie zaskoczony.

Ben skoczył na równe nogi, gotowy, by ją dogonić. Kelner uprzejmie zablokował mu drogę.

Ogarnięty paniką Ben rzucił w jego stronę tysiąc peset za drinki i przepchnął się między głośną grupą ludzi właśnie wchodzących do restauracji.

Kiedy wydostał się na zewnątrz, po Caroline nie było śladu.

## **Część druga**

*Poniedziałek, 10 kwietnia, godzina 12.30*

Rose sprawdziła nowe zamki, z przodu i z tyłu domu. Drzwi frontowe chodziły trochę sztywno, ale nie przejmowała się tym. Czowała się szczęśliwsza z tymi dodatkowymi zabezpieczającymi zamkami. Damien wrócił ze szkoły, jak tylko pożegnała ślusarza. Zsiadł zręcznie z roweru i zabezpieczył go. Rose spojrzała na syna ze zdumieniem.

– Damien, nie sądziłam, że przyjedziesz do domu na lunch!

– Przecież ci mówiłem. Po południu idziemy do Muzeum Pisarzy. Dlatego wziąłem rower.

Rzeczywiście, powiedział jej, teraz sobie przypomniła. Ucieszyła się, że ślusarz już poszedł. Od kilku dni trudno było jej się skupić i zebrać myśli.

– A to co? – Damien wskazał na łańcuch w drzwiach frontowych.

– Chciałam dodatkowo zabezpieczyć dom. Ostatnio w okolicy doszło do wielu włamań. Będę czuć się bezpieczniej z tymi nowymi zamkami.

Damien skinął bez słowa. Wiedziała, patrząc na jego twarz, że jej nie uwierzył. Nie próbowała jednak niczego mu wyjaśniać. Wystarczy na jeden dzień.

Byli sami, więc zadał to samo od dłuższego już czasu pytanie:

– Odezwał się?

Rose potrząsnęła przecząco głową.

– W lodówce jest spaghetti bolognese od wczoraj. Podgrzać ci w mikrofalówce?

Kiedy pojawiają się wątpliwości, najlepiej zaproponować jedzenie.



Damien był wiecznie głodny, więc to najlepszy sposób na odwrócenie jego uwagi.

Rose klęła w duchu na Bena, który jak gdyby nigdy nic zamierzał wrócić do domu za tydzień. Śniło jej się, że słyszała, jak zaparkował samochód i przekręcił klucz w zamku. Obudziła się niesamowicie wściekła, ale jednocześnie koszmar zmobilizował ją do działania. Czuła się tak, jakby wstała po długim, paralizującym śnie, który uniemożliwił jej konkretne działanie. Ale miała już dosyć pasywnego czekania i nicnierobienia do momentu powrotu męża.

Jeśli zechce wejść do tego domu, to tylko na jej warunkach. Został jeszcze tydzień, a ona nie da się zaskoczyć. Wręczyła Damienowi pęk kluczy.

– Nie zgub ich. Nie mam zamiaru przechodzić przez ten bałagan jeszcze raz.

Przytaknął z pełnymi ustami.

– Wrócisz jak zawsze? – zapytała go, wycierając blat.

– Chyba tak.

– Mógłbyś odebrać Briana i Lisę od Jane? Jej teściowa opiekuje się dziś dziećmi, więc postaraj się być tam około szesnastej, dobra?

Znów przytaknął. Nawet nie zapytał, gdzie się wybierała.

– Powinam wrócić około osiemnastej, ale mogę się spóźnić. Na obiad jest potrawka. Ugotujcie trochę ryżu i zjedzcie. Przypomnij dzieciom, że mają odrobić lekcje.

– Dobra. A ty kiedy zjesz?

– Zostawcie mi trochę potrawki. Zjem po powrocie.

– No dobra. Spadam.

Minął Jane, biegnąc do bramy. Zawołała coś do niego, a on pomachał w odpowiedzi. Rose otworzyła drzwi, zabierając po drodze płaszcz i torebkę.

– Gotowa? – zapytała Jane.

Jednym spojrzeniem ogarnęła twarz Rose.

– Wiesz, że nie musisz tego robić.

– Wiem. Ale chcę tego. Może to głupie, ale naprawdę chcę to zrobić.

– W każdej chwili możesz zmienić zdanie, pamiętaj o tym. Ja tylko kieruję.

Rose zamknęła za sobą drzwi na klucz. Wrzuciła klucze do torebki.

– Jedźmy już.

*30 marca 1993*

Rose bierze się do pracy, jak tylko Ben wychodzi.

To najlepszy dzień, bo Ben wraca późno. Rose martwi się o męża, bo w ostatnim czasie Barry Herbert przysparza mu tyłu zmartwień. Ma nadzieję, że dziś w końcu się dogadają. Ben jest w kiepskiej formie.

Z wysiłkiem zmusza się, by Ben i jego problemy zeszły na dalszy plan. Jest zadowolona, że ma zajęcie, choć nie znosi tej pracy.

Z pokoju usuwa wszystkie bibeloty. Zdejmuje obrazy i od frontowych aż do tylnych drzwi rozkłada stare gazety. Z obu dużych okien ściąga zasłony. Gzas je w końcu wyprać. Nawet przez gumowe rękawiczki czuje gruby osad z kominka po zimowym grzaniu i z papierosów Bena.

Taki dzień zawsze ją przygnębia. Dom wygląda brudno i goło. Jeśli O'Farrell i Synowie przyjadą wcześniej, by wyczyścić komin, zdąży wszystko uporządkować, zanim Ben wróci z pracy. Dobrze wie, że mąż nie cierpi bałaganu.

Rose przykrywa telewizor prześcieradłem, natomiast wieżę stertą gazet. Z półek zbiera stare magazyny. Z tego chaosu stworzy porządek, więc zaczyna ogarniać ją satysfakcja.

Wszyscy na ulicy wiedzą, że firma O'Farrell i Synowie jest świetna i pracę wykonuje znakomicie. Ale dom po ich wizycie zostaje w katastrofalnym stanie. Dzięki Bogu, że tylko raz w roku.

Do południa jest już gotowa. Stół kuchenny ugina się pod rzeczami czekającymi na dokładne umycie. Każda możliwa część powierzchni przykryta jest książkami i gazetami, które musi teraz przejrzeć. Kiedy

Rose napelnia zlew gorącą, pieniącą się wodą, w domu rozlega się dzwonek do drzwi.

Dobrze. Do lunchu powinni się uwinąć. Uda jej się przywrócić normalny wygląd domu do osiemnastej. Gotowy obiad czeka w piekarniku. Dzieci są bezpieczne w szkole. Rose czuje, że wszystko jest tak, jak być powinno.

O'Farrell i Synowie przeciskają się przez korytarz, ciągnąc za sobą szczotki i resztę narzędzi. Rose obserwuje ich nerwowo. Tapeta kosztowała majątek.

Docierają do dużego pokoju bez żadnych przeszkód. Jak zawsze lakoniczni, uprzejmie dziękują za herbatę. Rose wycofuje się, zanosząc modły, by obyło się bez żadnych szkód.

Już przed laty próbowała przekonać Bena, by zrezygnowali z kominka i zainstalowali centralne ogrzewanie. Ale on twierdzi, że żywy ogień nadaje wnętrzu styl, a poza tym bardzo lubi jego widok.

Tak więc rytuał trwa.

Rose wymiata popiół każdego ranka, rozpala ogień wieczorem, dokładnie czyści kominek i odkurza dookoła. Doszła do mistrzowskiej wprawy.

Wiosenne porządki zajmą tydzień. Nie jest nawet rozczarowana, że nikt poza nią chyba nie zauważa różnicy. Ona i tak wie, że wszystko lśni i błyszczy.

Kiedy zanurza ręce w ciepłej wodzie, zastanawia się, czy za dwadzieścia lat też będzie to robić. Życie stało się bardzo przewidywalne. Ale Rose wie, że wciąż ma tyle rzeczy, za które powinna być wdzięczna.

Podczas gdy O'Farrell i Synowie szorują komin od środka, Rose

napelnia zlew i używając starej szczoteczki do zębów, czyści porcelanę.

Miałaby ochotę zjeść lunch w pubie. Do głowy przychodzi jej szalony pomysł, by zadzwonić do biura Barry'ego i poprosić Bena. Szalone i zaskakujące życzenie, by zjeść lunch w pubie z własnym mężem.

Spogląda na zegarek. Już za późno. Zanim O'Farrell i Synowie skończą, Lisa wróci ze szkoły. A ona, Rose, musi wziąć prysznic, zanim wyjdzie gdziekolwiek.

Dobry pomysł, ale nie dzisiaj.

Może innym razem.

*Poniedziałek, 10 kwietnia, godzina 13.15*

Jane rozśmieszała ją całą drogę na lotnisko. Rozbrajające historie o bracie i jego żonie z innej bajki, o wiecznie roztargnionej teściowej i o pracy na pół etatu w lokalnej kawiarence. Te wszystkie dziwactwa sprawiły, że Rose poczuła się pewniej z tym, co właśnie zamierzała zrobić. Poczucie humoru Jane było zaraźliwe i Rose na nowo zaczynała odkrywać swoje.

– A więc?

Ucichły na moment przed budynkiem terminalu.

– Co pani sobie życzy? Parking krótkiego czy długiego postoju?

– Długiego postoju, ma się rozumieć!

– No to pospieszmy się, zanim zmienisz zdanie! Znalezienie srebrnego bmw Bena zajęło im około piętnastu minut.

– Kluczyki, proszę. – Jane wyciągnęła rękę. Chichocząc, Rose wyłączyła alarm i wręczyła kluczyki Jane.

Zamki ustąpiły posłusznie.

– Jesteś pewna, że będzie pamiętał, gdzie zaparkował samochód?

– Oczywiście. Nigdy nie zapomina.

– OK, chodźmy.

Jane wyjechała samochodem z jego miejsca parkingowego. Ben zaparkował tyłem, wjeżdżając idealnie między białe linie.

– Dokąd jedziemy?

– Jak najdalej się da. Jedź na drugą stronę parkingu i znajdź tam miejsce. Zaparkuj przodem. Ben nie znosi wyjeżdżać tyłem.

Taka mała rzecz. Rose wyobraziła sobie frustrację Bena, a być może nawet panikę, na myśl, że jego radość i duma została skradziona, a może nawet rozbita o jakąś lampę.

Zemsta smakowała słodko. Piszczwały z radości, jeżdżąc w kółko w poszukiwaniu pustego miejsca, a kiedy w końcu Rose zauważyła takie na drugim końcu ogromnego parkingu, ich szczęście sięgnęło zenitu. Jane zaparkowała uważnie, wślizgując się między grzecznego mercedesa a aroganckiego jaguara.

Rose otworzyła bagażnik, by sprawdzić, czy znajdzie tam jakieś ślady. Czego? Kochanki Bena? Jego planów? Nie znalazła nic, oprócz czerwono-czarnego jedwabnego krawata Valentino, który podarowała mu kiedyś na urodziny. Poza tym samochód lśnił nienaturalną czystością.

Znalazł czas nawet na to, zanim wyjechał. Im więcej Rose nad tym się zastanawiała, tym bardziej uświadamiała sobie, ile uwagi Ben poświęcił przygotowaniu do wyjazdu. To nie była decyzja podjęta na ostatnią chwilę. Zaplanował dokładnie każdy szczegół.

A ona miała się dowiedzieć ostatnia.

Ta bolesna prawda sprawiła, że łatwiej było cieszyć się z figla, który mu spłatała. W tej sytuacji zmiana zamków także znalazła uzasadnienie. I czuła się lepiej przygotowana do jutrzejszej rozmowy z Davidem O'Brienem.

Potem będzie Wielkanoc. A następnie siedemnasty. Będzie gotowa.

Jane czekała, podczas gdy Rose dyskretnym piśnięciem ponownie włączyła alarm. Następnie schowała kluczyki do torebki i objęła Jane ramieniem. Ostatni raz na taki przyjacielski gest zdobyła się za czasów Marthy.

Z lekkim sercem wracała do samochodu.

– Już widzę te nagłówki: „Mężczyzna aresztowany za podejrzone zachowanie na parkingu lotniska”.

Jane roześmiała się.

– Holujący Caroline i walizki!

– Czy możesz sobie to wyobrazić? Jak próbuje przekonać strażnika, że ukradli mu samochód?

– A potem znajdują jego cacko pięknie zaparkowane dokładnie tam, gdzie upierał się, że go nie ma!

– Wyobraź sobie tylko jego minę.

Rose nie miała ochoty wracać do domu. Potrzebowała humoru Jane, jej siły, jej przyjaźni.

– Kieruj na Malahide – powiedziała nagle.

Jane spojrzała na nią z ukosa. Od razu wyczuła stanowczość w głosie Rose, nie znała tylko jej powodu. Rose uśmiechała się do niej szeroko.

– Zapraszam cię na lunch. Nie. – Podniosła rękę, by zapobiec ewentualnym protestom. – Nalegam.

– Wcale nie zamierzałam ci odmówić. – Jane wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Powiedz tylko, dokąd jedziemy, żebym wiedziała, gdzie zaparkować. Umieram z głodu!

Po raz pierwszy od tygodnia Rose poczuła głód. Nic jej nie goniło, a do swej dyspozycji miała całe popołudnie. Dzieciom zapewniła bezpieczną opiekę, Bonne Bouche miała pod kontrolą.

I Ben. Tysiące mil od niej, zwiększający ten dystans z każdą chwilą.



*30 marca 1993*

Ben robi się naprawdę niecierpliwy.

– Na miłość boską, Barry, przyciśnij go trochę. Zachowujesz się jak niańka.

Caroline obserwuje, jak obaj mężczyźni się kłócą. Ma nadzieję, że Ben zdaje sobie sprawę, że Barry potrafi być bardzo uparty, kiedy broni swojej racji.

Na twarzy ma wypieki, usta zaciśnięte w wąską linię.

To już nie są negocjacje. Barry podjął decyzję, nic nie zdoła go przekonać.

– Facet wycofał się z bardzo uzasadnionych powodów, Ben. Nie mam prawa go naciskać, zresztą wcale nie zamierzam tego robić.

Ben wygładza krawat.

– Słuchaj, Barry. Tego rodzaju oferta zdarza się tylko raz. Czteryście tysięcy do podziału na nas czterech za taką nieruchomość to kupa gówna. Nawet tak jak stoi, bez remontu, bez dzierżawy, ten dom jest wart jakieś pół miliona. Moglibyśmy trzymać go przez rok i nic nie robić, a i tak zarobiliśmy fortunę. To wielka nieruchomość i nie możemy jej tak po prostu przepuścić.

Barry potrząsa głową.

– Wiem, wiem wszystko. Ale znam też Mike'a. Facet wie, że w tym momencie ma zbyt dużo do stracenia i nie wpakuje się w interes, którego finału nie potrafi przewidzieć. Powiedziałem mu, że jeśli chce, może zaryzykować mniej niż dwadzieścia pięć procent. Wykalkulowałem, że

dalibyśmy w trójkę radę z dwudziestoma ośmioma procentami dla każdego. Zaproponowałem mu, żeby zaczął od piętnastu procent, z możliwością kupienia kolejnych dziesięciu w ciągu roku albo kiedy ustabilizuje się jego sytuacja. Ale gość się wycofał.

– Przerobiliśmy wszystkie możliwe opcje, Ben, i nic z tego. To moja ostateczna propozycja – dwadzieścia pięć procent do dwudziestu ośmiu. Więcej po prostu nie mogę dać. Daj spokój, Ben, nadarzą się kolejne okazje.

– Nie możemy znaleźć innego partnera?

– Przecież już szukaliśmy. Nie teraz, to nie jest dobry okres dla wielu inwestorów. Nie ma nikogo innego, z kim mógłbym poczekać, aż ten budynek na siebie zarobi. Na całkowity zwrot poczekamy może i dziesięć lat.

– A co z Peterem?

– Dobrze wiesz, że on jest w gorącej wodzie kąpany, a my nie potrzebujemy nikogo takiego. Ta inwestycja wymaga czasu i cierpliwości. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią przewidywać, kogoś, komu moglibyśmy zaufać.

– Kogoś takiego jak Mikę? – pyta gorzko Ben. Barry rzuca mu długie spojrzenie.

– Dokładnie kogoś takiego jak Mikę. Wycofał się z ważnych powodów, zanim ktokolwiek z nas zdążył się zaangażować z ważnych powodów. To lepsze niż kupowanie czegoś pod wpływem impulsu, a potem zmuszanie nas do sprzedaży wszystkiego za bezcen.

Barry unosi rękę w momencie, kiedy Ben szykuje kolejny atak.

– To już koniec, Ben. Do drugiej trzymali dla nas cenę. Dali nam

czterdzieści osiem godzin na podjęcie decyzji, już po wszystkim. Ale tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. I tak jest za późno. Będą kolejne transakcje.

Barry zaczyna pakować papiery do torby. Caroline obserwuje twarz Bena. Przegrał i jest wściekły. Widzi też, że Ben jest w stanie postawić wszystko na jedną kartę, Barry nie. To tylko jedna z różnic między nimi.

– Idę teraz do banku powiedzieć im, że już po transakcji, i wyjaśnić, dlaczego podjęliśmy taką decyzję. Nie zmartwią się, a przynajmniej następnym razem będą chcieli z nami gadać. Ben, jeszcze nieraz trafi nam się taka okazja. A ta nie była nam pisana. – Odwraca się do Caroline. – Potem jadę do domu.

Ben stoi wpatrzony w okno z rękoma głęboko wciśniętymi w kieszenie.

– Zostanę jeszcze trochę. Mam mnóstwo papierkowej roboty. Będę w domu jak zawsze. – Caroline z wysiłkiem utrzymuje neutralny ton.

– A nie możesz z tym poczekać do jutra? – Barry patrzy na nią.

Caroline potrząsa głową.

– Zobacz listę telefonów. To całe fiasko z Merrion Square zajęło nam każdą chwilę w zeszłym tygodniu. Ktoś musi posprzątać ten bałagan.

Caroline ma świadomość, jaki cios zadała. Słowem „fiasko” jednoznacznie określiła, po czyjej stoi stronie. Przebiegło jej przez myśl, czy aby na pewno zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

Barry wychodzi. Mężczyźni nawet na siebie nie spojrzeli.

Ben odwraca się od okna. Na jego twarzy nie widać już gniewu. Wygląda raczej na zadowolonego.

– No, to by było na tyle. Idę coś zjeść. I chyba się napiję. – I zaraz potem, jakby po chwili zastanowienia: – Masz ochotę mi towarzyszyć,

Caroline?

Ton w sam raz, przyjacielski, zwyczajny. Ale napięcie zostało.

Tyle że nie miało już nic wspólnego z interesami. To iskrzyło między nimi.

Caroline wie, że musi podjąć decyzję. Ostrożnie układa papiery na biurku.

Uśmiecha się do Bena.

– Poczekaj, wezmę tylko płaszcz.

Rose natychmiast bierze się do odkurzania. O'Farrell i Synowie spisali się świetnie. Jest zadowolona, że ma ich z głowy na rok.

Sprząta i ściera kurze, ustawia na nowo bibeloty, wypełniając jednocześnie czarne, plastikowe worki śmieciami. Przestaje tylko na chwilę, by podać dzieciom lunch i zagonić je do odrabiania lekcji. Brian w swoim pokoju, a Lisa przy kuchennym stole. Taki podział sprawdza się najlepiej.

Do siedemnastej pokój błyszczy. Rose wpycha zasłony do torby, a potem pakuje do samochodu, by następnego dnia zabrać je do pralni.

Znosi ze strychu drabinę i ściąga z szafy czyste i jasne, letnie firanki.

Kiedy kończy je zawieszać, bołą ją ramiona. Ale jest zadowolona, naprawdę zadowolona z dzisiejszej pracy.

Napełnia wannę gorącą wodą, wsypuje do niej garść aromatycznych soli. Sprawdza zegar na kuchence, potem przegląda zadanie domowe, przerzucając kartki nieco mniej dokładnie niż zazwyczaj.

Brudne rzeczy wrzuca do kosza w łazience. Z szafy wyjmuje czarną spódnicę i jedwabną różową bluzkę. Może uda jej się wieczorem wyciągnąć Bena na drinka. Od tak dawna nie wyszli nigdzie razem. Kiedy

wróci do domu, ona będzie już gotowa.

Cała zanurza się w parującej wodzie, nurkuje, ogrzewając twarz i całą głowę.

Kładzie się i oddaje przyjemności zasłużonego relaksu.

Atmosfera w pubie robi się nieco senna. Zmysły Caroline wyostrzają się podczas rozmowy z Benem. Wszystko inne zaczyna się rozmywać.

Prawie nie tknęła jedzenia, zresztą i jego talerz wciąż jest pełny.

Ben z trudem siebie poznaje. On, facet w średnim wieku, żaden adonis, niespokojny i niezadowolony od lat, nagle przeobraża się w dynamicznego ryzykanta.

Nie jest już biznesmenem prowadzącym dostatnie życie dzięki swej pracy i szczęściu, ale inwestorem żądnym sukcesu, dla którego nie istnieją żadne granice.

Roztacza przed Caroline wizje, o których istnieniu jeszcze przed chwilą nie miał pojęcia. Chce jej zaimponować. Czuje nagły przypływ pewności siebie, własnych możliwości zapomnianych od lat.

Caroline wybacza mu nawet palenie. Stwierdza, że podoba jej się ta mieszanka tytoniu i wody kolońskiej. Pragnie, by ją pocałował. Siedzą już tak blisko, że może zachęcić go, poruszając się nieznacznie, a on będzie przekonany, że to był jego pomysł.

Wygładza spódnice, ręka ociera się o jego udo.

Wtedy on chwyta jej dłoń i unosi do ust. W innych okolicznościach Caroline wyśmiałaby taki trywialny gest.

Teraz nie potrafi sobie wyobrazić czegoś bardziej romantycznego. Ma zadziwiająco suchą i ciepłą dłoń. Jego uścisk jest silny, nadgarstki mocne i owłosione. W rzeczywistości musi być lepiej zbudowany, niż kiedyś

sądziła, patrząc na jego zaokrągloną talię.

Zaczyna się zastanawiać, jak wygląda nago. Ciało Barry'ego jest szczupłe i żyłaste, często zimne w dotyku.

Podejrzewa, że Ben jest inny.

Kiedy całuje ją, seksualny pociąg miesza się z dziesięcioprocentowym dżinem.

Całuje ją ponownie, pieszczotliwie dotykając jej twarzy, szyi i każdego miejsca, gdzie znajduje gołą skórę.

*Wtorek, 11 kwietnia, godzina 6.00*

Kolejny wtorek. I znów pobudka o szóstej rano. Rose zastanawiała się, czy kiedykolwiek przedtem jej życie wyglądało inaczej. Jeszcze wczoraj, po jeździe na lotnisko i numerze z samochodem Bena, czuła się świetnie. Ale teraz, w pustej ciszy kuchni, poczuła się nagle osaczona przez pasmo własnych porażek.

Zastanawiała się, co porabiał Ben. Wciąż czuła ukłucie, kiedy wyobrażała sobie ich razem. Przypomniały jej się gorzkie słowa Ellen sprzed lat:

– Mam nadzieję, że jest tego wart.

Wzięła się do pracy, ale zamiast naturalnego gniewu wypełniło ją poczucie pustki.

Wyrabiała ciasto, ugniatała i formowała je ręcznie. Pomogło jej to.

Tego ranka myślała o Bogu i o tym, jak mało miejsca zajmował w jej życiu. Uwierzyła, że życie obróciło się przeciwko niej i żadne listy – choćby i od samego papieża z zapewnieniem, że jest wyjątkową kobietą –

nie byłyby w stanie jej przekonać.

Chyba nigdy nie wyróżniała się zbyt dużą religijnością, na pewno nie w tym sensie co Ben. A po Michaelu stała się jeszcze bierniejsza i w kościelnych rytuałach uczestniczyła tylko ze względu na dzieci. Nigdy w ich towarzystwie nie wyraziła swoich wątpliwości.

Ben miał inne poglądy. Dla niego każda niedziela była święta i modlił się co wieczór. Dobry katolik.

Zastanawiała się, jak mógł wierzyć tak gorliwie i jednocześnie ją zdradzać.

Dzisiaj najwyraźniej dotarło do niej, że przez ostatnie dwadzieścia lat oszukiwał ją. Ona przestrzegała ustalonych zasad, ale ktoś za jej plecami zmienił grę. Dwadzieścia lat ciężkiej pracy w domu i nic z tego nie ma.

Bóg nie mógł jej teraz tego wynagrodzić.

Wsadziła blachy z bochenkami do piekarnika. Po filiżance herbaty czekało ją niekończące się kopiowanie. Postanowiła zrobić to, co zalecał David O'Brien, choć w jej odczuciu był to kolejny gwóźdź do trumny.

Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej zachowywał się bardzo oficjalnie, jak człowiek, który się spieszy. Była rozczarowana, gdyż liczyła na więcej serdeczności i ciepła.

– Każdą notatkę – powiedział – każdy list, fakturę, wyciąg bankowy, udział w zyskach... – zrób kopie wszystkiego. Wtedy zobaczymy, na czym stoimy.

Przynajmniej świadomość „my” pocieszyła ją, bo w końcu miała kogoś po swojej stronie.

Rose nie czuła już w sobie energii i optymizmu, które wykrzesiała z siebie w zeszłym tygodniu.

Wyciągnęła kalendarz. Przeraziła ją myśl, że nie ma nic do zrobienia.

Powoli, z namysłem, w pustej kuchni, wymyśliła sobie taką listę zadań na cały tydzień, by utwierdzić się w przekonaniu, że zaczyna od początku.

*10 kwietnia 1993*

Ben delikatnie odkłada słuchawkę. Ma spocone ręce. Z kieszeni wyciąga chusteczkę i wyciera dłonie. Wstaje z obrotowego fotela i podchodzi do okna.

Nie może uwierzyć w swoje szczęście. Caroline znów się z nim spotka. Tak bardzo się bał, że będzie chciała się wycofać, powie, że popełnili okropny błąd. W środku nocy, leżąc obok Rose, Ben przestraszył się. Ile ryzykuje?

Zanim nadchodzi ranek, jest mu wszystko jedno. Pragnie Caroline. Będą ostrożni. Dopilnuje, by nikt się nie dowiedział, przynajmniej do momentu, kiedy oboje będą na to gotowi. Nie ma wątpliwości, że ich przeznaczeniem jest być razem.

Stojąc przy oknie, Ben obserwuje Rose. Żona rozwiesza pranie. Walczy z białym prześcieradłem. Prześcieradłem z ich łóżka. Na chwilę wiatr wrywa je z jej rąk. A potem z dzikim podmuchem materiał owija się wokół jej ciała. Rose zaciekle próbuje uwolnić się od przejmującej wilgoci.

Ten widok zakłóca spokój Bena w niezrozumiały dla niego sposób. Przez chwilę myśli, by wyjść i pomóc jej. Ale potem ogarnia go rozdrażnienie. Dlaczego nie może użyć suszarki? Zastanawia się, czy ona kiedykolwiek ma dość tej swojej obowiązkowości.



Gwałtownie odwraca się od okna i zamyka teczkę. To drobne domowe zdarzenie zezłościło go.

Bierze teczkę, wychodzi tylnym wyjściem i idzie wprost do samochodu.

Rose słyszy trzaśnięcie samochodowych drzwiczek. Jej serce zamiera. Już drugi raz Ben wychodzi bez pożegnania. Zanim dobiegnie do końca podjazdu, bmw topi się w popołudniowym ruchu. Zniknął. Zastanawia się, dlaczego jest tak bardzo źle.

Ben widząc ją we wstecznym lusterku, naciska na pedał gazu.

Kobieta w średnim wieku z workiem na klamerki uwiązany dookoła szyi.

Włącza odtwarzacz CD.

Gershwin. *Błękitna rapsodia*.

Nastawia muzykę głośniej i kieruje się na Malahide.

*Środa, 12 kwietnia, godzina 8.00*

Środek drugiego tygodnia. Rose z trudem może uwierzyć, że przetrwała tak długo. Półtora tygodnia. Półtora życia. Dzisiejszego ranka ciężar porażek przestał ją przytłaczać. Znowu rozpierała ją energia.

Czerpała ogromną przyjemność z poczucia, że zarabia własne pieniądze. Zbliżała się Wielkanoc, czas na odrobinę szaleństwa. Przeliczyła, ile jest w stanie odłożyć. Chciała dać Damienowi parę funtów ekstra na specjalną dyskotekę w sobotnią noc, a Briana i Lisę postanowiła zabrać do kina i postawić im potem po hamburgerze.

Na stole kuchennym i blatach w równiutkich rzędach ułożyła cztery tuziny bułeczek, czekających cierpliwie na swoją kolej w piekarniku. Tyle samo białych i razowych, do tego pół tuzina bułeczek wiedeńskich – jej pierwsze zamówienie na ten rodzaj. Przygotowanie ich okazało się bardzo pracochłonne i wymagało sporo czasu, ale nie miała zamiaru zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Poza tym przyrzadziła jeszcze różne wielkanocne rarytasy, a na koniec pączki, gotowe do wrzucenia na głęboki tłuszcz.

Rose szybko zaparzyła filiżankę kawy i zanotowała w kalendarzu czas pieczenia każdej blachy ciasta. Jeśli szczęście dopisze, do dziesiątej uda jej się wszystko zapakować. A jeśli nie, uwinie się do jedenastej. Joe miał przyjechać furgonetką o wpół do dwunastej. Tak czy siak, zdąży na czas.

Te wczesne poranki stawały się coraz bardziej potrzebne. Na swój sposób pieczenie chleba dawało jej mnóstwo satysfakcji. Rose wspomagała się robotem kuchennym tylko w ostateczności, kiedy

naprawdę nie miała czasu, a głównie pracowała własnymi rękoma, zanurzając je aż po łokcie w fermentującej masie.

Miała przyjemne poczucie, że tworzy całość przez ugniatanie, wyrabianie, wałkowanie i formowanie. Nie spieszyła się – czerpała radość z obcowania z różnymi zapachami i powierzchniami, z dotykania pożywnego bogactwa dłońmi. Po raz pierwszy w życiu Rose wiedziała, co znaczy odczuwać dumę z własnej pracy.

Czasami zasmucał ją fakt, że to, co kiedyś robiła z miłości, sprzedawała teraz dla pieniędzy.

Zaraz jednak przychodziła refleksja, że właśnie w taki sposób funkcjonował świat. Składanie hołdu gospodyni i jej pracy to mrzonki. O sukcesie i prestiżu społecznym świadczyły pieniądze, które w życiu znaczyły dokładnie to, co mąka i cukier w jej wypiekach. Dzięki mnożącym się jak drożdże pieniądzom Ben osiągnął dostatnie życie i powszechne uznanie.

Ona razem z nim, bo ciągnął ją za sobą. A to, co naprawdę się dla niej liczyło – dbanie o miłość, rodzinę, ich żywiciela – było gównem warte.

Jego odejście przekreślało ich wspólny, a nie tylko jego dorobek.

Do żywego rozzłościła ją ta myśl. Stopniowo jednak gniew słabł, za to plany dotyczące przyszłości stawały się bogatsze, a złość była jedynie częścią codziennego rytuału.

Minutnik dał o sobie znać. Rose wyjęła z piekarnika blachę pięknie zaokrąglonych, dobrze wyrośniętych wielkanocnych chlebów, przesiąkniętych tym, co najlepsze.

Kiedy wkładała dwie kolejne porcje bułeczek do piekarnika, przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie pozwoli się tak wykorzystać.

## *Luty 1994*

Ciemny, zimowy dzień. Rose nienawidzi lutego, kiedy ponure niebo ciąży złowrogo, a wszystko dookoła spowija nijaka szarość.

Oczywiście od samego rana leje. Taksówka nie przyjechała, więc o szóstej rano odwozi Bena na lotnisko. Z ulgą myśli o jego wyjeździe, bo ostatnio ciężko wytrzymać z mężem. A może to z nią trudno żyć. Pogubiła się już w tej sytuacji.

Gdyby ktokolwiek zapytał ją, jak się czuje, odpowiedziałaby: „Wypompowana”. W ostatnim czasie jej wrodzona energia opuszcza ją bardzo często.

Już cieszy się na myśl, że wczesnie pójdzie spać. Jedzenie na wynos, kąpiel, łóżko. Takie proste przyjemności.

Od Bożego Narodzenia Ben nie może usiedzieć na miejscu. A właściwie jeszcze przed świętami albo wpadał w apatyczny nastrój, albo za chwilę tryskał energią. W jego zachowaniu brak spójności, tak jakby pewne elementy nie pasowały do siebie. Pije też więcej, ponad to, co Rose uważa za dobre dla niego.

Poprzedniego wieczoru z wahaniem w głosie zaproponowała mu wspólny wypad do miasta przed jego wyjazdem do Londynu. Ku jej zdziwieniu zgodził się natychmiast. Po raz pierwszy od wielu miesięcy doczekała się pozytywnej odpowiedzi. Mąż oddala się od niej, wymyka się jej i ta myśl przeraża Rose.

Może tym razem zdoła dotrzeć do niego, przedrzeć się przez ten kolczasty drut, którym się otoczył.

Kiedy dochodzą do pubu po długim, milczącym marszu, Ben natychmiast kieruje się w stronę baru. Rose rusza na poszukiwanie wolnych miejsc.

Coś w gardle zaczyna ją dusić. Uśmiecha się do kilku sąsiadów i czuje, jak grymas zamiera jej na twarzy. Przypomina sobie sarkastyczną przestrożę z lat dziecięcych: „Uważaj, bo się potkniesz i tak ci zostanie”.

Wraca Ben. Rose obserwuje zarys jego szczęki, sztywność, z jaką nią porusza. Często w nocy zdarza mu się zgrzytać zębami. Wygląda dokładnie tak, jakby teraz nimi zgrzytał.

Ciężko siada obok niej.

– Szkoda, że muszę jechać.

Serce Rose podskakuje. Czy już wraca do niej? Czy chce jej powiedzieć, że wciąż ją kocha i wolałby z nią zostać?

– To nie jest dobry moment. Barry Herbert zawalił swoją robotę. Ci faceci nie są jeszcze gotowi, by podpisać kontrakt. Czuję to w kościach.

Połyka sporą część whisky, podwójnej zresztą, jak zauważa Rose.

– Co się dzieje, Ben? – pyta cicho.

Natychmiast kamień w gardle przesuwa się trochę. Znow może oddychać. Odwraca się do niej szybko. Rose zauważa, że zbladł.

– O co ci chodzi?

– Jesteś taki zajęty. Od miesięcy już nie spędzamy czasu razem. Martwię się o ciebie.

Ta formułka zwykle się sprawdza. Ben nie lubi konfrontacji, wytykania niedociągnięć, nieważne – prawdziwych czy wymyślonych.

Rose widzi, jak na jego twarzy maluje się ulga. Czy ona to wszystko sobie wymyśla? Czy podejrzewał, że publicznie zrobi mu scenę? Czy

naprawdę tak mało ją zna?

Ben bierze jej dłoń i ściska.

– Przepraszam, kochanie. Ten interes daje mi się we znaki. Barry ociąga się ze wszystkim i wcale mi się to nie podoba. Boję się, że ładuję się w kłopoty.

– Czy jedzie z tobą w delegację?

Ben macha komuś przy barze. Nie spieszy się, by znów spojrzeć jej prosto w oczy. Kolejny raz sięga po whisky.

– Nie. Ma robotę tutaj. Słuchaj, nie musisz się o nic martwić. Uporam się ze wszystkim i znów będzie po staremu. Napijesz się jeszcze?

Rose kiwa głową, że tak. Przegrana przytłacza ją, zupełnie jak zimowe chmury. Ben wraca w wyraźnie lepszym nastroju, nie ma śladu po bladości.

Mimo że kosztuje ją to mnóstwo wysiłku, dopasowuje się do jego humoru. Rozmowa zaczyna się kleić i w radosnym niemal nastroju wracają do domu. Dystans między nimi jakby się zmniejszył. Kto wie, może dzisiejszej nocy będą się kochać.

Ben zagląda do dzieci, kiedy ona się rozbiera. Wraca i całuje ją przelotnie.

– Biorę prysznic. Muszę wstać o piątej. Możesz wrzucić parę rzeczy do mojej walizki? I nie czekaj na mnie, mam jeszcze trochę papierów do przejrzania.

Rose kiwa głową bez słowa. Jakaś część niej chce krzyknąć: „Sam-to-sobie-zrób”.

Układa siedem koszul, cztery krawaty i dwa kaszmirowe swetry. A potem ostrożnie stawia walizkę na podłodze po jego stronie łóżka, gasi

światło i zasypia.

Dochodzi piąta rano, a taksówka nie nadjeżdża.

Podwozi Bena na lotnisko, wciąż zaskoczona jego nadzwyczajnym zdenerwowaniem. Kieruje swą złość na Barry'ego Herberta. Jak tylko Ben znikną jej z oczu, Rose zaczyna żałować swoich wcześniejszych negatywnych myśli. A potem odczuwa ulgę, że została sama. Tydzień wolności i przestrzeni.

Pobudka o piątej rano daje o sobie znać późnym popołudniem. Szkoła, zakupy, zajęcia na basenie, przelotna wizyta u ojca, cotygodniowa góra prania. „Zabierzcie mnie od tego wszystkiego” – tak myśli o dwudziestej pierwszej.

Leżąc w wannie, Rose wraca myślami do Bena. W jego zachowaniu jest coś ulotnego, coś, czego nie potrafi pojąć. Kryzys wieku średniego? Może właśnie o to chodzi.

Postanawia postarać się jeszcze bardziej, kiedy Ben wróci z Londynu.

Bądź gotowa na wszystko.

Powiedzonko mamy. Sposób, w jaki przeżyła swoje życie. Zajęta dziećmi, pracą w domu, wszystkim innym dookoła – matka Rose była gotowa dosłownie na każde skinienie ojca.

Ojciec nie przepadał za pubami, matka zresztą też ich nie lubiła. Ale Rose dobrze pamięta z dzieciństwa te wieczory (a było ich naprawdę wiele), kiedy ojciec składał gazetę, spoglądał na matkę siedzącą przy kominku i robiącą na drutach lub szyjącą w swoim fotelu i mówił:

– Co byś powiedziała pa wspólny spacer, zanim położymy się spać?

Cerowanie czy druty natychmiast szły w odstawkę. Ellen miała zaopiekować się młodszym rodzeństwem, a Rose kazano szykować się do

spania. Rose uważała, że Kevin i Grace i tak większość czasu spędzali w łóżku. Jakoś ta dwójka rodzeństwa nie wryła się szczególnie w jej pamięć.

Zaraz potem rodzice wychodzili, ramię w ramię, i długą aleją podążali w kierunku morza.

Ellen i Rose siadały blisko kominka, robiły herbatę i jadły, aż nadszedł czas spania.

Zimowe wspomnienia.

Rose uśmiecha się, namydlając nogi.

Może mogła się czegoś nauczyć ze sposobu postępowania rodziców wobec siebie. Pewnie gdzieś popełniała błąd.

W przypiływie fali szczęścia Rose decyduje się zapytać Bena, czy właśnie o to chodzi. Jeśli uda jej się z nim dziś skontaktować, zadzwoni do niego zaraz po kąpieli.

I właśnie wtedy, zanurzając się w miłości, Rose uświadamia sobie, że Ben nie zostawił jej żadnego numeru kontaktowego.

To nie było do niego podobne.

Rose wzdycha, ale bez żalu. Nadarzy się kolejna okazja. Pomyśli o tym jutro, kiedy nie będzie aż tak zmęczona.



*Czwartek, 13 kwietnia, godzina 11.30*

Joe przyjechał dokładnie o wpół do dwunastej. Emerytowany wojskowy, obsesyjnie przestrzegał punktualności. Dzięki temu Rose czuła się pewniej. W tym świecie zmieniającym się jak kalejdoskop znalazła mocny i stały punkt zaczepienia. zaproponowała mu filiżankę herbaty i orzechową bułeczkę, a on przyjął zaproszenie z tak śmiertelną powagą, że można było odnieść wrażenie, iż wyświadcza jej ogromną przysługę. Rose zrozumiała, skąd jego córka Annie czerpała tyle pewności siebie. Był wspaniałym towarzyszem, szarmanckim, z manierami człowieka starej daty. Z przyjemnością obserwowała jego wewnętrzne rozdarcie: z jednej strony rozpierała go duma z sukcesów córki, z drugiej zaś lamentował, że przyszło mu żyć w czasach, kiedy to kobiety zarabiałały na utrzymanie.

Nie miał pojęcia o jej sytuacji, tego była pewna.

– Co zaś się tyczy mężczyzn, którzy uchylają się od odpowiedzialności, to według mnie, powinno się ich potraktować szpicrutą. A to i tak zbyt łagodna kara.

Rose wiedziała, że zarówno kiedyś, jak i w dzisiejszych czasach takie postępowanie nie załatwia sprawy. Ale taktownie nie odzywała się za dużo. Szybko zaczęła się orientować w jego życiowej pasji – koniach, poznała imiona i maść ulubieńców.

Pakował wielkie tace pełne wypieków na tył zadbanej furgonetki, utyskując przy tym pod nosem na świat, którego nie mógł już zrozumieć. Kiedy pojechał, Rose szczerze za nim zatęskniła. Wypełnił kuchnię solidnymi zasadami, a dzięki silnej wierze w to, co dobre i trwałe, Rose

poczuła się pewniej w otaczającym chaosie. I dał jej do myślenia. Ona ślepo wierzyła tylko w swoje zasady, nie kwestionowała ich przez dwadzieścia lat. Jakim prawem uśmiechała się potakująco, kiedy Joe dawał jej do zrozumienia, że jego świat zdradził go?

Otóż i ona zawiodła się na swoich wartościach. I też nie zważała na znaki ostrzegawcze, że ona i Ben rozchodzili się w różnych kierunkach.

Rozumiała coraz więcej, a w pozyskaniu tej wiedzy pomagała jej nieobecność Bena i własne przebudzanie się.

Czuła, że się otwiera, że rośnie w niej siła, dzięki której poradzi sobie ze wszystkim. Świadomość tego, jakie błędy popełniła, jak bardzo się myliła, że dała przyzwolenie, choć niekoniecznie świadomie, na rozpad własnego małżeństwa, nagle umocniła ją. Mogła stawić temu czoło.

Ale jednej rzeczy nie mogła zapomnieć – sposobu, w jaki Ben ją zostawił. Nieważne, co się stało, a co nie. Nieważne, jakie słowa padły, a co zostało przemilczane. Jego zachowanie było złe.

Kiedy uzmysłowiła sobie, gdzie może skierować swój gniew, poczuła niesamowity przyływ siły. Nagle wiedziała już, co naprawdę chce powiedzieć Benowi. Wszystkie zdania nabrały jasności i klarowności, dotąd zupełnie jej obcych.

Dzieci kończyły szkołę wcześniej z okazji Wielkanocy, miała więc tylko dwie godziny dla siebie. Była z tego zadowolona. Cieszyła się na ich wcześniejszy powrót, na wspólne planowanie zupełnie wyjątkowych świąt.

Rose wyrwała kartkę z firmowego notesu Bonne Bouche i naląła sobie z dzbanka ostatnią filiżankę herbaty.

Jedno po drugim, wypisała dokładnie, co chce powiedzieć Benowi.

Nawet jeśli by nigdy nie wrócił, były rzeczy, które i tak ma do powiedzenia.

*31 marca 1995*

– Rose, wychodzę, mam spotkanie z Barrym Herbertem i Jackiem Morrisseyem.

To tylko połowa prawdy.

– Wrócę późno, nie czekaj z kolacją. Rose pojawia się na szczycie schodów.

Jest taka blada, ciemne worki pod oczyma, ani śladu makijażu. Ben niecierpliwi się, patrząc, jak żona stoi bez słowa.

– Jak późno? – pada krótkie pytanie. Wzrusza ramionami.

– Może dziesiąta, może jedenasta. Nie czekaj na mnie. Rose zastanawia się, ile jeszcze da radę znieść.

Czuje na sobie wzrok Briana i Lisy, którzy nagle pojawili się na scenie.

– Nie będę. Jestem bardzo zmęczona. Kiwa głową z wyraźną ulgą.

– No dobrze. Lecę już.

– Pa, tatusiu – woła Brian.

– Pa, tatusiu – krzyczy Lisa.

– Cześć, dzieciaki, bądźcie grzeczne.

I po raz kolejny Rose patrzy, jak za mężem zamykają się drzwi.

*Środa, 12 kwietnia*

Caroline zebrało się na wymioty po wyznaniu Bena. Dopiero kiedy zaczął mówić, uświadomiła sobie, że za nic w świecie nie chciałaby spędzić reszty życia u jego boku. Siła tego przekonania zadziwiła ją. W szale wybiegła z restauracji. Przywołała taksówkę i podała nazwę hotelu, który zauważyła wcześniej, głównie ze względu na jaskrawe sombrero przy szkaradnym wejściu.

– Hotel Don Pancho, por favor.

Na tym kończył się jej hiszpański. Za niespełna pięć minut była już w recepcji.

Dostała pokój na trzecim piętrze z widokiem na uliczne latarnie. Wnętrze tonęło w ciemnościach, ale jej to nie przeszkadzało i zdecydowała się jedynie podciągnąć zewnętrzne rolety. Usiadła w bujanym fotelu i wdychała zapachy wieczornego, hiszpańskiego powietrza. Kojąca mieszanka mocnego dymu papierosowego, czosnku i wody kolońskiej.

Jeśli Ben naprawdę powiedział Rose, że od niej odchodzi, to Barry też już wiedział.

Nie był głupi. I nigdy jej nie wybaczy. Po raz pierwszy niemal od trzech lat Caroline zdała sobie sprawę, jak bardzo było to dla niej ważne.

W pewnym sensie kochała Bena. Ale nie ze względu na miłość pozwoliła na rozkwit ich związku, po prostu uległa jego pożądaniu i pragnieniu, by czuć się kochaną. Odpowiadając na potrzeby Bena, zaspokajała swoje.

Ale nie kochała go tak bardzo jak Barry'ego. To z Barrym dzieliła życie – co z tego, że czasem sponiewierane i poobijane, liczyło się przede wszystkim to, że było prawdziwe.

A potem pomyślała o dzieciach, Aoife i Eoin. Mając osiemnaście i piętnaście lat, nie potrzebowali stałej opieki matki. Ale dzisiejszego wieczoru uświadomiła sobie, jak bardzo jej samej zależało na rodzinie. Te wszystkie kłamstwa, oszustwa i uniki, ból, jaki sprawiało jej poczucie winy, cisnęły się teraz w jej piersiach.

Chciała wracać do domu. W chwili gdy uzmysłowiła sobie tę myśl, wewnętrzna niemoc zniknęła. Zaczęła płakać. Musi natychmiast wracać do domu.

Miała tylko nadzieję, że nie jest za późno.

*Czwartek, 13 kwietnia, godzina 22.30*

Rose miotła się niespokojnie między kuchnią a dużym pokojem, dotykając przedmiotów, poprawiając poduszki i przekładając papiery. Dzieci spały, a Jane wyszła. Musiała się upewnić, że zwykle, drobne przedmioty wciąż stały na swoim miejscu i nie zaczęły się od niej nagle oddalać.

Ellen z pewnością jeszcze nie spała. Rose zapragnęła porozmawiać z siostrą, która okazała jej ciepło po śmierci Michaela, oferując swą serdeczność zupełnie nagle, niemal szorstko, tak jak dzinsy przed laty.

Zdecydowała się zadzwonić do Ellen. Minęło już trochę czasu od chwili, kiedy wykręcała numer do Londynu. Musiała go sprawdzić, zmienił się kierunkowy.

Ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

– Ellen? Mówi Rose.

– Rose! Tak dawno cię nie słyszałam!

Przyjazny ton siostry zachęcił Rose. Usłyszała jeszcze pstryknięcie zapalniczki i długi, ekstrawagancki syk papierosowego wydechu.

– Co u was?

– W porządku – skłamała Rose, czekając chwilę na odpowiedź Ellen. – A co u ciebie i Richarda?

– Richard jak zwykle wyrwał się na jakiś czas. A ja czekam w domu, jak przystało grzecznej żonie.

Rose miała ochotę odłożyć słuchawkę. Nie chciała wysłuchiwać kolejnej litanii przeciwko Richardowi, a z pewnością nie zamierzała

powiedzieć jej o Benie, już nie.

Musiała kontrolować swój głos.

– Kiedy ma wrócić?

– Na pewno nie w tym miesiącu. Nie chciałam, żeby jechał. Ale wiesz, jacy są faceci. Robią wszystko tak, żeby im pasowało. A jak interesy Bena?

Nigdy dotąd nie zapytała o niego tak bezpośrednio.

– No wiesz. Raz z górki, raz pod górkę. Żyjemy w skomplikowanym świecie. Kiedyś było o wiele prościej.

Taka niewinna uwaga. Wysilek, który podjęła, by złagodzić uszczypliwość, jaką słyszała w głosie siostry. Nie była przygotowana na natychmiastowy atak.

– Ciągłe powtarzasz te bzdury! Zakodowałaś sobie tę romantyczną wizję matki i ojca i jakie to niby było wspaniałe! Wciąż jesteś dzieckiem, Rose.

Rose zreflektowała się, że powtarzają znajome schematy. Postanowiła tym razem nie dać się sprowokować.

– Lekarze powiedzieli jej po twoim porodzie, że nie może mieć więcej dzieci. Cudem uratowali ciebie, zresztą i ona otarła się o śmierć. Ale ojciec nie chciał tego słuchać. Urodziła jeszcze dwa razy i umierała przed trzydziestką! Bardzo romantyczne, co?

Rose opanowało znużenie. Jak to możliwe, że obie zachowały tak bardzo odbiegające od siebie wspomnienia? Tam, gdzie ona upatrywała oddania, Ellen widziała jedynie trud i cierpienie. To, co Rose postrzegała jako przyjaźń i hojność, starsza siostra nazywała samolubstwem i przymusem. Dlaczego ich wspomnienia tak bardzo się różniły?



– Matka powiedziała mi, jak było naprawdę. Ale ty nigdy nie miałaś się dowiedzieć, droga Rose.

Z całą pewnością Rose usłyszała lód obijający się o ścianki kieliszka. Serce jej zamarło.

– Ellen, nie zadzwoniłam, żeby się z tobą kłócić. Czy możemy uznać, że obie wersje naszych wspomnień mają coś wspólnego z prawdą i zostawić to tak? Proszę?

– Słuchaj, ty naprawdę nie wiedziałaś o niczym. Ona zawsze cię chroniła.

Rose zrozumiała, że siostra zapanowała nad gniewem. W jej głosie słychać było tylko sentymentalną nutę. Niespodziewanie zmieniła taktykę.

– Czy dzwonisz z jakichś szczególnych powodów? Wydarzyło się coś nowego na świecie?

– Nie, nic nowego. Po prostu chciałam cię usłyszeć. Dawno już nie rozmawiałyśmy. Przyjedziesz do domu na święta Bożego Narodzenia w tym roku?

– Nie wiem.

Rose znów usłyszała brzęczący lód.

– To zależy – dodała ponuro. Rose postanowiła nie pytać od czego.

– Muszę kończyć, Ellen. Do usłyszenia.

– Tak. Dobranoc. Ucałuj dzieci.

– Dzięki. Dobranoc.

Rose odłożyła słuchawkę. Być może rzeczywiście była chroniona. Być może najstarsze rodzeństwo zawsze miało najtrudniej. Pogrążona w depresji Rose zgasiła światło i przygotowała się do snu.

Będzie bardzo uważać z Damienem.

Chciała, by zachował inne wspomnienia.

*Piątek, 14 kwietnia, godzina 9.30*

W piątkowy wczesny poranek zadzwonił telefon. Rose poczuła ucisk w żołądku, zanim jeszcze podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Rose, tu Barry. Muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę wpaść na chwilę?

Kuchnia zastawiona była miskami i przyprószona mąką. Rose zauważyła kawałki kandyzowanych owoców walające się po podłodze. Nie miało to znaczenia.

– Oczywiście.

– Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Nagle, kiedy podeszła do zlewu, by napęlić czajnik, kuchnia wydała jej się odległa, jakby należała do innej rzeczywistości.

Usiadła i czekała. Przestało ją cisnąć w żołądku. Na szczęście nie musiała czekać długo.

Barry zjawił się dokładnie dwadzieścia minut później.

Kiedy Rose otworzyła drzwi, zaskoczyły ją zmiany w jego wyglądzie. Schudł i zbladł, ale nie tylko to. Roznosiła go energia, którą Rose rozpoznała natychmiast. Gniew.

– Caroline nie wie, że tu jestem. Nie dowie się, chyba że sama zechcesz jej o tym powiedzieć.

Nawet sposób, w jaki się poruszał, uległ zmianie. Zdecydowany, pewnie kierował swe kroki. Rose zamknęła za nim drzwi do kuchni.

– Wróciła wczoraj. Już po romansie. Serce Rose podskoczyło w

nadziei.

– A Ben?

– Wróciła do domu sama.

– Caroline zostawiła Bena?

Przez moment Rose pozwoliła sobie na dziką i zajadłą satysfakcję. Ma nauczkę. Kawa! drania.

– Tak. Nie powiedziała mu nawet, że wyjeżdża. Po prostu wstała i wyjechała.

Rose wyczuła, że chodzi mu o coś więcej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Zawahał się.

– Barry, po ostatnich jedenastu dniach jestem już gotowa na wszystko.

Powiedz.

– To jest jej wersja zdarzeń. Wiemy, że jest druga.

Rose kiwnęła tylko głową, gdyż na moment zabrakło jej słów.

– Caroline twierdzi, że nie powiedziała mi, że ma zamiar mnie zostawić, bo nie miała pojęcia, że sprawy zajdą tak daleko.

Barry wziął kubek kawy, który mu podała. Objął go obiema dłońmi.

– Twierdzi, że zmusiła Bena, by nie podejmowali żadnych decyzji przed upływem tych dwóch tygodni. O tym, że on cię zostawił, dowiedziała się dopiero po tygodniu. Myślę, że była zaszokowana, słysząc o takim ostatecznym kroku. Po prostu spanikowała i uciekła.

– Więc Ben nie wie, gdzie ona teraz jest?

– Nie.

Rose próbowała sobie to wyobrazić. Ben – opuszczony, poparzony od słońca, nieznoszący upału. Zostawiony sam sobie. Oplakujący Caroline. W tym momencie czuła do niego tylko nienawiść. Ucieszyło ją to. W końcu

zostawiła Caroline, tę drugą kobietę, i skierowała gniew tam, gdzie należało – w stronę egoistycznego, głupiego aroganta, jej męża.

– Dziękuję ci za te wiadomości, Barry. Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie. Pytaj śmiało.

– Czy wrócicie do siebie, ty i Caroline?

Potrząsnął głową, raczej w geście niepewności niż całkowitego zaprzeczenia.

– Nie wiem. Caroline zmieniła się. Zniknęła gdzieś cała jej rezerwa. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby reagowała tak emocjonalnie. Ale może to tylko kolejna gra... Mam dość tych sztuczek.

Wychodząc, podał Rose kawałek papieru.

– Masz tu numer lotu. Samolot ląduje o dziewiątej trzydzieści w poniedziałek rano.

Rose skinęła głową w podziękowaniu.

W drzwiach wejściowych odwrócił się do niej.

– Nie mam zwyczaju udzielać rad, Rose, i Bóg jeden wie, że nie jestem ekspertem w tej dziedzinie... ale czy mogę powiedzieć ci coś, czego się właśnie nauczyłem?

Ponownie skinęła głową.

– Proszę!

– Nie bądź zbyt wyrozumiała, kiedy wróci Ben. Nie pozwól, by wykorzystał twoją dobroduszość. Bądź twarda.

– Będę... spokojna głowa.

Przez resztę dnia Rose nie myślała o niczym innym, tylko o tych ostatnich słowach. Jej własne poczucie winy po wyjeździe Bena kazało jej siedzieć cicho i czekać cierpliwie na jego powrót. A potem wysłuchać go

na tyle wielkodusznie, na ile będzie ją stać. Przynajmniej na początku. Ale gniew Barry'ego zmusił ją, by zobaczyła jeszcze inne rozwiązanie, takie postępowanie, dzięki któremu jej rany i upokorzenie znalazłyby rację bytu. Jeśli ona sama przed sobą nie potrafiła zdecydować się na konkretny sposób postępowania, to wiadomo, że Ben wykorzysta tę niepewność i wypełni brakujące elementy subtelnymi insynuacjami, że tak naprawdę to ona całkowicie i jedynie ponosi odpowiedzialność za zaistniałą sytuację.

Myślała, że już wie, jak z nim postąpi.

A jeśli on w ogóle nie miał zamiaru się z nią spotkać? Równie dobrze mógł ją zostawić na dobre. Może zniknął na zawsze, bez słowa wyjaśnienia. Szczerze ufała, że tak nie postąpi.

Chciała się z nim zobaczyć. Musiała powiedzieć mu, jak się czuła.

Tym razem zaczeka na niego.

Ale tylko ten jeden raz.

*Poniedziałek, 3 kwietnia, godzina 8.00*

Ben wścieka się, widząc, że w kuchni nie ma dzieci. Rose wysłała je na górę, by umyły zęby. Będzie musiał teraz coś powiedzieć.

– Rose, musimy porozmawiać.

Denerwuje się brakiem odpowiedzi. Rose jest niemal bezwładna. Czy według niej nie warto nawet o niego zawalczyć? Stać ją jedynie na wycieranie rozlanej wody wokół garnka.

Słyszy, jak żona mówi:

– To już koniec, prawda?

Nie może się powstrzymać. Jego gniew, zniecierpliwienie i jej bierność sprzysięgły się przeciw niemu.

– Myślę, że tak – słyszy siebie. – Już cię nie Kocham. Stało się. Czuje się winny, że złamał obietnicę złożoną Caroline, jest wściekły, że Rose go sprowokowała.

Gwałtownie pcha tylne drzwi, pozwalając, by zatrzasnęły się za nim z hukiem. Wokół panuje dziwna cisza.

Podchodzi do swojego świeżo wyczyszczonego bmw i otwiera centralny zamek.

Płynna praca samochodu zadowala go; jego szybki zryw jest satysfakcjonującą odpowiedzią po reakcji Rose. Decyduje się nie włączać wiadomości. Bardziej kojąca będzie muzyka klasyczna.

Wybiera symfonię *Z Nowego Świata* Dworzaka, zadowolony z odpowiedniego na ten właśnie moment tytułu. Kieruje swoje srebrne bmw w warczący tłum porannego ruchu. Czekając, aż ktoś ustąpi mu miejsca,

kilka razy spogląda we wsteczne lusterko. Często wyobrażał sobie tę scenę. Rose biegnąca nieprzytomnie w kierunku samochodu, rozwiane włosy, Lisa w jej ramionach. Nie, Lisa jest już za duża, by ją nosić.

Rose i dzieci stojące w oknach, blade, nic nierozumiejące.

Rose w swoim oknie tonie we łzach.

Zamyślony nie zauważa, że ktoś uprzejmie zrobił mu miejsce, a mijający go motocyklista trąbi zniecierpliwiony. Ben znów koncentruje się na drodze. Po raz ostatni, zanim naciśnie na hamulce, patrzy w lusterko.

Nic.

Żadnej hysterii. Powinien odczuwać ulgę, ale tak naprawdę bierność Rose w każdej sytuacji rozwściecza go. Nie jest mu łatwo zostawiać ich w ten sposób, ale potrzebuje wolności, czasu z Caroline. Kiedy kieruje się na lotnisko, ogarnia go radość prawdziwej wolności. Cisza, spokój i napięcie rozluźniające się tak jak ruch na drodze. Od ponad dwóch lat marzył o tej ucieczce, wyobrażał ją sobie od momentu, w którym naprawdę dostrzegł Caroline. Myśli o kochance wywołują dreszcze. To dla niego wciąż nowe doznanie, nawet po tych ponad dwóch latach. Nigdy wcześniej nie czuł się podobnie w stosunku do Rose. Cieszy się, że teraz przeżywa takie emocje.

Już niedługo spotka się z ukochaną. Razem spędzą czas i wspólnie podejmą decyzję.

Pozostawienie Rose jest jak pozostawienie za sobą szaleństwa. To Caroline jest prawdziwa, kobieta z krwi i kości, to ona jest jego nowym rozsądkiem. Choć odkąd zostali kochankami, Ben przestał dobrze sypiać, w ogóle nie odczuwa zmęczenia. Budzi się, myśląc o Caroline, kładzie się przepelniony nią.

Ben sygnalizuje skręt w lewo, kiedy zjeżdża z ronda i rusza w stronę



lotniska. Jest kilka godzin przed czasem południowego odlotu. Chce być wcześniej, musi na nią czekać. Wjeżdża na parking długiego postoju, przeklinając pod nosem, bo nie może dosięgnąć maszyny wydającej bilety. Otwiera drzwi samochodu i usilnie stara się złapać bilet bez odpinania pasów. Młody mężczyzna w skórzanej kurtce i dżinsach, obejmujący dziewczynę, przygląda się Benowi z rozbawieniem i szepcze coś do ucha kobiety. Ta wybucha śmiechem, całuje jego policzek, ich okulary przeciwsłoneczne ocierają się o siebie.

Bena nagle ogarnia złość, gdy uświadamia sobie, że w garniturze i krawacie wygląda groteskowo, więc czuje się nieswojo. Odjeżdża. W lusterku widzi, jak para obserwuje elegancki i szybki odjazd srebrnego bmw. Młody mężczyzna wzrusza ramionami, a kobieta dalej się śmieje.

Nagle złość ustępuje łagodności. Ben perfekcyjnie parkuje tyłem samochód. Jeszcze raz sprawdza, czy wewnątrz jest wciąż nieskazitelne. Wyjmuje walizkę z bagażnika, wrzuca do niego krawat, a na ramiona narzuca kremowy, kaszmirowy sweter.

Alarm włącza się posłusznie.

Ben wkłada kluczyki do kieszeni i maszeruje w stronę terminalu. A potem siada i czeka.

Rose zastygła w bezruchu.

Boisko szkolne pustoszeje, matki pchające wózki pośpiesznie się oddalają. Pozdrawiają się nawzajem, machają do siebie, uśmiechają się.

Obserwuje, jak mężczyzna w garniturze pędzi przez szkolny dziedziniec, trzymając za rękę małego chłopca. Pochyla się, przyciąga ku sobie jego twarzyczkę. Przytulają się. Mężczyzna czeka, aż dziecko dosięgnie drzwi. Machają do siebie.

Wszystko jest takie zwyczajne.

Rose ponownie próbuje przekręcić kluczyk w stacyjce. Jej ręce zmieniły się chyba w wodę. Udaje się jej za trzecim razem. Ryk silnika z jakichś powodów jest kojący.

Bardzo ostrożnie zjeżdża z krawężnika i jedzie dalej wolno. Stopy na pedałach zdają się należeć do kogoś innego. Rose wie, że musi uważać. Poranny ruch jest niebezpieczny, nawet w zwykłe dni.

Chce już być w domu. Bezpieczna, otoczona swoimi czterema ścianami.

## **Część trzecia**

*Poniedziałek, 17 kwietnia, godzina 5.30*

Dwa tygodnie. Minęło czternaście dni. Rose budzi się z tą myślą dokładnie o piątej trzydzieści w wielkanocny poniedziałek. W końcu nadszedł ten dzień. Wstała natychmiast. Samolot Bena miał przylecieć o wpół do dziesiątej.

Telefon zadzwonił dokładnie o dziesiątej trzydzieści.

Rose podniosła słuchawkę. Była gotowa.

– Halo?

– Rose? Tu Ben.

Pozwoliła, by zapanowała długa cisza. Bezbłędnie oszacowała jej długość. Ben zdążył się zdenerwować, zanim znów zaczął mówić.

– Rose, chciałbym się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać. Zaraz, gdzie to już słyszała?

– Naprawdę? Myślałam, że wszystko, co miałeś mi do oznajmienia, powiedziałeś w dniu, w którym odszedłeś. Wtedy nie chciałeś mnie słuchać.

Przerwała na moment, nie chcąc zatrzaskiwać mu drzwi przed nosem. Zostawi uchyloną szparkę.

– Przyznaję. Naprawdę chcę się spotkać, żeby wytłumaczyć. Nadal nie wiem, jak się czuję, Rose, nie wiem, co będzie dalej, ale wiem jedno, że muszę się z tobą zobaczyć.

Rose poczuła, jak po drugiej stronie słuchawki już gromadzi się siła. Wychodził z założenia, że wszystko zależy jedynie od niego, od jego uczuć, potrzeb. To rozniewało Rose do głębi.

– Nie wiem, czy chcę się z tobą teraz spotkać, Ben. Potrzebuję czasu do namysłu. Nie miałam pojęcia, że będziesz dzisiaj dzwonił. Może odezwij się do mnie w środę albo czwartek, zaplanowałam dla dzieci mnóstwo atrakcji na świąteczną przerwę.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat dopuściła się tak rażącego kłamstwa. Dobrze się z tym poczuła. Nawet przez linię telefoniczną mogła posmakować jego zaskoczenia.

– Z dziećmi też bardzo chciałbym się zobaczyć, Rose. Zawahała się. Przysięgła sobie, że nigdy nie będzie używać dzieci jako argumentu.

– One też się za tobą stęskniły. Zmodyfikuję trochę nasze plany. – Nie miała zamiaru ustępować za bardzo. – Może zadzwoń do mnie jutro po południu, około czwartej.

– Dobrze. Jeśli zechcesz się ze mną skontaktować, to jestem u mamy.

U mamy. Rose nie dowierzała własnym uszom. Gardziła nim ze wszystkich sił.

– Nie będę dzwonić do twojej matki. Oczekuję twojego telefonu jutro o szesnastej. Do widzenia, Ben.

Długo siedziała przy kuchennym stole. Teraz, kiedy okres oczekiwania upłynął, poczuła, ile wysiłku włożyła w to, by go przetrwać. Była wykończona. Tyle przeróżnych uczuć kłębiło się dookoła.

Łóżko. Położy się. Czowała pustkę i własną kruchość. Fakt, że matka Bena została wciągnięta w ich problemy, uznała za upokarzający.

Rose dobrze wiedziała, że Ben nie miał żadnych przyjaciół, nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Ale uciekać do matki? Ten człowiek nigdy nie dorósł, wciąż był małym chłopcem, zagarniającym dla siebie wszystko, co możliwe, a jeśli nie mógł dostać tego, co chciał, to z płaczem biegł do

domu. Przynajmniej musiał dorosnąć do ostatnich dwóch tygodni, tych samych, które i dla niej okazały się lekcją dorosłego życia.

Była rozczarowana. Spodziewała się czegoś więcej.

Do diabła z łóżkiem.

Wyjęła z szuflady swój niebieski zeszyt wydatków i zaplanowała listę zakupów oraz wypieków na nadchodzący tydzień.

Skupiła na tym całą swoją uwagę i kiedy znów spojrzała na zegarek, była już trzynasta. Czas na lunch.

W jej życiu pojawił się nowy rytuał. Wyjęła jedną z pozostałych butelek dobrego wina Bena, zawinęła ją w brązową papierową torbę i ruszyła drogą w dół, do Jane.

*Wtorek, 18 kwietnia, godzina 16.00*

Następnego popołudnia Rose zapowiedziała dzieciom, by nie podnosiły słuchawki, gdyż czeka na ważny telefon. Lisa kiwnęła głową, nie odrywając oczu od telewizora. Brian nic nie powiedział, spojrzał tylko na nią bez wyrazu. Wciąż czuła na sobie jego wzrok, kiedy się odwróciła, by wyjść z pokoju.

Damien podążył za nią do kuchni i powiedziała mu o powrocie ojca.

– Co u niego?

– Nie wiem. Chce się z wami spotkać. Damien stukał nogą o podłogę.

– Wraca do domu?

Takie zwyczajne pytanie. Oczy wbił w podłogę, a włosy opadły mu na wciąż delikatne policzki. Rose pomyślała, że za chwilę pęknie jej serce. Łzy, czające się od wczorajszego telefonu, dosłownie wytrysnęły jej z oczu.

Damien natychmiast na nią spojrzał.

– Już dobrze, Ma. Naprawdę, wszystko jest OK. Kiwnęła głową, mocno przygryzając dolną wargę.

– Damien, chcę, abyś dał mu szansę, dał nam wszystkim szansę, by jakoś to naprawić.

Skinął głową.

– To chyba nie oznacza, że muszę przyciąć włosy, zanim się z nim zobaczę, co?

Rose zaśmiała się.

– Nie, włosy mogą zostać. Tylko przełoż na później kampanię o

kolczyki.

W tym właśnie momencie zadzwonił telefon. Minutę po szesnastej.

– Słucham?

Rose odebrała telefon w pełni świadoma, że oboje z Benem prowadzą gry przypominające zalotne podchody, w których nikt nie chciał pokazać, że mu zależy.

– Tak, Ben, jutro rano nam pasuje. Jedenasta, nastawię czajnik. Do kuchni weszli Brian i Lisa, patrząc na nią niepewnie.

– Czy tata wraca do domu? – zapytał Brian.

Rose spojrzała na jego bladą twarz. Od kilku dni nie był w najlepszym humorze.

– Przychodzi tu jutro, żeby się z nami wszystkimi spotkać. Naprawdę nie może się doczekać, by was zobaczyć, więc pamiętajcie być w domu przed jedenastą, gdybyście wcześniej gdzieś się wybrali.

– W taką pogodę?

Rose spojrzała na oberwanie chmury za oknem.

– Może do jutra przejdzie. A jeśli nie, to możemy zaprosić do nas Kate i Alison.

Byleby zachować rutynę. Rose znów poczuła się zmęczona.

Przez cały dzień była na nogach, piekąc, sprzątając i robiąc tysiąc innych rzeczy. Myśli wirowały jej w głowie. Jakby brała udział w wyścigu, w którym nagrodą był sen.

– Co na kolację? Rozdanie nagród wstrzymane.

– Kurczak curry już gotowy, więc niech nikt nie wychodzi z kuchni. Po kolacji bardzo proszę dokończyć swoje prace i chcę was widzieć wcześniej w piżamach.



Podniosła ręce, by stłumić protesty.

– Możecie oglądać film do dziewiątej, jak obiecałam. A potem do łóżka. Padam ze zmęczenia. I żadnych kłótni, bo zacznę gryźć. Na blacie czekają na was trzy duże miski popcornu na potem... Damien, wychodzisz?

Potrząsnął głową z ustami pełnymi kurczaka.

– A ktoś przychodzi? Znów energicznie zaprzeczył.

– Dobrze, a więc wszystko postanowione. Spokojna noc w rezydencji państwa Holdenów.

Najbardziej w świecie potrzebowała spokoju dla siebie. Kiedy zmyła resztki ryżu z talerza Damiena, ogarnęło ją przerażenie.

Bez względu na to, co się stanie, jutrzejszy dzień będzie najważniejszy w jej życiu.

*Środa, 19 kwietnia, godzina 6.00*

Damien przyczłapał cicho do kuchni. Rose siedziała przy stole w szlafroku, przed sobą trzymała otwarty zeszyt. Kawałek zjedzonego do połowy chleba i kubek odsunęła na bok. Spojrzała gwałtownie na drzwi, kiedy te zaskrzypiały.

– Wracaj do łóżka, Damien, dopiero szósta rano.

Rose była zajęta, jej ton nie był zbyt ciepły. Nagle uśmiechnęła się.

– Nic mi nie jest. Wstawanie o świcie to moje nowe przyzwyczajenie. Pewnie za godzinę czy dwie zachce mi się spać i wtedy wrócę do łóżka. Obudzisz mnie o dziesiątej?

Damien zgodził się z zapalem.

– Nie ma problemu.

Naprawdę nie chciało mu się jeszcze wstawać, a z mamą wszystko było w porządku. Nastawi sobie budzik za pięć dziesiąta i obudzi ją. Ucieszyło go, że ma coś do zrobienia.

Rose patrzyła, jak odchodził. Jak bardzo ma go odsunąć, a na ile pozwolić mu przejąć część odpowiedzialnych obowiązków? A tak naprawdę, czy miała na to jakikolwiek wpływ? Przez ostatnie dwa tygodnie syn bardzo dojrzał, nie tylko fizycznie.

Odkąd wrócił Ben, Rose z uwagą obserwowała dzieci. Lisa wciąż jeszcze była małą dziewczynką, najzwyczajniej w świecie nieprzejmującą się całym tym zamieszaniem wokół niej. Z Damienem mogła codziennie porozmawiać, ale z przerażeniem myślała o potencjalnym konflikcie między nim a ojcem.

Najbardziej martwił ją Brian. Stał się bardzo niespokojnym, gwałtownym dzieckiem. Jego dziwne zachowanie irytowało resztę rodzeństwa. Nie potrafił usiedzieć spokojnie w jednym miejscu, na sofie wечно się wiercił, a w nocy rzucał w łóżku. Rose kilka razy poprawiała kołdrę, a chłopca kładła z powrotem bliżej środka łóżka. Nie była psychologiem, ale rozumiała, że dojrzewanie i strata uwielbianego ojca odcisnęły swoje piętno. Ona i Ben będą musieli szybko się dogadać, dla dobra dziecka.

Wróciła do notesu. Potrzebowała ucieczki od wirujących myśli, które towarzyszyły jej od czwartej nad ranem.

Dochodziła siódma. Etap czekania ma prawie za sobą. Jej oczy zaczęły się zamykać. Wdrapała się po cichu na górę, postanawiając zignorować odgłosy szamotaniny dochodzące z pokoju Damiena.

Z wdzięcznością wślizgnęła się pod kołdrę i natychmiast zasnęła.

Rose wstała natychmiast, gdy tylko Damien ją obudził. Zdziwił i jednocześnie ucieszył ją wygląd syna. Włożył ciemne bawełniane spodnie i białą koszulę, zarezerwowaną raczej na poważne okazje. Rozczesał dokładnie długie włosy i porządnie związał je w kitkę. Wyczyścił paznokcie i wypastował buty. Dla niej przekaz był oczywisty: „Zycie się nie zawaliło, kiedy nie było ciebie z nami, ojciec. Rose jest dobrą matką, a my jesteśmy odpowiedzialnymi i kochającymi dziećmi. Dbaliśmy o siebie najlepiej jak potrafiliśmy”.

Powiedziała mu tylko:

– Wyglądasz naprawdę dobrze. Świetnie ci w takiej fryzurze.

Kiedy przechodziła obok jego pokoju, dostrzegła przez uchylone drzwi, że wysprzątał go starannie. Pokój po prostu błyszczał. Żadnych rzeczy na

podłodze, łóżko zasłane, zasłony porządnie odsunięte. Rozpierała ją duma. To był głos pewności siebie, który starczy dla nich wszystkich.

Przy śniadaniu Brian udawał, że nic go nie obchodzi. Udało mu się przewrócić karton mleka i nadepnąć Lisie na palec. Ta krzyknęła tak przeraźliwie, że Rose oparzyła sobie rękę wrzątkiem z czajnika i musiała się powstrzymać od złajania ich obojga. Jedli w kompletnej ciszy. Rose pomyślała, że to niedorzeczne. Odezwała się głośno:

– To będzie trudny dzień dla nas wszystkich, tym bardziej jeśli nie będziemy mówić sobie, co myślimy. Wasz tata niedługo tu będzie, a my musimy znaleźć sposób, by z sobą rozmawiać.

– Przerwała na chwilę, zastanawiając się, co ma robić dalej.

– Kiedy tu przyjdzie i już się z nim przywitacie, chciałabym porozmawiać z nim w kuchni około godziny, tylko we dwoje.

Brian spojrział na nią pełen nienawiści.

– Czy my możemy się do niego odzywać? O Boże, pomyślała Rose. Zaczyna się.

– Oczywiście, że możecie z nim rozmawiać. Czy chcesz, żebyście wy najpierw mieli czas dla siebie?

Przyparty do muru wycofał się.

– Nie, nie mam mu nic do powiedzenia.

O nie, właśnie, że masz, pomyślała Rose. I mam nadzieję, że możesz mu to powiedzieć, a nie wyzywać się na mnie.

– Będziecie mieli mnóstwo czasu w następnych tygodniach. Ale najpierw my musimy z tatą sobie coś wyjaśnić.

Wszystko brzmiało prosto i zwyczajnie, trzymała się faktów. Wychodziła z założenia, że każdy problem miał swoje rozwiązanie.

Prawnik David O'Brien był niezwykle stanowczy i logiczny. Według niego separacja była procesem i jeśli Rose decydowała się zostać jego klientką, oznaczało to akceptację pewnych zasad. Uważał, że zasługiwała na uczciwe traktowanie. Tyle że nie pomogło jej to uporać się z zaburzoną małżeńską harmonią. Trudno było uznać kawał życia za proces z określonym początkiem, środkiem i zakończeniem. W końcu przeżyli ze sobą dwadzieścia lat, podczas których dorastała, dojrzewała emocjonalnie i urodziła trójkę dzieci. Przez cały ten czas poznała tuzin różnych Benów, tuzin różnych Rose. Na zmianę byli dla siebie serdeczni, kochający, zabawni, delikatni, hojni, wściekli, egoistyczni, leniwi, smutni i okrutni.

Teraz musiała się skoncentrować na Benie, którego jeszcze nie знаła – Ben niewierny, Ben zdrajca, Ben uciekinier. Jak mogła dyskutować, negocjować, ustalać kompromisy i licytować się z mężczyzną, którego nigdy dotąd nie poznała?

Dochodziła jedenasta. Oczywiście nie przestało padać. Młodsze dzieci poszły oglądać telewizję, Lisa utykając w dramatyczny sposób, a Brian milczący. Damien zamknął się w swoim pokoju.

Punktualnie o jedenastej srebrne bmw wślizgnęło się na podjazd. Rose musiała zdusić w sobie śmiech, kiedy przypomniał się jej parking na lotnisku. Zostawił samochód dokładnie tam, gdzie miał w zwyczaju, a potem poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

Rose nie wiedziała, czy zadzwonił, by ich ostrzec, jednocześnie próbując przekręcić klucz w zamku, czy nacisnął guzik, kiedy odkrył, że jego klucze nie pasują. Tak czy siak w drugim dzwonku słyhać było wyraźną irytację.

Odczekała tak długo, jak tylko mogła, i otworzyła drzwi. Z

przyjemnością dostrzegła zdziwienie w jego oczach na widok jej szczuplejszej sylwetki w dżinsach i w prostej, jedwabnej bluzce, w którą od lat nie mogła się zmieścić. Wątpiła, czy w ogóle pamiętał, że taką miała. Wybrała ją z premedytacją. Tkanina i kolor Caroline. Brzoskwiniowy jedwab. Przyjemnie było coś takiego na siebie włożyć.

– Cześć, Ben.

Stała w drzwiach troszeczkę dłużej, niż to było konieczne. Cofnęła się wolno, a każdy jej gest przypominał: moje terytorium, moja przestrzeń, na którą – przynajmniej na razie – wpuszczam cię niechętnie.

To przywitanie zbiło go z tropu. Nowe zamki, odmieniona żona, zakłócony spokój domu sprawiły, że czuł się niepewnie. Ta konsternacja trwała zaledwie kilka sekund, ale wiedział już, i Rose też zdawała sobie z tego sprawę, że to ona była panią sytuacji.

– Witaj, Rose, dobrze wyglądasz.

Przyjęła komplement z powściągliwym uśmiechem. Przemilczana odpowiedź wyraziła dokładnie to, o czym oboje wiedzieli. Nie mogła odwzajemnić komplementu, bo mąż wyglądał okropnie. Jego jasna karnacja nie tolerowała słońca w nadmiarze – czerwone platy poparzonej skóry były nauczka za głupotę. Czoło i czaszka świeciły się. Włosów zdecydowanie ubyło.

A mimo to Rose pomyślała, że i tak byłaby zdolna znowu go kochać i te fizyczne zmiany nie miałyby większego znaczenia. Choć w tej chwili cieszyła się, że wyglądał bardzo nieatrakcyjnie.

Doskonale pamiętała wakacyjne wypady, kiedy dzieci były małe. Wtedy nie było jeszcze kremów z filtrami. Musiała bardzo uważać na maluchy, dbała, by były przykryte, bawiły się pod parasolami

słonecznymi, zmuszała je do noszenia słomkowych kapeluszy z szerokimi rondami. Włosy jeżyły jej się na głowie, kiedy przypominała sobie wypadki z własnego dzieciństwa. Poparzona skóra na nogach i ramionach napinała się, pokrywała pęcherzami, pękała, a w końcu schodziła. I tak było każdego lata. Co roku w pierwszych dniach wspólnych wakacji błagała Bena, żeby uważał i dawkował sobie słońce w małych porcjach. Zawsze dostawała tę samą odpowiedź. Rozdrażniony, zniecierpliwiony rzucał tylko: „Daj spokój, Rose, nic mi nie będzie”.

Ale ona nie przestawała się martwić, a on cierpiał z powodu poparzeń słonecznych. Zazwyczaj pierwszy tydzień spędzał w łóżku, w ciemnościach, w stanie niemal agonalnym, podczas gdy ona uciszała dzieci i zabierała je z apartamentu tak często, jak tylko się dało. W kolejnym tygodniu uczył się rozsądnego zachowania na słońcu, a Rose przekonywała się po raz setny, że nie warto było oczekiwać przyznania jej racji albo przeprosin za żalosny pierwszy tydzień ich wakacji.

„Nic mi nie będzie” – brzmiało jak mantra. I tak naprawdę sposób, w jaki wypowiadał te słowa, nie miał znaczenia, gdyż zawsze świadczyły one o bezwzględnie egoistycznym nastawieniu do świata.

Wszystkie te myśli przebiegły jej po głowie z niewiarygodną szybkością, kiedy przyglądała się, jak mąż wita się z dziećmi.

– Tatuś!

Lisa przybiegła z wyciągniętymi ramionami, a Ben uniósł ją wysoko.

– Hej, księżniczko!

Wyjął sporą paczkę ze skórzanej torby.

Był beznadziejny w wyborze prezentów. Czy te wybrała Caroline, zanim zdążyła się ulotnić, a może to matka Bena...

Przestań! Rose upomniała się ostro. Czuła, jak każda myśl pojawiająca się w jej głowie przesiąknięta była goryczą. Nie dawała mu szansy.

Brian sztywno wyciągnął rękę do ojca. Ben wydawał się zaskoczony tym chłodnym gestem, potrząsnął nią ostrożnie, nie próbując zmniejszyć fizycznego dystansu narzuconego przez syna. Dziecko wymamrotało słowa podziękowania za prezent i ruszyło w stronę kuchni, po drodze uderzając się boleśnie w łokieć o drzwi. Serce Rose pękało, kiedy obserwowała syna.

Jak na zawołanie pojawił się Damien, właśnie kiedy Rose zaczęła ogarniać panika.

– Cześć, tato – przywitał się swobodnie, podając Benowi rękę.

Rose widziała, jak Ben rejestrował każdy detal w wyglądzie najstarszego syna.

– Cześć, Damien. – W przywitaniu od razu wyraził dezaprobatę z powodu kitki.

Z ogromnym zdziwieniem zauważyła, że Damien przewyższał wzrostem ojca. Nie mógł przecież tak urosnąć przez ostatnie dwa tygodnie. Czy to kolejna rzecz, którą wcześniej przeoczyła?

– Pomyślałem, że będziesz wolał to – powiedział, wręczając Damienowi kopertę.

Damien przyjął ją z gracją, ruchy miał pewne, świadczące o tym, że znał swoje miejsce i status.

Rose poczuła wewnętrzną siłę, widząc wyzywające zachowanie syna. Nie, przestań, Damien, proszę cię, błagała go w myślach. On pomyśli, że nastawiłam was wszystkich przeciwko niemu. Teraz to Damien zachowywał się jak mężczyzna, a Ben jak chłopiec szukający jego



aprobaty. Niemal czuła niepokój i niepewność męża. Po raz pierwszy w życiu, odkąd go znała, Ben Holden nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– Do zobaczenia później, Ma.

To zdanie tylko przypieczętowało wyjątkową więź między matką a synem, którą Ben musiał czuć od momentu niemal aroganckiego wejścia Damiena.

– Napijesz się kawy?

Rose podeszła do czajnika.

– Tak, ale małą filiżankę. Jestem umówiony.

Rose ucieszyła się, że stoi do niego tyłem. Miała ochotę rzucić w niego czajnikiem i krzyknąć: „Ty łajdaku! Uciekasz z domu na dwa tygodnie bez słowa, wypłakujesz się na ramieniu swojej mamusi, a teraz nie masz nawet czasu, by stanąć twarzą w twarz z własną żoną!”.

Zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej było stracić panowania nad sobą. Wykorzystałby to jako pretekst do zdenerwowania się, poczucia, że został obrażony. A ona zaprzepaściłaby wiarę, że panuje nad sytuacją. Już czuła, jak powoli traci grunt pod nogami. Zmusiła się do głębokiego oddechu, kiedy nastawiała czajnik.

Wróciła do stołu, stanęła obok niego, ręce oparła o tył krzesła, podczas gdy on usiadł.

– Myślę, że to, co mamy sobie do powiedzenia, jest o niebo ważniejsze niż jakiegokolwiek inne spotkanie. Zmieniłam plany, by być do twojej dyspozycji przez cały dzień. Powtórzyłeś kilka razy, że musimy porozmawiać. A więc porozmawiajmy.

Walka, jaką toczyli między sobą, miała niemal fizyczny wymiar. Nikt się nie odezwał. Ben tylko popatrzył na nią, a ona spokojnie odwzajemniła

jego spojrzenie. Pomyślała, że gdyby powietrze między nimi mogło być widoczne, dzieliłaby ich ciężka, purpurowa masa. W jego oczach odczytała niedowierzanie, że miała do zrobienia cokolwiek innego, ważniejszego niż czekanie na niego.

– Kiedy powiedziałem, że musimy porozmawiać, nie chodziło mi o spotkanie tutaj. Chciałem się zobaczyć z tobą i dziećmi dzisiejszego ranka, ale uważam, że powinniśmy się umówić gdzieś... na bardziej neutralnym gruncie, by porozmawiać o przyszłości.

– A co z przeszłością? A mówiąc dokładniej: z ostatnimi tygodniami?

Utrzymała miękki i kontrolowany głos, ale gniew, gromadzący się niczym lawa, zaczynał dudnić złowrogo. Ben zjeżył się.

– Oczywiście, musimy porozmawiać o wszystkim, ale to zajmie trochę czasu. Potrzebuję dużo przestrzeni, by zdecydować się, czy... co zamierzam zrobić. Tymczasem ten dom nie jest odpowiednim miejscem na spotkania.

Nigdy nie doszła do tego, co zdenerwowało ją najbardziej: czy ta pruderyjna poza, czy maniera konferencyjno-biznesowa, a może ohydnie poparzone czoło lub założenie, że wszystko zależy od jego decyzji. Jedyne, czego była całkowicie świadoma, to że czerwona masa powietrza zgęstniała niebezpiecznie i że jeszcze nigdy w życiu nic tak bardzo nie wyprowadziło jej z równowagi.

Wrzątek, ostre nożyczki, noże do siekania mięsa. Ostrożnie się podniosła.

– Wynoś się, Ben!

Jego twarz, pomimo purpurowego czoła, zbladła jak ściana.

– Wynoś się, ale już!

Zaczynał wrzeć, jeszcze nie z wściekłości, ale z kompletnego zaskoczenia, że to nie on tu rządzi.

– Uspokój się, Rose. To jest też mój dom.

– Może to i twój dom, ale moja rodzina. A teraz wypierdalaj stąd!

Nie znosił przeklinających kobiet, dobrze o tym wiedziała. I właśnie wtedy uświadomiła sobie z zaskakującą wprost jasnością, że nie chce, by Ben kiedykolwiek do niej wrócił.

Ben też się rozgniewał.

– Gdzie twoja godność, kobieto?!

– Powiem ci gdzie! Powiem ci! Moja godność leży gdzieś na plaży w Maladze. Moja godność została zdeptana przez głupiego, aroganckiego egoistę, który nawet nie pomyślał, by powiadomić swoją rodzinę, że żyje. Na moją godność nasrał człowiek, który po dwudziestu latach nie miał odwagi, by powiedzieć prawdę! Masz moją godność! A teraz wypierdalaj stąd!

Po raz pierwszy od dwudziestu lat to do Rose należało ostatnie słowo.

Ben wyszedł, trzaskając drzwiami.

Miał rację, to nie było dobre miejsce, by rozmawiać o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Będą musieli znaleźć neutralne terytorium.

Ochłonęła bardzo szybko i poczuła się oczyszczona.

Jutro skontaktuje się z Davidem O'Brienem, by przedyskutować, co robić dalej.

A teraz czekali na nią Damien, Brian i Lisa.

Poświęciła uwagę każdemu z osobna. Lisa domagała się czułości.

– Za kogo on mnie ma? Bachora? Ani słowa przez prawie trzy tygodnie, a potem co dostaję... parszywego dziesiątaka! – Damien nie krył

oburzenia.

Rose słuchała bez komentarza. Brian grał na komputerze.

– Mam to gdzieś, jeśli już nigdy nie wróci. Otwarta paczka leżała na łóżku, zignorowana.

Pozwoliła im wszystkim zająć się swoimi sprawami przez resztę popołudnia, zbyt zmęczona, by udawać, że są szczęśliwą rodziną.

Zdjęła folię z ciasta na chleb i zaczęła je brutalnie ugniatać. Gdzieś między okładaniem go pięściami, rozciąganiem a wałkowaniem Rose doszła do jednego wniosku – przez chwilę miała absolutną pewność, że nie chce, by Ben kiedykolwiek do niej wrócił.

– Uspokój się, Rose – powiedział. – To jest też mój dom. Spokojna to była przez ostatnie dwadzieścia lat. Teraz nadszedł czas, by wyrazić swój gniew.

*Piątek, 28 kwietnia, godzina 16.30*

Kończyły się pieniądze. Musiała zapłacić za prąd i gaz. Ben dobrze o tym wiedział. Rose rozważała możliwość napisania do niego na adres matki; nie chciała rozmawiać z nim przez telefon. Utrzyma list w rozsądnym i spokojnym tonie i zasugeruje mu, by wybrał neutralne miejsce, gdzie mogliby porozmawiać. Zdecydowała się na pojednawczy gest. Powie mu, że miał rację – dom nie był odpowiednim miejscem na spotkanie.

Pieniądze z Bonne Bouche ledwo starczały na zapłacenie rachunków. Rose budziła się teraz o czwartej nad ranem, wykończona i spanikowana. Jak dadzą sobie radę? Jeśli Ben im nie pomoże...

W pewnym sensie jego powrót był gorszy niż odejście. Nauczyła się już radzić sobie z bólem i uczuciem poniżenia, żyć w poczuciu winy i ogarnięta wątpliwościami. Ale teraz było inaczej. Złapana w pułapkę rozgrywała grę, której zasad nie знаła. Jej małżeństwo istniało na zasadzie – finansowe wsparcie albo walka o przetrwanie, a do stracenia miała jedynie własną godność.

Późnym popołudniem usiadła, by do niego napisać. Nie była w stanie sformułować nawet pierwszego zdania. Po raz pierwszy odkąd ją zostawił, Rose przepełnił ogromny smutek. Nie żal i ból, przesywający na początku, nie złość i zrezygnowanie, które przyszło potem, ale szczere uczucie smutku.

Dwadzieścia lat wspólnego życia, trójka dzieci z mężczyzną, którego kochała, a teraz nie potrafiła znaleźć najprostszych słów, by do niego

dotrzeć. Łkała cicho, łzy bez żadnego zahamowania płynęły z jej oczu, zmywając ostatnie, słabe już nadzieje na pojednanie.

Zadzwonił telefon. Rose wytarła oczy wierzchem dłoni, rozmazując czarny tusz na całej twarzy.

To była krótka, brutalna rozmowa.

Trzęsącymi się rękoma Rose odłożyła słuchawkę, by zaraz zadzwonić do Bena, którego pomocy gwałtownie teraz potrzebowała.

Odebrała pani Holden i Rose postarała się mówić jak najbardziej naturalnie. Ku jej zdziwieniu głos teściowej był pełen ciepła.

– Oczywiście, Rose, kochana, już go wołam. Zignorowała zimne i formalne przywitanie męża.

– Ben, musimy natychmiast się spotkać. Brian został złapany na kradzieży w sklepie.

Od razu zmienił ton.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Musimy szybko jechać na posterunek przy Pearse Street.

– Czekaj na mnie. Zaraz po ciebie przyjadę.

Rose chwyciła kurtkę i torebkę. Zadzwoniła do Jane, by ją poprosić o opiekę nad Lisa do wieczora. Damien sam o siebie zadba.

Pobiegła na podjazd, by tam czekać na Bena. Wciąż się trzęsła. Boże, miała rację, kiedy martwiła się o Briana. Kradzież gier komputerowych ze sklepu Virgin. Może, może jeśli Ben chciałby wrócić, mogliby spróbować jeszcze raz. Trzeba było coś zrobić dla dobra Briana.

Może razem coś wymyślą. Musi spróbować.

*Sobota, 29 kwietnia, godzina 10.00*

O godzinie dziesiątej ktoś zadzwonił do drzwi. Rose przewróciła się na drugi bok, mając nadzieję, że Damien otworzy. Powieki jej ciążyły, a oczy piekły. Do czwartej nad ranem była na nogach, analizując z najdrobniejszymi szczegółami scenę na posterunku. Funkcjonariusze zapewnili ją, że Brian dostał lekcję „porządnego nastraszenia”.

Na posterunku policji zaskoczył ją widok ludzi wchodzących i wychodzących w pogoni za codziennymi sprawami. Mężczyźni i kobiety w mundurach przemieszczali się beztrąsko, dźwigając sterty akt. Inni znów poprawiali swe mundury i szybkim krokiem oddalali się do samochodów czekających na zewnątrz. Wszystko to wyglądało tak zwyczajnie, tętniło pracą. Ale to nie było normalne, to nie było miejsce dla jej syna.

– Państwo Holden, tędy proszę.

Nawet niewłaściwie się odezwano, pomyślała Rose. Czy nadal była panią Holden? Miała wrażenie, że wszystko otoczone jest jakąś aurą nierealności. Kiedy wstali i podążyli we wskazanym kierunku, nogi Rose nadal się trzęsły.

W środku pokoju przesłuchań siedział zgaszony Brian. Nie spojrzał na nią, kiedy usiedli obok. Głowę miał zwieszoną, oczy utkwione w stół.

Młody funkcjonariusz przedstawił się. Rose nie zapamiętała, a może nie usłyszała jego imienia. Serce jej waliło.

– ... A to bardzo poważne przestępstwo – usłyszała. – Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Wyraz twarzy Briana nie zmienił się. Rose położyła dłoń na jego ramieniu.

– Brian, odpowiedz proszę.

Ze złością wyrwał się spod jej dłoni. Rose odwróciła się do Bena po pomoc.

– Brian, musimy wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Jeśli nie zaczniesz współpracować, możesz się wpakować w poważne kłopoty. Więc zacznij mówić.

Ben pochylił się, oparł łokcie o kolana. Rose zauważyła, że od zaciskania miał białe kostki.

Widziała też, jak ponury wyraz twarzy Briana zmienił się w niepewność. Policjant znów się odezwał. Rose miała wrażenie, że za chwilę sama się obudzi.

– Jestem przekonany, że nie chciałbyś, żebyśmy założyli ci kartotekę i odnotowali to wykroczenie. Nigdy się jej już nie pozbędziesz, będzie ci towarzyszyć, gdziekolwiek się ruszysz, do końca życia. Na twoim nazwisku zaciąży złamanie prawa. Czy tego chcesz?

Ton stawał się coraz ostrzejszy, te same zdania powtarzane z takim uporem, że Rose przeraziła się. Ale przynajmniej odnosiły skutek. Brian w końcu spojrzał na policjanta, złapał kontakt. Słuchał uważnie słów funkcjonariusza. Rose zauważyła z ulgą, że syn zaczyna się bać.

– Nie chciałem tego zrobić – odezwał się nagle błagalnym tonem.

– Czy myślałeś, że ujdzie ci to bezkarnie? – W głosie Bena słychać było wściekłość i upokorzenie.

Po raz pierwszy Brian spojrzał prosto na niego. Jego oczy wypełniły się łzami. O mój Boże, pomyślała Rose. Ale się pogmatwało. Trzeba z tym



skończyć czym prędzej Brian potrząsnął głową, popłynęło kilka łez.

Nagle atmosfera w pokoju rozluźniła się i w powietrzu wyraźnie czuć było ulgę. Już po wszystkim. Do Rose dotarły słowa „ostrzeżenie”. Brian kiwał potakująco, słuchając policjanta, który tłumaczył mu, jak poważne byłyby konsekwencje, gdyby złapano go po raz drugi. Funkcjonariusz z premedytacją notował coś wolno, a Brian przyglądał się temu. Potem kazano mu podpisać sporządzoną notatkę. W końcu chłopiec został wyproszony za drzwi.

Rose nie pamiętała nic z tego, co powiedział im policjant, oprócz słów, że policja poprzestanie jedynie na ostrzeżeniu, jeśli Brian będzie się dobrze zachowywał.

Natychmiast kamień spadł jej z serca, przygotowała się na spotkanie ze skruszonym dzieckiem czekającym na korytarzu. Jakoś się to wszystko ułoży. Ale za drzwiami siedział rozwścieczony, niespokojny syn z zaciśniętymi ustami.

Poczuła, że tak naprawdę chłopak nic nie zrozumiał. Bardzo głęboko ją to zasmuciło. To nie był sposób, żeby znowu stali się pełną rodziną. Wręcz przeciwnie, tylko się od siebie oddalali.

Droga powrotna z posterunku upłynęła w ciszy, w napiętej atmosferze. Na zakręcie przy Fairview Ben odezwał się w końcu lodowatym tonem:

– Uważam, że to głupota puszczać dwunastolatka do miasta bez odpowiedniej opieki. Nie obchodzi mnie, że jego koledzy tak robią. Nie powinno mu się na to pozwalać.

Znowu moja wina, pomyślała Rose. Ale powstrzymała się od odpowiedzi. Nie miała zamiaru walczyć z Benem przy Brianie.

Jak tylko wrócili do domu, kazała synowi iść do swojego pokoju,

mówiąc, że porozmawiają rano.

Ben nie wszedł do środka. Jej terytorium, jej problem.

Wysłała Lisę do łóżka, Damienowi powiedziała, żeby się nie martwił, że wszystko mu rano wytłumaczy. Krótco po czwartej nad ranem wzięła tabletkę nasenną, chcąc o wszystkim choć na chwilę zapomnieć.

A teraz naprawdę nie miała ochoty wstawać. Marzyła o śnie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że ktoś otworzył drzwi. Łudziła się, że to nikt do niej. Po chwili usłyszała delikatne pukanie do drzwi sypialni. Przez moment walczyła z chęcią zignorowania tego, a oddania się spaniu.

Ale po wczorajszym zdarzeniu nie mogła.

Damien cicho otworzył drzwi.

– Ma, przyszła babcia.

Drogi Boże, pozwól mi teraz umrzeć, pomyślała Rose.

– Powiedz jej, że zejdę za minutę.

Rose zmusiła się, by usiąść. Tylko dzięki sile woli stanęła boso na podłodze. Wciągnęła legginsy i koszulę, a potem spryskała twarz zimną wodą.

Wyglądała strasznie. Ale nie miała zamiaru na siłę poprawiać wyglądu. Po co? Niech widzi, do czego doprowadził ją jej syn.

Ta myśl od razu wywołała w niej poczucie winy. Biedna kobieta, tak samo jak ona, nie mogła być obarczana odpowiedzialnością za zachowanie Bena. Poczyszająca myśl. Przynajmniej teraz miały ze sobą coś wspólnego.

Damien zdążył już nastawić czajnik. Starsza kobieta natychmiast wstała na widok Rose. Podeszła do niej z szeroko otwartymi ramionami, gotowa otoczyć ją matczynym uściskiem. Rose nie mogła wyjść ze zdziwienia. Nawet po tylu latach nie wiedziała, jak się do niej zwracać. „Pani Holden”

brzmiało śmiesznie, jakby echo jej samej, „babcia” zbyt protekcjonalnie, a „Maureen” poufale. Zwykle rozwiązywała ten problem, używając form bezosobowych. Kiedy dzwoniła, mówiła na przykład: „Halo, tu Rose, co słyszeć?”.

Teraz jego matka zjawiała się tutaj nieproszona. Jako goniec? A może przyszła odwalić za niego brudną robotę? Ta myśl od razu ją zawstydziła. Ręce teściowej trzęsły się, a Rose zrozumiała, że kobieta była głęboko wstrząśnięta. Niepokój i stres, widoczne w zachowaniu teściowej, wzbudziły w Rose współczucie i ciepło. Odwzajemniła uścisk.

– Siadaj, zrobię nam filiżankę herbaty.

Starsza kobieta usiadła, wciąż w płaszczu, kurczowo niczym tarczę zaciskała torebkę.

– Podaj mi, proszę, płaszcz, powieszę go.

Uwolniła się z płaszcza, ale nadal nie puszczała torebki.

– Ben nie wie, że tu jestem.

OK, pomyślała Rose, zaczyna się ciekawie. Czekala.

– Nie popieram jego zachowania.

No popatrz, zupełnie jak ja, pomyślała Rose, ale nie powiem ci tego, bo zaraz zerwiesz się, by go bronić.

– Jako dziecko był wielkim egoistą i wygląda na to, że niewiele się zmienił.

Rose nadal milczała. Dziękowała Bogu za rytuał parzenia herbaty.

W końcu jednak musiała spojrzeć teściowej w twarz. Przyniosła filiżanki i talerzyki do stołu, napełniła dzbaneczek mlekiem i usiadła naprzeciwko niej. Zanim rozlała herbatę, jeszcze raz ją zamieszała.

– Co mogę powiedzieć? Na dziś sytuacja jest bardzo skomplikowana.

Rose miała nadzieję, że Maureen nie ma pojęcia o Brianie. Nie była w stanie przejść przez to wszystko kolejny raz. Przynajmniej nie teraz.

– Nie mogę dotrzeć do Bena. Ojciec w ogóle nie porusza tego tematu ani z nim, ani ze mną. Powiedziałam Benowi, że może zatrzymać się u nas najwyżej przez miesiąc. Albo weźmie odpowiedzialność za swoje postępowanie, albo niech szuka sobie innego kąta. Nie mam zamiaru ułatwiać mu sytuacji.

Jeszcze nigdy Rose nie słyszała tak długiego przemówienia z ust teściowej. Próbowwała odpowiedzieć serdecznością na jej wysiłki, ale wciąż czuła się oszołomiona przez tabletki nasenne.

– Przepraszam, nie spałam zbyt dobrze ostatniej nocy. Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. Ben zostawił mnie trzy tygodnie temu i na razie nie mam pojęcia, co zamierza dalej zrobić. Nawet dzieci się pogubiły, a ja już ledwo żyję.

To była prawda. Wizje siły i niezależności prysły. Została w tyle z pieczeniem, bo nie miała siły wykrzesać z siebie potrzebnej energii. Wyglądało na to, że i na tym polu wpakuje się w kłopoty.

– Chciałabym pomóc. Mogę popilnować dzieci, gdybyś tego potrzebowała, i weź to, proszę.

Sięgnęła do torebki i wyjęła dużą, białą kopertę.

– I jeszcze... mów mi po imieniu.

Rose uśmiechnęła się do niej i oddała jej kopertę.

– Jesteś kochana, Maureen. Ale naprawdę, dam sobie radę.

– Nalegam. Pomyśl, że to dla moich wnuków. Proszę. Rose nie mogła odmówić.

– Dziękuję ci – powiedziała po prostu. Usatysfakcjonowana Maureen

kiwnęła głową. Przy herbacie Rose opowiedziała o wszystkim, co się stało, ze zdziwieniem zauważając, że miała do czynienia ze świetnym słuchaczem.

– Konsekwencje – mruknęła Maureen ponuro, kiedy Rose skończyła swoją opowieść. – Ben nigdy nie musiał ponosić konsekwencji swojego postępowania. Zawsze był trzymany pod kloszem.

Rose spojrzała na nią z nieukrywaniem zaskoczeniem. Słowa Maureen pasowały idealnie. Doznała olśnienia, że przez te wszystkie wspólne lata to ona sprzątała po nim jego bałagan. Dosłownie i w przenośni. Ciekawe, kto robii to przed nią.

– Jego tata zawsze uważał, że chłopak nie miał złych intencji. Ben dostawał to, co chciał.

Rose spojrzała na teściową z nowym szacunkiem. Widać, że dobrze znała syna, gdyż jej obserwacje były bardzo prawdziwe.

Po godzinie Maureen podniosła się do wyjścia. Rose dobrze czuła się w jej towarzystwie, o czym jej powiedziała.

– Zadzwoń do mnie, jeśli tylko będziesz potrzebowała pomocy. Ta wizyta zostanie między nami. Ani Ben, ani jego ojciec nie wiedzą, gdzie teraz jestem.

Rose kiwnęła głową.

– I niech tak zostanie.

– Proszę, bądźmy w kontakcie.

Po kolejnym serdecznym uścisku Maureen wyszła.

Bez towarzystwa męża i syna Maureen okazała się zupełnie innym człowiekiem. Rose dostrzegła w niej indywidualną osobowość, a nie część monolitu podziwianego w czasie Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

Damien odprowadził babcię do przystanku autobusowego. Rose machała tak długo, aż starsza kobieta zniknęła z widoku. A potem otworzyła kopertę.

W środku, w szeleszczących banknotach, znajdowało się pięćset funtów.

Maureen nie należała do szczególnie zamożnych osób i ta szczodra, jak na jej warunki, suma świadczyła o poświęceniu. Rose pomyślała z ulgą, że termin egzekucji został odroczone. Mogła teraz odetchnąć.

Schowała kopertę w szafie i zeszła na dół, by zająć się młodszym synem.

*Sobota, 29 kwietnia, godzina 11.30*

Brian wciąż nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Zachowywał się już mniej wrogo, ale nadal gwałtownie i szorstko.

Rose usiadła w małym, bujanym fotelu, on na krańcu łóżka. Skądś już знаła tę scenę.

– Brian, chcę z tobą porozmawiać o wczorajszym dniu. Ugniatał pięściami poszwę kołdry.

– Patrz na mnie.

Tak ostrego tonu w głosie matki jeszcze nie słyszał. Spojrzał na nią prędko. Rose rozpoznała strach w jego oczach.

– To, co zrobiłeś wczoraj, było głupie i niebezpieczne. Myślę, że o tym wiesz.

Błada mała twarz zaczęła się napinać. Boże, był taki podobny do swojego ojca.

– Muszę zrozumieć, dlaczego to zrobiłeś, Brian. Czy mógłbyś mi wytłumaczyć?

Wzruszył ramionami.

– To był tylko zakład.

Rose wzięła głęboki oddech. Powolutku, powolutku, pomaluśku.

– Czy zawsze postępujesz tak, jak powiedzą ci koledzy? Znów wzruszył ramionami. Cisza.

– Odpowiedz mi, Brian.

Z premedytacją użyła ostrego tonu. Nie będzie wyrastał w przekonaniu, że ponoszenie konsekwencji dotyczyło tylko innych ludzi.

– Nie zawsze.

– A więc dlaczego tym razem? Kołdrę okładały teraz obie małe pięści.

– Wciąż się mnie czepiali.

Rose mogła to sobie wyobrazić. Cała banda żądna wybryków stoi dookoła niego. Poszturchiwanki, popychanki, presja rówieśników. Jeśli taki z ciebie bohater, to co powiesz na taką zabawę? Niemal słyszała ich szyderstwa. A za nimi czaiła się obietnica akceptacji, przynależności, pewnego rodzaju miłości. Rozumiała już, dlaczego to zrobił.

– Ale to właśnie t y to zrobiłeś. Ty byłeś odpowiedzialny i ciebie złapano.

– Nie chciałem tego robić.

Głos przeszedł w szept, z oczu zaczęły spływać łzy. Rose przeniosła się z krzesła na łóżko. Objęła rękoma małą, nieszczęśliwą twarzyczkę.

– Wiem, że pragniesz, by twój tato wrócił do domu, ale w ten sposób nic nie wskórasz.

Nie odpychał jej teraz.

– Bardzo się staramy, by wszystko się jakoś ułożyło, kochanie. Twój tatuś i ja bardzo cię kochamy.

Pocałowała zjeżone włosy z tyłu jego głowy. Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Czy tato będzie ze mną rozmawiał? Rose poczuła bolesne ukłucie w sercu.

– Oczywiście. Tata jest zły i rozgniewany, że zachowałeś się nieuczciwie. Tak samo jak ja. Ale uporamy się z tym. – Pozwoliła mu oddalić się. – Do tego czasu masz zakaz wychodzenia do miasta sam lub z kimkolwiek innym, do odwołania.



Brian nie odpowiedział.

– Musisz zapracować na to, bym znów mogła ci zaufać. Chcę, żebyś przemyślał swój postępek. Chcę być pewna, że zdajesz sobie sprawę, jak poważne konsekwencje ma to, co zrobiłeś. Do tego czasu masz szlaban.

Przytaknął jej skinieniem głowy. Rose mogłaby przysiąc, że kamień spadł mu z serca. Nie miała pojęcia, jak jeszcze i na jak długo ma go ukarać, jak poinformować resztę domowników o tym, co się stało.

Trzeba będzie coś wymyślić. Wszystkiego musi się nauczyć.

Zeszła do kuchni i przygotowała sobie mocną kawę. Nie mogła tak po prostu położyć się i zostawić całego tego bałaganu dookoła.

Posprzątała brudne filiżanki i talerze, załadowała zmywarkę, zastanawiając się, jak zdoła stawić czoło temu, co zostało z weekendu.

*Piątek, 19 maja, godzina 9.00*

Rankiem, dzień po przeprowadzce do wynajętego apartamentu, Ben przejechał obok domu Caroline. Przyzwyczał się do mijania jej domu późnym wieczorem. Wiele razy, kiedy nie widział samochodu Barry'ego, kusiło go, by zajrzeć do środka. Ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że przecież ona i mąż mogli wyjść gdzieś razem. W końcu samochód Barry'ego był lepszy.

Widok zapalonego światła na parterze albo cienia przesuwającego się w szklanych drzwiach frontowych i wchodzącego po schodach gniewał go, choć nie wiedział dokładnie dlaczego. Z zewnątrz wszystko wyglądało tak naturalnie.

Nie był jeszcze gotów, by pozwolić jej odejść, a ona wciąż go pragnęła, tego akurat był pewien. Z perspektywy czasu ucieczka Caroline z Hiszpanii wydała mu się zrozumiała. Za bardzo ją naciskał.

Przeklinał siebie, że próbował przyspieszyć sprawy. Ona potrzebowała więcej czasu. Musiała pomyśleć o swoich dzieciach, a to z pewnością okazałoby się dla niej bardzo trudne.

Tego ranka nie widział samochodu Barry'ego. Caroline wciąż była w środku. Dobrze. Znał jej zwyczaje – w biurze zjawiała się rano, po Barrym, i zostawała do późnego wieczora. W domu czekała tak długo, aż Eoin i Aoife wychodzili do szkoły, a Barry spędzał w domu większość czasu popołudniami. Caroline nie znosiła gotować, Barry'emu to nie przeszkadzało. Ten podział obowiązków wydawał się Benowi dziwaczny, ale nigdy nie wyraził swojej opinii. Takie detale nie miały znaczenia.

To, co naprawdę było ważne, to zapewnić Caroline, że wciąż jej pragnął, a teraz potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Oczywiście, jeśli ona potrzebowała więcej czasu, on zaczeka. Mają przed sobą wspólną przyszłość.

Ben odjechał szybko. Zdecydował się nie dzwonić z samochodu. Wrócił do apartamentu. Zaparkował na dziedzińcu, tuż przed drzwiami.

Zauważył, że wykręca numer spoconymi rękoma. Przeszło mu przez myśl, że ostrożnie odebrała telefon. Musiała spodziewać się, że zadzwoni.

– Caroline. Tu Ben. – Nie mógł powstrzymać ulgi w głosie. W końcu mogli porozmawiać.

– Prosiłam cię, abyś już do mnie nie dzwonił. – Odezwała się ostrym, ale nie tak bardzo jak ostatnim razem, tonem. A więc miał rację. Wtedy Barry musiał być w domu.

Nie zamierzał wywierać na nią presji.

– Caroline, musimy porozmawiać. Nie możemy wszystkiego zostawić tak po prostu.

– My nic nie zostawiamy. Nasz związek jest skończony. Nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. To był błąd, ale już po wszystkim.

Musi na to przystać. Słyszał, sądząc po jej głosie, jak bardzo była zła.

– Nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale jest wiele spraw, które musimy zakończyć. Czy nie sądzisz, że zasługuję na to, by zrozumieć, dlaczego wyjechałaś bez słowa?

Ben zatrzymał się. Czuł, że na ten moment powiedział wystarczająco dużo. Dobrze wiedział, że Caroline nie znosiła niedomówień.

– Nie widzę sensu, żeby się spotkać. Naprawdę nie widzę. Dobrze. Przynajmniej nie powiedziała, że się nie spotkają.

– Ale ja widzę – odparł szybko. – Muszę się z tobą zobaczyć, by uwierzyć, że naprawdę chcesz to skończyć. Spotkam się z tobą gdziekolwiek i kiedykolwiek zechcesz. A potem zostawię cię w spokoju.

Wyczuł jej wahanie.

– Słuchaj, Caroline, nie musimy spotykać się w miejscu publicznym, bo mieszkam teraz sam. Możesz zamówić taksówkę i zachowamy pełną dyskrecję. Nie żądam przecież zbyt wiele, to tylko kilka godzin po dwóch latach.

Zdawał sobie sprawę, że nie cierpiała poczucia, że jest komuś cokolwiek dłużna.

– No dobrze. Podaj mi swój adres i telefon. Zobaczę, co się da zrobić.

Wiedział już, że tę rozgrywkę wygrał.

Skończył się rozpakowywać. Wkrótce będzie musiał pojechać do domu i zabrać stamtąd sporo rzeczy. Sama myśl o czekającej go kolejnej konfrontacji z Rose odpychała go. Spotkali się dwa razy i zawsze wyprowadzała go z równowagi. Może uda mu się umówić, kiedy nie będzie jej w domu. Damien albo Brian mogliby go wpuścić, to byłoby łatwiejsze.

Wiedział, że Caroline zjawi się szybciej, niż można by się spodziewać. Potrzebował tylko troszeczkę czasu, aby ją przekonać. Posprzątał puste kartony. Mebli miał całkiem sporo, w dodatku wygodnych – no, może jak na gust Caroline nieco zbyt przesadnie zdobionych.

Zanim wyszedł, by stawić czoło kierownikowi banku, włączył automatyczną sekretarkę. Przy odrobinie szczęścia Caroline zadzwoni jeszcze dzisiaj.

Będzie gotów.

*Wtorek, 23 maja, godzina 10.30*

W pierwszych dniach kolejnego tygodnia Rose otrzymała lakoniczny list od Bena. Informował ją, że kredyt hipoteczny został spłacony wraz z innymi zaległymi rachunkami. Wyrażał też nadzieję na rychłe spotkanie w celu „uregulowania ich pozycji”. Rose poczuła się jak przedmiot. Cały weekend spędziła na nadrabianiu zaległości w pracy dla Bonne Bouche; przygotowała kolejne próbki dań, mając nadzieję na zwiększenie choć trochę swych dochodów.

List Bena tylko spotęgował wrażenie zamykanych drzwi dookoła niej. Nienawiść, jaką czuła do męża, towarzyszyła jej nieprzerwanie, a nie tylko w przyływach złości. Przerażała ją wizja niewielu opcji, z których mogła coś wybrać. Jeśli się rozejdą, to gdzie będzie mieszkać? Jak zdoła wykształcić dzieci, ubrać je, nakarmić? Ale ani nie chciała prosić, ani nie miała zamiaru brać od niego czegokolwiek. W swoim liście dał do zrozumienia, że sam boryka się z poważnymi problemami w pracy.

Jeszcze pół roku temu zaangażowałyby się całym sercem w pomoc dla niego, zajęłyby się papierkową robotą, pokserowała niezbędne dokumenty i zaaranżowała spotkania w bankach. Teraz stała się podejrzliwa, nie ufała ani jednemu słowu.

Czy przygotowywał sobie podstawy skromnego utrzymania? Czy był wzmowie ze swoimi księgowymi? Mogła sobie wyobrazić ukryte dochody, wyolbrzymiane koszty, zminimalizowane zyski. Przypomniała sobie, jak kiedyś ze śmiechem napomknął coś o „kreatywnym księgowaniu”. To określenie wzbudziło w niej niepokój. Ale zignorowała tę uwagę ze

względu na własny komfort życia. Lepiej trzymać język za zębami. Po raz kolejny żałowała swojej pasywności, a jednocześnie poczuła, jak budzi się w niej ta nowa siła, którą – jak myślała – straciła z chwilą powrotu Bena.

Dostała dokładne wytyczne od Davida O'Briena. Miała zapisywać każdy wydatek, jaki tylko przyszedł jej do głowy. Coś w rodzaju sporządzenia kosztorysu ich stylu życia przez minione dwadzieścia lat. Nakazał jej otwierać firmową korespondencję i sporządzić kopię każdego kawałka papieru, jaki tylko wpadł jej w ręce. I pod żadnym pretekstem nie wolno jej było rozmawiać z mężem.

Prawie skończyła kserować papiery z szafek z dokumentami. David podkreślał, że wszystko było ważne – wyciągi bankowe, udziały, korespondencja, zapiski. Zdawała sobie sprawę, że Ben zabierze dokumenty, jak tylko wyprowadzi się od matki. Nawet nie próbowała odróżnić rzeczy ważnych od nieważnych. Znajac skrupulatność męża, zabezpieczyła się w kopie wszystkiego.

Na strychu stały jeszcze dwa kartony kopert. Może w którejś z nich znajdowała się polisa na życie dla dzieci.

Rose skończyła prasować szkolne koszule. Tego ranka przygotowaniom do szkoły towarzyszyła nerwowa atmosfera. Nie chciała, żeby sytuacja powtórzyła się nazajutrz. Damien zajął się sobą. Lisa marudziła, że spóźni się do szkoły. A Brian stał z zaciśniętymi ustami, bo nie znosił, kiedy sytuacja wokół niego wymykała się spod kontroli. Rose przestała się przejmować. Zdała sobie sprawę, że zamieszanie w domu nie należało do najpoważniejszych wykroczeń.

Ona sama ze spokojem stawiała czoło nowej sytuacji. Coraz trudniej było utrzymać stary porządek. Nie miała zamiaru udawać supermenki. Z

pełną świadomością wysyłała sygnały światu, a przede wszystkim Brianowi, że jej poglądy na życie nieco się zmieniły. Że cały jej świat nie obracał się już tylko wokół nieskazitelnie czystego domu, którego szafy zapełniały się same bez wysiłku i słowa podziękowania.

Poza tym miała te pięćset funtów, dzięki którym mogła zrzucić choć trochę ciężaru, jaki dźwigała. Próbowwała wymyślić sposób okazania życzliwości Maureen. Wciąż z rezerwą traktowała teściową, a instynkt podpowiadał jej ostrożność. Sojusz między nimi mógłby okazać się dla niej, Rose, niebezpieczny. W końcu więzy krwi były najsilniejsze. I choć wydawało się, że Maureen przestała wierzyć w mrzonki dotyczące Bena, wciąż był jej synem.

Rose złożyła deskę do prasowania i wypłukała kubek po kawie. Nie miała jeszcze ochoty zabierać się do pieczenia. Musiała wyjść z domu. Złękła się, zupełnie jakby czaiło się nad nią niewypowiedziane zło. Wyciągnęła lekką kurtkę i wyszła na chłodne promienie słońca.

Od momentu, kiedy pojawił się Ben, Rose nie potrafiła odnaleźć się we własnym domu. Za każdym razem, kiedy otwierała wejściowe drzwi, przed oczyma stawała jej wściekła twarz męża. Jego ubrania w szafie drażniły ją w sposób, jakiego dotąd nie знаła. Ilekroć dzwonił telefon, wyobrażała sobie, że to może być on.

Rose przeszła na światłach na drugą stronę ulicy. Idąc w stronę Dollymount, uspokajała się na widok znajomych miejsc. Przynajmniej to się nie zmieniło. Pełne fale błyszcząły w słońcu. Dziadkowie pchali wózki, od czasu do czasu ktoś przebiegał obok. Przez moment pomyślała, że może zobaczy gdzieś kobietę z walkmanem i mężczyznę z dwoma chartami. Minęło tyle czasu. Michael miałby teraz czternaście lat. Rose

czerpała przyjemność z szybkiego marszu i z siły nadmorskiego wiatru.

Po powrocie do domu powiesiła kurtkę w szafie. Widok rzeczy Bena wywołał smutek, zupełnie tak, jakby sprzątała po zmarłej osobie. Tyle że on żył nadal i unieszczęśliwiał ją.

Pragnęła, by przyjechał po swoje rzeczy i wszystko inne, co należało do ich wspólnej przeszłości.

Złowroga atmosfera, którą wyczuwała w pokojach, zniknęła, a razem z nią czające się cienie. Ale jednocześnie drogie kiedyś pomieszczenia straciły swoje ciepło i indywidualny charakter. Nie było już żadnego miejsca w domu, w którym czułaby się swobodnie. Miała wrażenie, że wyprowadziła się stąd dawno temu.

Pozostało jej tylko zamknąć za sobą drzwi.



*Piątek, 26 maja, godzina 17.00*

Ledwie przybyły na miejsce, Rose zaraz włączyła piekarnik. Miała cztery godziny, by wszystko dokończyć, i bardzo się denerwowała. Umierająca z ciekawości Jane pomogła przynieść pudła z samochodu.

W domu nie zastały żywej duszy. Na pierwszy rzut oka widać było, że nikt tu nie mieszkał. Nawet drogie meble i gustowne tapety nie zdołały stworzyć wrażenia ciepłego ogniska rodzinnego.

– Jeszcze w życiu nie widziałam tak czystej lodówki! Jane szybko zapełniała półki.

– Nie ma dosłownie niczego – czy ktokolwiek w ogóle używa! tej kuchni?

Wszystko błyszczało, panowały wręcz sterylne warunki.

Rose zaniepokoiła się. Co to za przedstawienie? Drogi, dyskretny dom, schowany w bardzo spokojnej okolicy w południowej części Dublinu. Żadnych dzieci bawiących się na ulicy, żadnego znaku życia dookoła. Tylko sztywne samochody zaparkowane przed każdym wejściem.

Kiedy Annie Cartwright zadzwoniła z propozycją dodatkowej pracy, Rose z chęcią się jej podjęła. Potrzebowała pieniędzy, a Bonne Bouche dobrze ją traktowało. Wiara Annie w jej możliwości kolejny raz pomogła przetrwać trudny dzień. Rose nie zwróciła uwagi na słowa, że sprawa wymagała pełnej dyskrecji. Dopiero teraz zaczęła się nad tym zastanawiać. Miała nadzieję, że nie pakuje się w nic nielegalnego.

Annie uprzedziła, że nie ma zaprzętać sobie głowy winem, które będzie dostarczone później. Na miejscu miał być ktoś do nakrycia stołu i

podawania. A zadanie Rose polegało jedynie na przygotowaniu jedzenia. Annie szczegółowo przedyskutowała z nią menu.

Rose już wcześniej wypróbowała wszystkie potrawy. Ale teraz przeraziła się. Miała gotować dla dwunastu zupełnie obcych podniebień. Cieszyła się, że Jane była obok.

Do siedemnastej trzydzieści posunęły się daleko z robotą, więc Rose zrelaksowała się trochę. Cytrynowy sorbet przygotowała poprzedniego dnia, teraz wystarczyło go tylko schłodzić w lodówce na godzinę przed podaniem. Jane dostała zadanie udekorowania go.

Na drzwiach zamrażarki umieściła listę spraw do zrobienia. Jak tylko uporała się z jakimś zadaniem, natychmiast skreślała je z listy. Jane okazała się doskonałym pomocnikiem. Robiła dokładnie to, o co została poproszona, porządnie i sprawnie. Nawet przestała żartować przez kolejną godzinę wytężonej pracy.

Rose wcześniej rano podgotowała kaczkę duszoną w brandy. Teraz nadszedł czas, by dwa ogromne garnki potrawy postawić ponownie na kuchence. Pieczarki doda się pod koniec gotowania, trzeba jeszcze przygotować polewę. Wykwintny sos zagęszczało się beurre manie tuż przed podaniem, wtedy smakował wybornie. Modliła się, by rzeczywiście tak było.

Do głównego dania podała szpinak z gałką muszkatołową i młode ziemniaki w maśle pietruszkowym. Przygotowały je razem z Jane, wybierając ziemniaczane kulki o idealnym kształcie. Szpinak trzeba było umyć bardzo dokładnie, listek po listku. Ugotowane warzywo należało zeszklić na maśle i doprawić czarnym pieprzem oraz gałką muszkatołową. Rose oblała się potem. Tyle godzin przygotowań, a jeśli stanie się jakieś

nieszczęście, choćby i w ostatniej minucie, cały wysiłek pójdzie na marne.

Teraz skoncentrowały się na starterze – pain de sole; warstwy cytrynowej soli skapanej w aromatycznych ziołach i podawanej z sosem mousselinehollandaise. Na przygotowanie potrzebowały przynajmniej półtorej godziny. Mimo że Rose zaplanowała wszystko bardzo skrupulatnie, teraz ogarnęła ją panika. Zbyt wiele rzeczy mogło ją zawieść. Do tego onieśmiało ją otoczenie, nie wiedziała, czego spodziewać się po gościach, a za sobą zostawiła życie, które rozsypywało się na kawałki.

Damien pilnował dzieci, ale między nim a Brianem panowało złowrogie napięcie. Rose martwiła się, że zostawiła synów razem. Damien bardzo ostro potraktował brata na wieść o kradzieży gier komputerowych. Reakcja Briana przekroczyła granice gniewu. Powiedział Damienowi, że go nienawidzi za to, „że zachowuje się tak, jakby tu rządził”. Nie mógł znieść, że starszy brat uzurpował sobie rolę Bena. Rose wciąż definiowała cienką, niemal niewidzialną granicę między traktowaniem Damiena jako dorosłego a szukaniem w nim substytutu Bena. Ogromne zmęczenie dawało się jej we znaki.

Tutaj, w tej kuchni, miała wszystkie niezbędne rzeczy, od łyżek estragonu po listki kamelii potrzebnej do sorbetu. Ale nawet to nie mogło zagwarantować sukcesu. Już raz, mimo ciężkiej pracy, przegrała.

Jane wręczyła jej kubek herbaty.

– Herbata jest dobra na wszystko.

Rose uśmiechnęła się. Miała odpowiedzieć, ale powstrzymał ją dźwięk klucza w zamku. Spojrzała na Jane szczerze zdziwiona.

– Jezu, ile par kluczy pasuje do tego zamka? – wyszeptała. Drzwi od kuchni były szeroko otwarte. Przed nimi pojawiła się postać w obcisłych

dżinsach i czarnej koszulce, żującą gumę i poprawiającą grzywkę tlenionych włosów.

– Serwus, dziewczyny. Jestem Debbie. Annie powiedziała mi, że mam się was spodziewać. Która z was jest tą niesamowitą kucharką?

Jane wycelowała palcem w Rose i przedstawiła je sobie. Debbie kiwnęła zadowolona.

– Do mnie należy nakrycie stołu, podawanie, a potem posprzątanie całego bałaganu. Tony pojawi się tu lada chwila z winem. Annie musi wam ufać. Nigdy wcześniej nie zleciła komuś takiej roboty.

Rose poczuła, jak rozpiera ją duma. Poczucie własnej wartości wzniosło ją na wyżyny. Poradzi sobie ze wszystkim.

Debbie zajęła się nakrywaniem do stołu, wyjmowała naczynia i miski z szafek, a Jane obserwowała dziewczynę.

– Mój Boże, w życiu nie widziałam tylu naczyń!

– Cmere.

Debbie otworzyła jedno z kuchennych drzwi, które Rose wcześniej uznała za kolejną szafkę. W środku znajdowały się dwie zmywarki, spory zlew, mikrofalówka i ekspres do parzenia kawy.

– O Boże, jak ludzie żyją bez tego?! – krzyknęła Jane. Debbie przyjrzała im się uważnie.

– Czy Annie was nie wtajemniczyła?

– Oczywiście, że tak – zreflektowała się szybko Rose – ale nie wspominała o dwóch zmywarkach!

Przeszło jej przez myśl, że jeszcze chwila i Jane pęknie z wrażenia, więc spojrzała na nią znacząco, gdy ta znów otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Jane zamilkła pokornie, ale oczy wciąż błyszczały jej

figlarnie.

Kiedy Debbie skończyła, poszły do pokoju, aby zobaczyć stół. Wyglądał jak z obrazka – sztywny lniany obrus z dopasowanymi serwetkami, pięknie ułożone świeże kwiaty i błyszczące, najlepszej jakości, sztucce i kryształy. Rose i Jane dały sobie po kuksańcu i wycofały się do kuchni, chichocząc niepoprawnie, dopóki lista rzeczy nie otrzeźwiła ich humorów.

Tuż po dziewiętnastej wszystko zaczęło toczyć się bardzo szybko. Przybył Tony o nienagannym wyglądzie, w białej koszuli i czarnym krawacie, targając ze sobą butelki. Debbie pojawiła się nagle w dostojnej czarnej sukni i białym fartuchu, jasne włosy spięła gładko do tyłu w kok. Byłaby nie do poznania, gdyby nie guma do żucia w ustach.

Niespodziewanie w domu zaczęły rozbrzmiewać śmiech i rozmowy. Hol zappełnił się ludźmi. Rose i Jane tak pochłonęła praca, że nawet nie sprawdziły, kto wszedł do środka, ale zdawały sobie sprawę, że goście zajęli pokoje. Tony poruszał się dyskretnie, roznosząc drinki. Debbie, już bez gumy, roznosiła tacki z kanapkami, które dopiero co skończyły w trójkę przystrajać. Było coraz głośniejsze, co jakiś czas atmosfera aż gęstniała od hałaśliwego śmiechu.

Dokładnie o dwudziestej trzydzięci Rose oddelegowała Debbie ze starterami i zaciskając kciuki, oddała się nadziei. Miały teraz dokładnie piętnaście minut na udoskonalenie głównego dania – zagęścić sos, podsmażyć grzyby, ugotować szpinak i polać młode ziemniaki pietruszkowym masłem. Udało im się zdążyć ze wszystkim na dwie minuty przed czasem.

Debbie zaciągnęła się mocno papierosem, zanim ruszyła z głównym

daniem. Gwałtownie pomachała ręką, by rozwiać dym.

– Nie mówcie Tony’emu – tu nie wolno palić.

Rose czekała w napięciu, aż każdy zostanie obsłużony. Gorączka rozmów opadła, atmosfera rozluźniła się. Po głównym daniu będzie można odpocząć, bo deser to drobiazg w porównaniu zresztą. Niespodziewanie pojawił się przy nich bezszelestny Tony.

– Wyrazy uznania dla szefa kuchni od gospodarza. Czego się panie napiją?

Rose odczuła taką ulgę, że prawie wybuchnęła płaczem. Jane odpowiedziała za nie obie:

– Podwójny gin z tonikiem proszę.

Obsłużył je z gracją i po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się.

– Proszę bardzo, podwójne drinki dla pań plus moje gratulacje.

Rose uniosła kieliszek w stronę Jane.

– Bez ciebie bym tego nie zrobiła. Dziękuję. Jane uniosła swój w odpowiedzi.

– Za przyjaźń!

Z pokoju znów dobiegł rozgorączkowany ton rozmów. Jane uchyliła drzwi i kiwnęła palcem.

Nie mogły uwierzyć własnym oczom. Przy stole siedziała sama śmietanka życia politycznego i biznesowego Irlandii.

Gospodarz właśnie zaczął przemawiać. Natychmiast zapadła idealna, niemal przepelniona szacunkiem cisza. Rose rozpoznała go od razu. Może nie był aż tak poważny jak zazwyczaj pokazywano go w telewizji, jednak nie mniej imponujący. Łysa głowa błyszczała w świetle świec. Wyglądał na zrelaksowanego, swobodnego, zachowywał się jak mężczyzna pewny

swojej ważnej pozycji wśród znajomych. Pochylając się lekko do przodu na swoim rzeźbionym krześle, ręce złożył swobodnie na brzuchu i odsłaniał przed publicznością kulisy ostatniego skandalu.

– To przecież Murtagh, co? – Jane wyszeptała wprost do prawego ucha Rose.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych – przytaknęła.

Jane zaczęła chichotać tak, że po cichu musiała wycofać się w głąb kuchni. Przy stole wybuchł gromki śmiech, goście entuzjastycznie docenili historię. Tony znów bezszelestnie poruszał się między krzesłami. Kieliszki zostały napełnione.

Po prawej stronie gospodarza siedziała jedna z najpiękniejszych dziewczyn, jakie Rose kiedykolwiek widziała. Wokół palca okręcała jeden ze swoich dzikich, jasnych loków. To jej urodziny dziś świętowano.

– Bernadettę! Czas na przemówienie! Bernadettę! – głośno domagał się mężczyzna siedzący obok, którego Rose rozpoznała, ale nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

Twarz mu płonęła, a w palcach trzymał ogromne, zapalone cygaro. Delikatnie, jakby z obawy, że może wybuchnąć, odsunął je od siebie. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego obok, by z nim porozmawiać, ale tak, by wciąż mieć na oku samego gospodarza. Właśnie wtedy Rose przypomniała sobie jego nazwisko.

Jane doszła w końcu do siebie i znów towarzyszyła przyjaciółce.

Rose bez słowa wskazała na mężczyznę, który przed chwilą domagał się przemówienia.

Jane wzruszyła ramionami. Rose wyszeptała jej coś do ucha.

– Ten, który zarobił tyle kasy? Ten, przeciwko któremu toczy się

śledztwo?

Rose przytaknęła, kładąc palec na usta. Oczy Jane zaokrągliły się ze zdumienia.

Kiedy młoda kobieta wstała, by podziękować gościom za prezenty, oczom Rose ukazała się najbardziej obcisła, króciutka, czarna spódniczka mini z lycry, jaką kiedykolwiek mogłaby sobie wyobrazić. Dziewczyna w udawanym, wstydlwym geście obciągnęła spódnicę, pozwalając, żeby jej blond włosy rozsypały się po twarzy tak, by ekstrawaganckim gestem mogła je poprawić. Palcami przeczesła jasne kosmyki, błyskając czerwonymi paznokciami. Jej długie, opalone ramiona rozświetliła biżuteria, gdyż podpięła włosy do góry, by popisać się prezentem od kochanka – parą diamentowych kolczyków.

Uśmiechnęła się do niego.

– Chcę wam wszystkim podziękować, że przyszliście. W szczególności dziękuję Brendanowi za zorganizowanie tego uroczego spotkania niespodzianki.

Mężczyzna wpatrywał się w nią nieprzerwanie. Badawcze spojrzenia rzucające przez pozostałych mężczyzn były może bardziej dyskretne, jednak nie mniej dokładne.

– No i oczywiście za te piękne kolczyki.

Bernadettę pochyliła się i pocałowała łysą głowę ministra. Wokół stołu rozbrzmiały toasty. Rose zauważyła spojrzenia, jakie wymieniały między sobą pozostałe trzy młode kobiety. Jedna w sarkastycznym geście uniosła brew, druga uśmiechnęła się dyskretnie. Rose oddałaby wszystko, by wiedzieć, co teraz myślały. W ich cichej reakcji wyczuwało się chłód, w spojrzeniach przebijało okrucieństwo.



Rose obserwowała solenizantkę na tyle, na ile pozwoliła szpara w drzwiach. Przerazała ją myśl, że mogłyby zostać zauważone. Gdzieś pod delikatnością dziewczyny została zakamuflowana wyrachowana kalkulacja. Nieśmiałe gesty, wyzywające ubranie, nieskazitelny, mocny makijaż zostały tak dobrane, by zrobić wrażenie, zdobyć i oczarować mężczyznę gapiącego się na nią z nieskrywanym pożądaniem.

Goście jeszcze długo po zakończeniu przemówienia Bernadettę klaskali i wznosili toasty. Gospodarz delectował się uznaniem biesiadników, zapominając na dzisiejszy wieczór o swojej łysinie i korpulentnej figurze. Promieniowały z niego władza i pieniądze, goście niemal płaszczyli się przed nim. Rose wiedziała, że to nie była kwestia przypadku, iż najpiękniejsza dziewczyna należała właśnie do niego.

Rose poczuła się dogłębnie wstrząśnięta.

– Czy zdajesz sobie sprawę, kto tam siedzi? Jane kiwnęła głową.

– Śmietanka polityczna Irlandii... i ani jednej żony w polu widzenia.

To była prawda. Rose rozpoznała trzech z ośmiu mężczyzn przy stole, znała ich nazwiska, wiedziała, czym się zajmują: minister, biznesmen i adwokat. Nazwisk tych dwóch z kitkami nie znała, ale pamiętała te twarze z ostatniej kampanii rządu w mediach, bo pokazywali je wszędzie. Jeden mężczyzna, siedzący plecami do Rose, stanowił kompletną zagadkę. Prowadził gorączkową dyskusję z siedzącymi obok. Cała trójka pogrzyła się całkowicie w rozmowie. Rose poczuła znajome ukłucie. Chodziło o interes, o pieniądze.

Wszystkie cztery kobiety były młode, piękne i pewne siebie. Rose nie rozpoznała żadnej z nich. Kimkolwiek były, z pewnością opinia publiczna nie miała się o nich dowiedzieć.

– Czy cały świat funkcjonuje w taki właśnie sposób? – spytała cicho Jane.

Jane wzruszyła ramionami.

– Ale otwieracz do oczu, co? Przynajmniej połowa z tych hipokrytów głosowałaby przeciwko rozwodom. Nic dziwnego, że Annie zależało na dyskrecji.

Zachowywali się bardzo krzykliwe, wręcz bezczelnie. Prawdopodobnie każdy z nich miał coś do stracenia. Pewnie to stanowiło gwarancję bezpieczeństwa.

Rose zastanawiała się, czy tylko ona jedna dała się nabrać. Może wszyscy, oprócz niej, zdawali sobie sprawę, jak naprawdę wygląda rzeczywistość. Czy była ostatnim człowiekiem na ziemi, który wierzył w to, co ludzie mówili w wywiadach w telewizji? Rose pomyślała, że jest jedyną kobietą w Irlandii, która nie dorosła.

A teraz, skoro знаła prawdę, co zamierzała z tym zrobić? Jeszcze parę tygodni wstecz na samą myśl, że ktoś z jej znajomych mógłby pracować dla takiego towarzystwa i w dodatku w takich okolicznościach, przeraziłaby się. Z całkowitym przekonaniem stwierdziłaby, że jedynym rozsądnym i przyzwoitym krokiem byłaby odmowa, żeby nie mieć nic wspólnego z podobnymi rzeczami.

A teraz wydawało się, że nie mogła sobie pozwolić nawet na zachowanie własnego morale. Kiedy posiadała pieniądze, granica między dobrem a złem była oczywista. Teraz, gdy nie miała prawie nic, sprawy nie były już tak wyraźnie czarne lub białe. Musiała utrzymać dzieci, zarobić na siebie. Jeśli nie wzięłaby tej pracy, skorzystałby ktoś inny i zarobił całkiem sporo pieniędzy. I tak dla nikogo innego, oprócz niej

samej, jej odmowa nie miałyby żadnego znaczenia. Odpowiedzialność za dzieci musi stanąć ponad jej szokiem spowodowanym moralnością seksualną obcych ludzi.

Razem z Jane zaparzyły nieziemsko drogą kawę w ekskluzywnej kuchni. Rose miała wrażenie, że tak naprawdę nie wie nic o życiu. Zdała sobie sprawę, jak wiele zaległości ma do nadrobienia.

– Wszystko w porządku, Rose?

Pytanie Jane uświadomiło jej, że od pewnego czasu przestała się odzywać.

– Wszystko dobrze, dojrzałam trochę, tylko tyle.

Debbie zmywała naczynia i ładowała zmywarkę. Rose i Jane spakowały swoje rzeczy i cicho się pożegnały. Tony uparł się, by zanieść im kartonowe pudła do samochodu. Kiedy wychodziły, z pokoju dobiegał miarowy pogłos rozmowy. Drzwi były zamknięte. Rose nie chciała nic więcej widzieć.

– To było naprawdę coś – powiedziała Jane, kiedy odjeżdżały. – Nic dziwnego, że tacy płacą krasomówcom i rzecznikom prasowym.

– Byleby tylko zachować twarz i dobrze się sprzedać. Powiem ci, że dla mnie to trochę przygnębiające.

Rose odniosła niewątpliwy sukces, a mimo to czuła się dogłębnie zawiedziona. Być może opanowało ją po prostu zmęczenie. Nie miała ochoty opowiadać o wieczorze ani rozmawiać, ani pić jeszcze jednego drinka. Czuła się winna za przebywanie w tak niewłaściwym towarzystwie.

Jane ziewnęła głośno, kiedy dojeżdżały do domu.

– To na dziś wszystko. Padam z nóg. Rose z wdzięcznością przyjęła te

słowa.

– Jane, dziękuję ci z całego serca. Zadzwoń jutro.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Za żadne skarby nie mogło mnie to ominąć!

I już jej nie było.

Rose nie potrafiła wyrazić słowami, jak się czuła. Miała jedynie świadomość ogromnej potrzeby, która się w niej rozwijała.

*Sobota, 3 czerwca, godzina 19.30*

Ben wyprowadził się od rodziców dwa tygodnie wcześniej. Telefonicznie powiadomił Rose, gdzie ma kierować jego korespondencję. Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od zdarzenia na posterunku przy Pearse Street. Nie odpowiadał na jej telefony sugerujące spotkanie z dziećmi. Damien tylko wzruszył ramionami, a Lisa w kółko pytała Rose:

– Dlaczego nie możemy pojechać do tatusia?

Rose robiła wszystko, co w jej mocy, ale zdawała sobie sprawę, że nie potrafi pocieszyć Lisy.

Brian znów zamknął się w sobie i przestał się udzielać zarówno w domu, jak i w szkole. Nie robił nic poza grą na komputerze w *Śmiertelnego wojownika*, *Zwycięskiego żołnierza* i *Tekken*. Rose desperacko próbowała dotrzeć do niego, ale jej wysiłki, by powstrzymać chłopca przed wsiąknięciem w niesamowicie brutalny i destrukcyjny świat gier komputerowych, spełzły na niczym. Swoim zachowaniem wyrażał dezaprobatę i potępienie matki, wykonywał jej polecenia, ale nie wdawał się w żadne dyskusje. Unikał nawet kontaktu wzrokowego.

Wczoraj, zmieniając mu pościel, natknęła się na szkolny dzienniczek, zaklinowany między materacem a ramą łóżka. Serce jej zamarło, przeczuwała, co może w nim znaleźć. Rose otworzyła zeszyt. Przekartkowała ostatnie strony. „Brak zadania domowego... niegrzeczny, przeszkadza na lekcji... odmawia współpracy”. A potem: „Proszę o przyjście rodziców do szkoły”.

Położyła dzienniczek z powrotem tam, gdzie go znalazła. Potrzebowała

czasu na zastanowienie, jak uporać się z tą sytuacją. Boże drogi, miała już dosyć.

Rose pracowała jeszcze więcej niż dotąd, przyjmując wszelkie propozycje złożone przez Annie. Maureen przychodziła codziennie, od poniedziałku do piątku, przygotowywała też lunch dla Briana i Lisy. Rose czuła się rozdarta, rozciągnięta we wszelkich możliwych kierunkach. Musieli z Benem znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie, dłużej taka sytuacja nie mogła trwać.

Dlaczego wziął ją na przeczekanie? Co to za gra?

Zaczęło się lato. W czasie wakacji dzieci robiły rzeczy, za które trzeba było płacić. Prawie wszystko wydawała na jedzenie i mimo że próbowała choć cokolwiek zaoszczędzić ze swych zarobków, nie starczało na żadne dodatkowe przyjemności. Maureen też nie mogła w nieskończoność opiekować się dziećmi za darmo. To nie było w porządku.

Dostarczyła mrożone pizze na przyjęcie w Howth i późnym sobotnim wieczorem wróciła do domu. Była wyczerpana, do tego ogarnęło ją przedmiesiączkowe napięcie i złość.

Przywitał ją rozgniewany Brian.

– Damien nie chciał mi dać na kino, a idą wszyscy oprócz mnie!

– Nie możesz iść do kina, Brian, bo mnie na to nie stać. Damien ma pieniądze, które dałam mu na nagłe wydatki, ale kino do takich nie należy. Zrobił więc tak, jak mu kazałam.

– Gdybyś pozwoliła tacie wrócić do domu, mielibyśmy mnóstwo pieniędzy. Przez ciebie odszedł. To wszystko twoja wina!

Przez ułamek sekundy Rose miała ochotę uderzyć wściekłego, nieszczęśliwego dwunastolatka, który patrzył na nią wzrokiem pełnym

nienawiści. Powstrzymała się jednak i z przerażeniem stwierdziła, że gdyby zaczęła go bić, mogłaby nie skończyć. I wtedy postanowiła skierować swoją złość we właściwym kierunku.

– Ubieraj się, idziesz ze mną, już!

Odkąd Ben opuścił dom, Rose nie zdarzyło się krzyknąć, za to chodziła na palcach wokół wszystkich, starając się zaspokoić ich potrzeby i ukoić stres. Teraz ucieszył ją widok naprawdę przestraszonego Briana. Przez krótką, okrutną chwilę pomyślała, że strach dziecka daje o niebo więcej satysfakcji niż bieganie dookoła wszystkich. Ciśnienie podskoczyło gwałtownie i miała wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje.

– Wsiadaj do samochodu, już!

Brian posłusznie, bez słowa protestu wykonywał jej rozkazy. Przynajmniej zniknął z jego twarzy ten ponury wyraz. Rose ruszyła z piskiem opon w kierunku głównej ulicy, prawie nie zwracając uwagi na panujący ruch.

– Dokąd jedziemy? – Głos Briana stał się nagle dziecinny, piszczący.

– Jedziemy do twojego ojca, by sam mógł ci powiedzieć, dlaczego nie wróci do domu. Mam serdecznie dosyć bycia tą złą mamą, mam serdecznie dosyć twojego zachowania i twojego stosunku do mnie. Niedobrze mi się robi od ciągłego latania wokół ciebie.

Dobrze zrobił jej ten gniew. Miała jedynie nadzieję, że zdoła powstrzymać łzy. Pragnęła być silna, zjadliwa i wściekła i żądać szacunku dla siebie.

Bmw stało na parkingu przed apartamentem, a więc musiał być w domu. Rose zatrzymała samochód, zostawiła go na środku podjazdu z włączonym silnikiem.

– Wysiadaj.

Chłopak zrobił to, co mu kazała.

Rose nacisnęła dzwonek apartamentu na parterze. Trzymała na nim palec nieprzerwanie, aż postać Bena pospieszyła do drzwi. Dobrze, jeszcze lepiej. Kiedy się do niego zbliżyła, poczuła znajomy zapach wina. Przyciągnęła do siebie Briana, trochę bardziej stanowczo niż zamierzała. Dziecko płakało, a Rose powoli opadała z sił.

– Oto twój syn, Ben. Może powiesz mu łaskawie, dlaczego odszedłeś i dlaczego do tego wszystkiego doszło. Może potrafisz zrobić coś, żeby chłopak przestał kraść i traktować własną matkę jak kawał gówna. Bierz go, to też twój syn.

Potem odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu, ignorując zdumiony krzyk Bena. Wcisnęła pedał gazu, nie pamiętając, że silnik nadal chodził. Dzięki temu wycofując samochód, uzyskała najbardziej satysfakcjonujący ryk. Nie zwróciła uwagi na Bena desperacko biegnącego w jej kierunku.

Pędziła do domu, pozwalając, by ciężkie łzy zalały jej twarz. Sprawdziła, czy Lisa już śpi, Damienowi oschłym do bólu tonem kazała iść do łóżka, potem odłączyła telefon. Wreszcie usiadła w ciemnym pokoju i upiła się powoli.



*Sobota, 3 czerwca, godzina 19.30*

Ben w przypiływie zniecierpliwienia przejechał rękoma po łysiejącej głowie.

– Ale, Caroline, kiedy byliśmy razem, to...

Przerwał mu przeraźliwy dzwonek do drzwi. Ktoś mocno przyciskał guzik palcem. Caroline zbladła jak ściana i upuściła kieliszek. Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim czerwona plama opanowała biały dywanik.

Ben otworzył, przeklinając.

Caroline słyszała każde gniewne słowo.

– Oto twój syn, Ben. Może powiesz mu łaskawie, dlaczego odszedłeś i dlaczego do tego wszystkiego doszło. Może potrafisz zrobić coś, żeby chłopak przestał kraść i traktować własną matkę jak kawał gówna. Bierz go, to też twój syn.

Jezus. To była Rose. Caroline nagle zrobiło się niedobrze. Rozejrzała się gorączkowo dookoła. Czy miała czas, by się schować?

Usłyszała wściekły ryk silnika, protestującego przy dodaniu gazu. Ben krzyknął coś ze złością i wybiegł z apartamentu.

Tymczasem dobiegł do niej szloch dziecka. Poczula, jak ogarnia ją paraliż. Drzwi trzasnęły i Ben wrócił do pokoju, prowadząc Briana jedną ręką za ramię. Twarz dziecka wykrzywił histeryczny płacz.

Caroline zdjęła płaszcz wiszący na drzwiach. Ben płonął i kipiał ze złości. W milczeniu wprowadził Briana do kuchni. Caroline usłyszała jego słowa, że wróci do niego za minutę.

Szybko nałożyła płaszcz i stanęła przy drzwiach. Potrząsnęła głową i uniosła rękę, mimo że Ben nie wykonał żadnego ruchu, by do niej podejść.

– Nie waż się już ze mną kontaktować. Nigdy więcej nie chcę ciebie widzieć.

Jej oczy wypełniły się łzami. Wiedział, że myślała o Brianie, nie o nim. Pełen rezygnacji rozłożył ręce.

Caroline sama otworzyła sobie drzwi.

Ben ponownie napełnił kieliszek i wrócił do kuchni, a kiedy usłyszał łkającego syna, jego gniew na Caroline i Rose wzrósł jeszcze bardziej. Usiadł ciężko obok Briana.

Zmierzył jego wiecznie najeżone włosy, sterczące z tyłu pochylonej głowy.

– Przestań płakać, synu.

Brian spróbował powstrzymać się od łez.

– Przepraszam, tato. W domu jest nie do wytrzymania, odkąd ciebie nie ma.

Ben podał mu szklankę wody. Chłopiec pił ją małymi łydkami, kurczowo trzymając szklankę. Ben zauważył, że miał brudne paznokcie.

– Czy wrócisz do domu... kiedyś?

Ben nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jak mógł oczekiwać od dziecka, że zrozumie?

– Zobaczymy. Może... jest wiele spraw, które muszę uporządkować. A tymczasem masz się dobrze zachowywać. Nie chcę więcej słyszeć, że sprawiasz kłopoty.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Jesteś głodny? – zapytał Ben, szukając neutralnego gruntu. Syn

przytaknął.

– Zjesz to, co mam w domu?

Przypomniał sobie gorzko, z jakim zaangażowaniem przygotował wędzonego łososia, ciemny chleb i sałatkę.

– Jeśli nie, to możemy po coś zadzwonić.

Brian poszedł zobaczyć, co jest w kuchni. Wrócił niemal natychmiast.

– Mogę coś zamówić?

Ben przytaknął i przyciągnął do siebie telefon. Palcem wskazał na duży pokój.

– Usiądź na sofie i włącz telewizor. Zaraz do ciebie przyjdę. Brian zniknął. Ben wychylił kieliszek wina i wykręcił lokalny numer, który znał na pamięć, najbliższego baru z jedzeniem na wynos. Zastanowił się, co ma robić dalej.

*Niedziela, 4 czerwca, godzina 9.30*

Rose obudziła się z ogromnym bólem głowy. Ledwo otworzyła oczy, usłyszała dzwonek do drzwi. Podczas niespokojnego snu przygotowała się na tę wizytę, czekała. Krzyknęła do Damiena, który zbiegał po schodach:

– W porządku, Damien, to twój ojciec, sama się tym zajmę.

Damien bez słowa wycofał się do swojego pokoju. Rose zdawała sobie sprawę, że sposób, w jaki wykluczała go ze swoich problemów, jest dla niego bolesny. Ale robiła to przecież dla jego dobra. Może później w ciągu dnia spróbuje mu wytłumaczyć. Ona też za nim tęskniła.

Nie spieszyła się, by otworzyć drzwi. Poza głową straszliwie bolały ją plecy i żołądek. Krwawiła w czasie menstruacji obficie i czuła się osłabiona. Ale przynajmniej przedmiesiączkowe napięcie minęło. Była w stanie stawić czoło Benowi i Brianowi.

Cieszyła się, że biologiczny zegar umożliwił jej reakcję w taki a nie inny sposób. Pomyślała, że kobiety potrafiły z najgorszego zrobić najlepszy użytek i tolerować rzeczy nie do zniesienia. Czasami najbezpieczniejszym rozwiązaniem było eksplodowanie gniewem i złością w kulminacyjnym punkcie tuż przed okresem. W normalnych okolicznościach Rose czułaby się rozdrażniona i na krawędzi płaczu kilka dni przed krwawieniem, dodatkowo rozzłoszczona faktem, że cały świat dookoła niej wychodził z założenia, że uszczęśliwianie innych było jej życiową pasją. A potem złość zniknęła, jak tylko zaczął się okres, a Rose kolejny raz dziwiła się, że nie może rozpoznać źródła comiesięcznej frustracji. Za każdym razem wydawało się, że gniew jest prawdziwy, a

więc i oburzenie znajdowało konkretne usprawiedliwienie.

Zdała sobie sprawę, że jej reakcja była prawdziwa i jak najbardziej uzasadniona. I to, że dała upust swoim emocjom w szczycie przedmiesiączkowego napięcia, nie znaczyło, że nie czuła gniewu, a ona wracała do „normalności”.

Opanowana i spokojna otworzyła drzwi. Syn wyglądał jak ostatnie nieszczęście, a Ben, blady jak ściana, stał zatopiony we własnych myślach.

Rose postanowiła nie przejmować się tymi gierkami.

– Marsz do swojego pokoju, Brian. Porozmawiamy później.

Odezwała się ostrym tonem, z którego przebijała jednak obietnica pojednania i miłości. Brian kiwnął głową i ruszył w stronę schodów, nie rzucając ojcu ani jednego spojrzenia.

– Wejść do środka – zwróciła się rzeczowo do Bena, zdecydowana, by nie przejął nad nią kontroli. Do tego zredukowali związek – do gry w tenisa, albo jeszcze lepiej, do partyjki pokera, w której żaden gracz nie chciał zdradzić taktyki.

– Ostatnia noc była dość dramatyczna.

Rose zrozumiała podtekst bardziej niż same słowa. Napelniła czajnik i przysięgła sobie trzymać nerwy na wodzy.

– Przede wszystkim sytuacja była dość dramatyczna. Spróbuj to sobie wyobrazić: dojrzewający chłopiec zostaje opuszczony przez uwielbianego ojca, zaczyna więc kraść, by zwrócić na siebie jego uwagę. Ale nic z tego. Ojciec znów się zwija i dorastający chłopiec jest bardzo nieszczęśliwy. Więc co robi? Wyżywa się na matce, którą obwinia za wszystko, obarcza odpowiedzialnością, że wszyscy dookoła niej są nieszczęśliwi. Oczywiście to, co ona przeżywa, nie liczy się. Tak więc skupiony na sobie

dwunastolatek zaczyna próbować wszystkich znanych sztuczek. Ale wciąż zero odzewu, zero ojca i pieniędzy, i niczego nie może być już pewien. Rezultat – wybuch. Właśnie dlatego Brian wylądował na twoich schodach wczoraj wieczorem, ponieważ ty do tej pory nie zrobiłeś nic, by zapewnić go, że nadal jesteś jego ojcem. A ja mam dosyć robienia tego za ciebie, Ben. Rzygać mi się chce na myśl, że muszę chronić dzieci przed tobą. Jeśli jesteś totalnym gównem, to bądź łaskaw powiedzieć nam o tym, żebyśmy mogli się pozbierać i żyć dalej. Nie mam zamiaru udawać za nas oboje ani chwili dłużej.

To było najdłuższe przemówienie, jakie kiedykolwiek padło z ust Rose. Ben przyglądał się jej zupełnie osłupiały. Przestała przejmować się jego zdaniem, na czym zyskała jej elokwencja. Miała gdzieś dezaprobatę męża i nie próbowała na siłę zasłużyć na jego szacunek. W równym stopniu męczył ją kac, jak i poczucie oderwania od rzeczywistości.

– Chcę jedynie, byś wziął odpowiedzialność za swoje dzieci, to wszystko. Jeśli chodzi o mnie, to przestałeś się dla mnie liczyć.

Spojrzał na nią, słysząc te słowa.

– Myślę, że nie potrafiłbym wrócić.

Rose zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę.

– Ty mnie wcale nie słuchasz, Ben. Nie zgodziłabym się na twój powrót, choćbyś był jedynym facetem na świecie. Chcę uporządkować nasze sprawy tak, żebym nigdy więcej nie musiała cię oglądać.

– Zrobię, co będę mógł, Rose, ale ostatnio interesy nie idą najlepiej. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

– Byłam cierpliwa przez dwadzieścia lat, Ben, czekając, by życie się dla mnie zaczęło. Kiepskie czasy w interesach jakoś nie przeszkadzają ci

pić drogiego wina i bawić się w towarzystwie ekskluzywnych kobiet, co?

Nie strzelała zupełnie w ciemno. Wczoraj wieczorem dostrzegła w wyglądzie Bena coś szczególnego. Nie wyrwała go ze snu. Jego zmieszanie i rozchełstana koszula nie były spowodowane drzemką po pracy. Miał towarzystwo, czuła wino, zapach, o którym zapomniała aż do obecnej chwili. Czy odwiedziła go Caroline, czy może ktoś inny? Do diabła z tym, pomyślała Rose. I tak pewnie pojawienie się Briana obróciło tę romantyczną schadzke w totalną klapę. Bardzo, naprawdę bardzo ucieszyła ją ta myśl.

Ben zbladł jeszcze bardziej.

– Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o moich prywatnych sprawach.

Wstał sztywno, ostrożnie odsuwając krzesło.

– Zadzwoń do ciebie, żeby umówić się, kiedy mogę przyjechać po resztę moich rzeczy. Mój prawnik skontaktuje się z tobą, by uzgodnić kwotę potrzebną na utrzymanie.

– Twój prawnik niech skontaktuje się z moim i z nim negocjuje, tak byśmy wszyscy byli zadowoleni. Nikt nie będzie dyktował mi warunków, Ben.

Oślupiał ze zdziwienia.

– Masz prawnika? Od kiedy?

– Odkąd mnie zostawiłeś, łajdaku. I co więcej, mam kopię każdego kontraktu, każdego udziału, nawet każdej jednej notatki, którą napisałeś. A teraz wynoś się. To ja zadzwonię do ciebie, kiedy mi będzie pasowało, żebyś przyjechał po swoje rzeczy. A do tego czasu nie waż się ze mną kontaktować.

Rose dosłownie wyrzuciła Bena za drzwi. Przez całą rozmowę

napierała na niego, zmuszając, by cofał się w stronę drzwi. Teraz trzasnęła nimi z satysfakcją, prosto we wściekłą twarz. Nie była już dłużej odpowiedzialna za jego relacje z dziećmi. Jeśli zechce, zadba o spotkania z nimi, a ona zawsze będzie je zachęcać do spędzania czasu z ojcem. Nie mogła nic więcej zrobić, jeśli on nie będzie chciał kontaktów z dziećmi. Miała już dosyć spraw na swojej głowie.

Damien zawahał się, kiedy trzasnęły drzwi.

– Wszystko w porządku, Ma?

Wyczuła niepokój i niepewność w głosie syna.

– Tak, kochanie, nic mi nie jest. Chodź tu do mnie. – Objęła go ramionami i kołysała, tak jakby wciąż był małym chłopcem. – Wszystko się ułoży. Myślę, że zostaniemy sami. – Z czułością pocałowała jego twarz. – Wszystko będzie dobrze.

Damien przytaknął. Rose zaczęła wspinać się po schodach i krzyknęła przez ramię:

– Zabawimy się wszyscy wieczorem.

Potem zamknęła drzwi i z przyjemnością usadowiła się w ciepłym jeszcze łóżku. Ogarnęło ją nieznane dotąd uczucie zadowolenia.

Czerwona plama po rozlanym winie Caroline wciąż tam była, kiedy wrócił. W pewnym sensie spodziewał się, że zniknie. Resztki z wczorajszej kolacji też stały nietknięte. W małej kuchni brudne naczynia piętrzyły się w zlewie. Jednorazowe pojemniki na jedzenie leżały na przykrywie kosza, pełne niedopałków papierosów, które wypalił w ciągu wielu nerwowych, samotnych wieczorów.

Mieszkanie straciło atrakcyjny wygląd. Dookoła niego wszystko przykryte było warstwą kurzu. Ben zaniósł ostatnie naczynia do kuchni i



zamknął drzwi.

Potem wyciągnął swoją teczkę spod schodów i usiadł przy stole.

*Niedziela, 4 czerwca, godzina 12.20*

Rose obudziła się dobrze po dwunastej. Głowa przestała ją boleć, czuła się wypoczęta. Wciągnęła na siebie szlafrok i udała się prosto do pokoju Briana. Zapukała i poczekała, aż ją wpuścił.

W pokoju panował porządek. Komputer był wyłączony. Rose domyśliła się, że syn na nią czekał. Usiadła w dobrze już znanym, bujanym fotelu. Skrzyżowała nogi i ciasno obwiązała się paskiem od szlafroka. Niespodziewanie przeniknął ją dotkliwy chłód.

– Przykro mi, że wczoraj potraktowałam cię ostro, ale nie żałuję tego, co zrobiłam.

Brian podniósł na nią wzrok. Po raz pierwszy od długiego czasu w jego spojrzeniu nie było wrogości.

– Przez ostatnie kilka tygodni żyło nam się bardzo ciężko. Ale nie mogę pozwolić, żebyś zachowywał się źle w domu, na ulicy czy w szkole.

– Przerwała, widząc twarz dziecka przepelnioną poczuciem winy. – Czy w szkole masz jakieś problemy?

Kiwnął głową potakująco.

– Lepiej sam mi o nich powiedz, to unikniemy kolejnych niespodzianek. Jeśli powiesz mi prawdę, będę dla ciebie bardziej wyrozumiała.

Brian wcisnął rękę między materac a ramę łóżka i wyciągnął szkolny dzienniczek. Bez słowa wręczył go matce.

Rose otworzyła zeszyt ostrożnie, zupełnie jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

Spojrzała prosto na syna.

– Niedobrze, Brian. Bardzo niedobrze. Ale zawrzemy układ. Nie zwróciła uwagi na jego milczenie. Wiedziała, że uważnie słuchał każdego słowa.

– Nie pozwolę, żebyś wpakował się w kłopoty. Wiem, że chcesz, by twój tato wrócił do domu, że tęsknisz za nim. – Pochyliła się w jego stronę. – Wiem też prawie na pewno, że nic już nie będzie wyglądało tak jak kiedyś. Nikomu z nas nie jest z tym łatwo. A teraz zawrzyjmy umowę. Czekał w skupieniu.

– W ciągu tygodnia nie będziesz grał na komputerze, za to spędzisz więcej czasu nad książkami. W weekendy możesz grać, ale wspólnie ustalimy, jak długo, i będzie to zależało od twoich starań w ciągu tygodnia. Nie chodzi mi tylko o szkołę. Wszystko jasne jak dotąd?

– Tak.

– W zamian nie będę nic mówić na temat tych uwag w dzienniczku. Zapomnimy o wszelkich kłótniach z poprzednich tygodni. Zgadzasz się?

Skinął głową.

– Moją intencją nie jest karanie cię za złe zachowanie, ale chcę, byśmy razem je zmienili.

Wydawało się, że syn chciał coś powiedzieć. Rose poczekała, a chwilę później odezwała się bardzo spokojnym tonem:

– Nie jestem wszystkiemu winna, Brian. To nie był mój wybór. I też muszę sobie z tym poradzić.

Wstał z łóżka i podszedł do niej.

– Przepraszam, mamó. Naprawdę nie chciałem.

Ręce mu zbladły i zaczęły się trząść. Wyciągnęła do niego ramiona.

– Wiem. Chodź tu do mnie. Uporamy się ze wszystkim. Zaczął płakać. Rose przytuliła go mocniej. Nie próbował się oswobodzić. W końcu delikatnie usadowiła go na swoich kolanach. Powolutku, pomaluśku. Wystarczy już na jeden dzień.

*Poniedziałek, 12 czerwca, godzina 6.30*

Rose miała już serdecznie dosyć. Przez cały weekend Ben nie odbierał telefonów, włączała się tylko automatyczna sekretarka, ale on nie odpowiedział na żadną pozostawioną przez nią wiadomość. Mimo wszelkich starań brakowało jej pieniędzy. Czek, którym miała zapłacić w supermarkecie, był bez pokrycia. Pieniądze od Maureen postanowiła zostawić na czarną godzinę. Książki do szkoły oraz mundurki i tak pochłoną większość tej sumy.

Teraz tkwiła przed mieszkaniem Bena. Sądziła, że spał, bo okna były szczelnie zasłonięte. Spojrzała na zegarek. Szósta trzydzieści. Pół godziny później niż jego zwyczajowa pora wstawania. Najwidoczniej i to się zmieniło.

Odwiedziła go po raz trzeci. W sobotnią noc siedziała przed drzwiami od północy do drugiej nad ranem, czekając na powrót męża. Nie planowała tkwić tam tak długo. Po dwóch godzinach poczucie upokorzenia, że musi zebrać o pieniądze, zwyciężyło i wróciła do domu.

Wczorajszego wieczoru spróbowała ponownie o dwudziestej drugiej. Ben zawsze lubił kłaść się wcześniej w niedzielne wieczory. Do jedenastej, kiedy nie było po nim ani śladu, poczuła, jak nagromadziły się w niej wstyd i złość. Miała wrażenie, że stała się niewidzialna. Pozbył się ich jak starego swetra. A kiedy już znaleźli się na śmietniku, przestali istnieć w jego świadomości.

Tego ranka zamiast upokorzenia zawładnął ją szaleńczy gniew.

Miała już dosyć czekania w nieskończoność. Przyszedł czas żądać, a

nie błagać. Wsiadła z samochodu i cicho zamknęła za sobą drzwi. W myślach ćwiczyła przygotowane przemówienie.

Postanowiła zachować się zimno i asertywnie; nie miała ochoty na kolejną konfrontację.

Zadzwoiła do drzwi i czekała. Samochód stał przed domem. Mieszkanie wyglądało tak, jakby ktoś był w środku. Nie przejmowała się nawet tym, że mógł mieć towarzystwo. Przyjechała w interesach.

Ponownie nacisnęła dzwonek i przesunęła się nieco na bok, żeby nie mógł rozpoznać jej sylwetki przez szklane drzwi. W końcu z wnętrza mieszkania dobiegł hałas.

Otworzył drzwi. Nieogolony, zaspany.

– Musimy porozmawiać, Ben. Przez cały weekend próbowałam się z tobą skontaktować.

– Wyjechałem – powiedział, zastawiając przejście. Wiedziała, że kłamał.

– Mogę wejść? Nie zabiorę ci dużo czasu. Niechętnie otworzył drzwi szerzej, by ją wpuścić. Stała w środku.

– Potrzebuję pieniędzy. Nie dam rady sama utrzymać dzieci. Nie dostałam od ciebie absolutnie nic od tygodni. Muszę mieć pieniądze na utrzymanie domu.

Nawet nie drgnął.

– To nie dla mnie, Ben, powiedziałam ci już, że nic od ciebie nie chcę. To dla dzieci. Dopóki prawnie nie rozwiążemy naszej sytuacji, nie zostaje mi nic innego, jak przyjść tutaj.

I żebrać, dodała cicho. Ale dzisiejszego ranka było jej wszystko jedno. Wiedziała, że taktycznie rozgrywał z nią tę partię. Chodziło o interes.

Spojrzała na zegarek.

– Muszę się zbierać do pracy. Czy możemy zakończyć tę sprawę?

Złożył ręce.

– Nie mam przy sobie gotówki. Wiesz o tym.

Rose rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu krzesła. Usiadła, skrzyżowała nogi i usadowiła się wygodnie.

– Zaczekam tu, aż wrócisz z bankomatu. Najbliższy znajdziesz przy Sutton Cross. Jazda tam i z powrotem nie zajmie ci zbyt dużo czasu.

– Czy nie możemy z tym poczekać do jutra?

– Nie, nie możemy. Będę tu siedzieć tak długo, aż zdecydujesz się łożyć na swoje dzieci. Guzik mnie to obchodzi, jeśli zajmie ci to cały dzień.

Oczyściła się całkowicie z poczucia upokorzenia towarzyszącego jej przez ostatnie dwa dni. Dobrze jej to zrobiło. Instynkt podpowiedział, że od tej chwili będzie trzymał gotówkę przy sobie.

Ben obrócił się raptownie i wyszedł z pokoju. Wrócił ze ściągniętą twarzą. Wepchnął jej garść banknotów.

– Sam mam kłopoty, Rose. Pieniądze nie spadają z nieba.

– Nie musisz mi o tym mówić. Celowo wolno przeliczyła pieniądze.

– To tylko sto funtów. Starczy mi ledwie na tydzień. Wzruszył ramionami.

– Na tyle mnie stać. Interesy nie idą najlepiej. Rose włożyła pieniądze do portmonetki.

– W takim razie będę musiała przyjść za tydzień i za dwa. To są wciąż twoje dzieci, Ben. – Wstała. Cieszyła się, że nie straciła panowania nad sobą. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Mógłbyś zadzwonić do

dzieci, szczególnie do Briana, bardzo za tobą tęskni.

– Nie mów mi, co mam robić. Zadzwoń do nich, jak będę miał czas.

Rose nie odpowiedziała. Nie czuła ani smutku, ani niepokoju, żadnego bólu. To był tylko interes.

Ben zamknął za nią drzwi.

Włączyła się do ruchu i skierowała samochód do centrum Greystones.



*Poniedziałek, 26 czerwca, godzina 11.30*

David O'Brien bardzo ostrożnie przejrzał dokumenty i liczby. Rose czekała cierpliwie, kiedy sporządzał krótkie notatki, przebierając między stertą papierów, które mu przygotowała. Pracował gorączkowo, czasami tylko przesuwał dłonią między gęstymi, siwymi włosami. W końcu spojrzął na nią przez półokrągłe okulary.

– To są bardzo zaniżone kwoty, Rose. Wszystkie wydatki obniżyłaś do minimum.

– Właśnie tak żyłam przez ostatnie dwanaście tygodni. Dam sobie radę przy odrobinie ostrożności.

David uważnie odłożył pióro na biurko. Gabinet, w którym siedzieli, wypełniały równiutko ułożone skoroszyty. Rose zastanawiała się, czy adwokat znał ich zawartość.

– Posłuchaj, Rose, tych spraw nie załatwia się w taki sposób. Chcę, byś sporządziła dla mnie obszerny kosztorys waszych wydatków, kiedy jeszcze Ben z wami mieszkał. Jak wyglądało wasze życie? Jak często wychodziliście? Ile razy wyjeżdżaliście na wakacje czy weekendy? Musisz utrzymać wydatki na tym samym poziomie, w przeciwnym razie sędzia przyzna wam mniejszą sumę. Dostaniecie tyle, ile według ciebie pozwoli wam przetrwać. Jeśli utrzymujesz, że dacie radę przeżyć, powiedzmy, choć to śmieszne, za pięćdziesiąt funtów tygodniowo, to właśnie tyle alimentów sąd wam przyzna. Ben będzie się śmiał tobie w twarz – zapewnisz mu przyzwoite utrzymanie z waszych pieniędzy.

David przerwał, przyglądając się sprzecznym emocjom wypisanym na

twarzy Rose.

– Ale jeśli nie mamy tych pieniędzy, to jak mogę je wydawać? Ben uregulował hipotekę i rachunki, jednak nie mogę wydusić z niego więcej gotówki. Wciąż tylko obiecuje i na tym się kończy.

– O to właśnie chodzi. Jeśli udowodni w sądzie, że dajecie sobie radę bez jego pomocy, że jesteś w stanie sama utrzymać dzieci, że ma poważne trudności finansowe w pracy, to czy możesz sobie wyobrazić, co się stanie?

To wszystko brzmiało okrutnie. Teraz zrozumiała zachowanie męża, ściśle przestrzegającego strategii przyjętej wspólnie z prawnikiem. Już wcześniej przemknęła jej podobna myśl, a teraz słowa Davida zdawały się potwierdzać te przypuszczenia.

– Czy masz jeszcze kartę kredytową?

– Tak, chyba że Ben ją zlikwidował. Nie mam żadnej tylko na siebie.

– Płać nią za wszystko, co kupujesz, zachowuj każdy paragon. Lato to okres pełen wydatków na dzieci. Tak samo jak powrót do szkoły. To nasza szansa i musimy z niej skorzystać. Kto wie, jeśli teraz nie zmusimy Bena, by dał nam to, czego oczekujemy, to na kolejną okazję będziemy musieli długo czekać i słono za nią zapłacić.

– Nic od niego nie chcę, David. Chcę tylko zabezpieczenia dla dzieci.

David wzruszył ramionami.

– To on was zostawił, Rose. Wasze życie zmieniło się dramatycznie, i to nie z twojej winy. Należy ci się finansowa rekompensata. Nie zapominaj, że twój mąż to bardzo bogaty człowiek. Jak na razie ze wszystkim mu się upiekło.

Rose spojrzała na życzliwego starszego mężczyznę, który siedział

naprzeciw niej, z okularami na czubku nosa. Jane ostrzegła ją, by nie dała się zwieść łagodnemu wyglądowi.

Pochylił się w jej stronę.

– Skorzystaj z mojej rady, bo płacisz za nią niemało. Umówmy się, że jeżeli mnie posłuchasz, będzie to sporo kosztowało, ale to twój mąż będzie regulował rachunek.

Rose roześmiała się.

– To okropne. Teraz chodzi tylko o strategię, co? David rozłożył ręce.

– To nie jest nic osobistego, Rose, to tylko biznes. Uwierz mi, tak właśnie patrzy na to twój mąż, sądząc po listach, które dostałem od jego adwokata. Rusz się i zacznij wydawać, wydawać i jeszcze raz wydawać. Potraktuj to jako inwestycję na przyszłość dla dzieci.

Kiwnęła głową, nie ufając swoim słowom. Domyślała się, że Ben zamierzał ją ukarać za podrzucenie mu wtedy Briana. Przez ostatnie dwa tygodnie był nieuchwytny, wiecznie zajęty, obiecywał tylko w kółko, że dołoży coś na życie, ale nigdy z tych przyrzeczeń się nie wywiązywał. Ona za to pracowała do krańcowego wycieńczenia. Nie mogła ciągnąć tego dłużej, zbyt zmęczona i zajęta, by spędzić choć trochę czasu z dziećmi, zbyt zawstydzona, by podzielić się z kimś tym, co się działo.

Ulżyło jej na myśl, że David wiedział. Przynajmniej przestała się martwić, że bierze to wszystko zbyt osobiście. Chodziło o czysty interes.

– To tylko biznes. Czy nie tak właśnie mówią mafiosi, kiedy nawzajem roztrzaskują sobie głowy?

Wstała.

– Dziękuję, David. Zrobię dokładnie tak, jak mi kazałeś. Wyciągnęła pęk papierów z torebki.

– To kopie całej korespondencji Bena z zeszłego tygodnia. David szybko na nie popatrzył.

– To, że wciąż jesteś dyrektorem firmy, ma swoją dobrą i złą stronę, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Jeśli on naprawdę ma kłopoty finansowe, teoretycznie ty też jesteś w tarapatkach.

Rose machnęła rękoma w powietrze.

– No to niech mnie wsadzą do więzienia. Na dziś nie mam zbyt wiele do stracenia.

David odprowadził ją do drzwi.

– Możesz dostać to, co chcesz, Rose, ale musisz mi zaufać. Nie waż się rozmawiać z Benem bez konsultacji ze mną i nie pozwól, aby wmanewrował cię w jakiegokolwiek negocjacje. Tu nie ma miejsca na żadne sentymenty.

Rose z wdzięcznością uściśnęła podaną rękę i wyszła przekonana, że ma za sobą zamknięty kolejny ważny etap.

Jutrzejszy dzień spędzi z dziećmi poza domem. Hamburger, kręgle, a potem kino. Może nawet Damien zdecyduje się dotrzymać im towarzystwa.

Jedynym promyczkiem w ostatnich dniach był Brian. Odkąd zostawiła go u Bena, zachowywał się znacznie lepiej. Powoli, ostrożnie zaczynał odpowiadać na jej sygnały. Dotrzymywał warunków umowy, a ona konsekwentnie realizowała swoją część. Nie wybuchał już tak często. Potrzebowała więcej czasu, by ich kontrakt stał się bardziej realny, solidny. Modliła się, by przypadkiem Lisa nie zaczęła teraz sprawiać kłopotów, albo nie daj Boże – Damien.

Potrzebowała chwili wytchnienia.

A teraz zamierzała wydać pieniądze.

## **Część czwarta**

*Sobota, 1 lipca, godzina 11.00*

Rose nie mogła w to uwierzyć. Nikt inny, tylko ona, we własnej osobie, spóźniła się na lotnisko. Kiedy już miała wychodzić z domu, Lisa zaczęła płakać, że nie chce zostać sama z chłopcami. Rose widziała, że córka naprawdę się przestraszyła; za zwykłym marudzeniem kryło się coś więcej.

Prawie się poddała. Uświadomiła sobie, że Lisa bała się tego, że mama wyjdzie i już do nich nie wróci.

Rose wzięła córkę na kolana i powiedziała, zerkając na zegarek, to, co powinno się mówić w takich chwilach. Poczula też, jak gdzieś tuż pod sercem narasta w niej ogromna fala poczucia winy.

Przed oczami stanął jej na moment Ben tamtego ranka i parujący garnek jajek. To ostatecznie ją przekonało. Musi w końcu zacząć myśleć o sobie.

– Lisa, kochanie, wrócę za dwie godziny. Jeśli samolot Marthy będzie miał opóźnienie, to zadzwonię do ciebie.

Powstrzymała się przed dodaniem obietnicy, że przywiezie jej coś ładnego. Pogłaskała córkę po włosach.

– Pamiętasz? Obiecałam, że jutro wszyscy idziemy zjeść gdzieś lunch i spędzimy z Martha całą dzień.

Ale teraz, pomyślała, mam godzinę z Martha tylko dla siebie i nie zrezygnuję z tego.

– Nastaw czajnik na pierwszą, dobrze? Z pokoju dobiegł hałaśliwy śmiech.

– Szybko, Lisa, chodź to zobaczyć. Dziewczynka zniknęła.

Dzięki Bogu za telewizję. Rose wsunęła głowę w drzwi.

– Cześć wszystkim. Do zobaczenia wkrótce. Bądźcie grzeczni!

– Pa, mamó.

– Pa, mamuś.

Rose spojrzała na zegarek.

– Boże przenajświętszy! Muszę pędzić.

Poczuła się jak dziecko w Boże Narodzenie. Wszystko zaczęło się układać. Annie dała jej dwa tygodnie wolnego, dzieci cieszyły się z wakacji, a w dodatku Martha już prawie z nimi była. Rose czasami przerażała myśl, jak bardzo cieszyła się na przyjazd najlepszej przyjaciółki. Z tą wizytą wiązała tyle nadziei. Zupełnie tak, jakby po rozmowie z Marthą wszystkie problemy miały się rozwiązać.

Ale jeśli Martha się zmieniła? Rose towarzyszyły obawy, że po tylu latach trudno im będzie odnaleźć starą więź. A jeśli okaże się, że nie potrafią już ze sobą rozmawiać?

Kiedy w końcu zdołała zasnąć poprzedniej nocy, śniła o planach, które bezskutecznie próbowała zrealizować, i obcych kobietach podających się za Marthę, choć dobrze wiedziała, że nie było wśród nich przyjaciółki. Koszmary męczyły ją przez całą noc i obudziła się wyczerpana.

Miała przed sobą całe dwa tygodnie. Ten czas wydawał się wiecznością. Bez względu na to, co miało się stać, musiała zwolnić tempo na chwilę, choćby tylko po to, by potem pracować jeszcze bardziej wydajnie. Wszystko szło po jej myśli. Rose dobrze się czuła z tym zupełnie dotąd nieznanym poczuciem niezależności. Polubiła ten stan.

Otworzyła okno i wyciągnęła parkingowy bilet z maszyny. Samolot już



pewnie wylądował. Podniósł się szlaban. Pięć minut później przeklinała nowy parking na lotnisku Dublin. Na tych starych zawsze jakoś bez problemów udawało się jej znaleźć miejsce. Jeździła w kółko po poziomach, zanim dostrzegła wolne miejsce. Obok niej stało srebrne bmw i Rose roześmiała się na wspomnienie siebie i Jane oraz samochodu Bena.

Złapała się na myśli, że po raz drugi od kilku dni zdarzyło się jej roześmiać. Pomyślała sobie, że musi uważać, bo w przeciwnym razie zacznie uchodzić za szczęśliwego człowieka.

Podążała w kierunku terminali z uczuciem lekkości i wolności. Dobry znak – zaledwie garstka ludzi, obładowanych torbami ze strefy bezcłowej, przechodziła przez automatyczne drzwi. Nie było nikogo, kto stałby zagubiony, samotny... To znaczy, wcale nie uważała, że Martha wyglądałaby na zagubioną...

Zauważyła przyjaciółkę.

Kiedy i Martha ją dostrzegła, Rose wiedziała od razu, że wszystko będzie dobrze. Pomachała gorączkowo w kierunku garstki ludzi za barierkami.

Martha przeciskała się uprzejmie, lecz pewnie przez ściskające się i rozgrzankowane grupki ludzi.

Otworzyła ramiona i Rose przytuliła ją mocno, mocząc łzami aksamitny kołnierz Marthy. Przez chwilę żadna z nich nie wydobyła z siebie słowa.

Rose doznała silnego wrażenia, że Martha nie była jedyną osobą wracającą do domu.

*Sobota, 1 lipca, godzina 22.30*

– Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek razem upiły się przyzwoicie – wygłosiła Martha ponurym głosem, wyjmując z torby Duty Free, którą wcześniej zostawiła za sofą, dużą butelkę Jamesona.

Rose bardzo spodobał się sposób, w jaki Martha wtopiła się w ich otoczenie, w rodzinę; stało się to tak naturalnie, że żadna ze stron nie czuła się skrępowana.

Brian polubił ją od razu, co zastanowiło Rose. Wyglądał na zdziwionego, a potem zadowolonego, kiedy Martha uściśniła jego dłoń na przywitaniu. Czego się spodziewał? Postanowiła, że zastanowi się nad tym później.

Rose zauważyła też, z jaką starannością Martha dobrała prezenty. Widać było, że z uwagą przeczytała list Rose sprzed tyłu tygodni. Te trzynaście niebieskich kartek żywo stanęło jej przed oczyma i w myślach podziękowała Marcie, że potrafiła wyczytać z nich coś więcej.

Nowa gra komputerowa Briana była skomplikowana, wymagająca; zupełnie przeciwieństwo tych „zabić ich”, w które tak namiętnie grał. Obserwowała, jak całkowicie pochłonęła Briana. Po raz pierwszy, od kiedy Ben ich zostawił, mogła przyglądać się synowi siedzącemu na tyle spokojnie, by móc coś przeczytać.

W końcu doczekały się chwili tylko dla siebie – Brian i Lisa, szczęśliwi, leżeli już w łóżkach, Damien miał wychodne do pierwszej. Rose zdjęła buty i wtuliła się w fotel naprzeciwko Marthy.

– Martha, pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale dziś, po raz

pierwszy od bardzo długiego czasu, jak tylko się obudziłam, poczułam w sobie spokój. Naprawdę cieszę się, że przyjechałaś.

– Ja też. Twoje dzieci są wspaniałe, a ty od twojego ostatniego listu posunęłaś się bardzo do przodu. I pięknie wyglądasz. Musisz podejmować dobre decyzje. Moje gratulacje.

Martha uniosła kieliszek, a Rose przypomniała sobie przyjaciółkę wykonującą podobny gest przed dwudziestu laty. Ta scena wydała się tak żywa, że Rose poczuła, jak jej oczy wypełniły się łzami.

– Nigdy go nie lubiłaś, prawda?

Martha ostrożnie przytrzymała kieliszek.

– To prawda, nigdy nie lubiłam Bena, ale to nie znaczy, że miałam rację teraz, kiedy on od ciebie odszedł. Mogłabym poza nim świata nie widzieć, a on i tak by cię zostawił.

– W tych sprawach dużo zależy od szczęścia, co? Martha kiwnęła.

– Pewnie tak. Wciąż próbuję się tego dowiedzieć.

Rose nie była pewna, jak mają się sprawy sercowe przyjaciółki.

– Masz kogoś?

Martha wykonała ręką ruch, który równie dobrze znaczył tak, jak i nie. Nagle z jej twarzy zniknęła pewność. Intuicja Rose podpowiedziała, żeby nie ciągnąć tego tematu. Zdecydowała, że nie będzie napierać.

Wyciągnęła przed siebie pusty kieliszek. Być może pod wpływem whisky albo towarzystwa Marthy, Rose poczuła, że jest bardzo blisko zrozumienia tego, co tak naprawdę się zdarzyło.

– Opowiedz, mi, Rose, co się stało, od samego początku. Rose ze zdziwieniem zauważyła, że bez problemów ubrała w zgrabne słowa ostatnie trzy miesiące. Myślała i analizowała, wyciągała wnioski i nadała

sens całemu chaosowi.

Świtało już, kiedy kładły się spać. Rose, mimo ogarniającego ją uniesienia, czuła się trzeźwo. Jasno widziała wzory, według których ułożyła sobie życie, i zaczynała rozumieć, dlaczego znalazła się w takim a nie innym punkcie.

Ze spokojem uświadomiła sobie, wyraźnie i klarownie, co chce zrobić dalej.

*Niedziela, 2 lipca, godzina 9.30*

Kiedy następnego ranka Martha zeszła do kuchni, Rose przygotowywała poranną ucztę.

– Hej, właśnie schodziłam z myślą, że to ja zrobię śniadanie dla ciebie!

Martha uścisnęła ją serdecznie. Rose nie oderwała oczu od szybko ścinających się jajek na patelni.

– Dlaczego miałybyśmy zmieniać tradycje? Każdy znaczący moment mojego życia spędziłam w tej kuchni, przy tej kuchence. Tego ranka, kiedy Ben mnie zostawił, gotowałam jajka, teraz je smażę. Zastanawiam się tylko, czy to ma jakieś znaczenie.

– Może – odezwała się Martha swobodnie – wolisz jajecznicę niż jajka na twardo. Może o to chodzi.

Rose wyłączyła kuchenkę i sięgnęła do piekarnika, w którym schowała ciepłe tosty. Wyjęła dwa talerze.

– Proszę bardzo, zjedz to wszystko, dobrze ci zrobi.

– A znasz drugą część? – Martha roześmiała się. – Pozbądź się tego, a poczujesz się lepiej. Daj spokój, trochę mnie mdli od rana.

– A mnie nie. Umieram z głodu. Czuję się świetnie i dokładnie wiem, co chcę zrobić dalej.

Rose zaparzyła dzbanek mocnej kawy. Martha czekała.

– Od lat nie rozmawiało mi się z nikim tak dobrze, jak wczoraj z tobą. Zupełnie jakby dzięki temu cały mętlik w głowie poukładał mi się w logiczną całość. Rozumiem już, jak wyglądało wcześniej moje życie, a teraz wreszcie zaczyna do mnie docierać, co dalej chcę z nim zrobić.

Martha przytaknęła z grobowym wyrazem twarzy, który Rose niegdyś tak bardzo kochała. Wiedziała, czego można się spodziewać po przyjaciółce – Martha należała do osób, które określano jako stałe w uczuciach, nieszalejące i przewidywalne. Kiedy słuchała, całą sobą oddawała się tej czynności i nie pozwalała sobie na żadne wtręty. Dosłownie zamieniała się w słuch, kiedy tylko człowiek zaczynał coś do niej mówić.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o promach poprzedniej nocy? – zapytała z uśmiechem.

– Każde słowo. Poczułam się tak, jakbym odkryła jakąś uniwersalną prawdę. Tak, pamiętam, powiedziałam, że mężczyźni i kobiety przypominają właśnie promy zacumowane w przeciwległych portach. Na zewnątrz wydają się tacy podobni – cumują w tych samych miejscach, przemierzają tę samą drogę. Ale ich tragedia polega na tym, że kiedy jeden zbliża się do portu, drugi wypływa w powrotny kurs, i tak ciągle się mijają. – Rose przerwała na chwilę, do oczu znów nabiegły łzy. – Łatwiej mi, kiedy sobie pomyślę, że właśnie coś takiego przytrafiło się mnie i Benowi. Przynajmniej nasz związek nabiera jakiegoś sensu, bo kierował się własną logiką. A wtedy i ból nie jest taki dokuczliwy. Może właśnie dlatego tak bardzo podoba mi się to porównanie.

– Czy naprawdę „dlaczego” ma dla ciebie tak duże znaczenie? – zapytała Martha, której najwyraźniej wrócił apetyt.

– Nie. Ale ostateczny efekt ma. Nie myślę już o Benie z nienawiścią. Czuję, że nie muszę udawać. Niech odejdzie. Ale chcę mieć pewność, że dzieci dalej mają ojca.

Do kuchni wszedł Damien. Zanim zdążył pomyśleć o manierach,

zauważył duży talerz grzanek i podążył za nim wzrokiem.

– Proszę bardzo. Poczęstuj się – zachęciła Rose. Szybko sięgnął po cztery tosty.

Spojrzał na Marthę. Ta w odpowiedzi potrząsnęła głową. Rose powstrzymała się od pytań. Poczowała absurdalną dumę, że jej syn i najlepsza przyjaciółka dzielą sekret.

– Później – powiedziała Martha. To wzbudziło ciekawość Rose.

– Spadaj, Damien, potem pogadamy.

Posłuchał Marthy bez żadnych pytań, po drodze zgarniając jeszcze banana i garść śliwek.

Rose ścisnęło w piersi. Boże, ile oni jedli. Nie dostała od Bena nic. Wszystko, co postawiła na stole, zakupiła z własnych oszczędności. Zaczynała pograżać się w desperacji. Pogłębiało to tylko pragnienie skończenia z nim.

– Nie chcę już dłużej tu mieszkać, Martha. Za bardzo czuć tu Benem. Chcę zacząć od początku, sama, z dziećmi. Nie zrobił nic, by się z nimi zobaczyć, ale popracuję nad tym. Chcę się z nim znów spotkać, pokazać mu, że potrafię zachować się rozsądnie. Sama nic od niego nie chcę, ale musi mi pomóc utrzymać dzieci. Pójdę do pracy – będę gotować, sprzątać, wezmę cokolwiek. Pragnę tylko jednego – rozwodu – tak byśmy wszystko zakończyli raz na zawsze. Nie mogę ciągnąć tego dłużej w ten sposób.

Martha przytaknęła, a Rose ocierała łzy. Tym razem płacz przynosił ulgę i oczyszczenie, był znacznie lepszy i zdrowszy od tego sprzed miesiący.

– To naprawdę wielka rzecz, Rose, i musisz myśleć o tym w ten sposób. I to jest idealny moment, żeby ogłosić dobre wieści.

Rose spojrzała na nią. Poczowała się jak dziecko, które patrzy na rodzica pytającym wzrokiem w oczekiwaniu niespodzianki. Spodziewała się, że zaraz wydarzy się coś przyjemnego.

– Zarezerwowałam dla nas, całej piątki, domek w Clare na tydzień. Wyjeżdżamy w przyszłą sobotę o dziesiątej.

Martha spokojnie napełniła filiżankę kawą.

– A potem, z czystą głową wzmocnioną dzięki Arthurowi Guinnessowi i z wypoczętym ciałem, powiesz swojemu mężowi, żeby spierdalał, gdzie pieprz rośnie.

W odpowiedzi, śmiejąc się i łkając, wdzięczna jak zachwycony bobas, Rose uniosła swoją filiżankę.



*Wtorek, 4 lipca, godzina 18.00*

Ben nie ułatwiał jej zadania.

Wcześniej rozmawiał ostro z Rose przez telefon. Powiedział, że nie ma pieniędzy. Ona mieszkała w jego głównej lokacie i miała dostęp do wszystkiego, co posiadał.

– Pławisz się w komforcie, a ja ledwo wiązę koniec z końcem. Bank siedzi mi na głowie.

Rose nie dała za wygraną.

– W takim razie sprzedajmy wszystko i spłaćmy zobowiązania wobec siebie. Potem możemy rozejść się na czysto i przestanę zawracać ci głowę.

Odezwał się jeszcze bardziej spiętym głosem:

– Już ci mówiłem. To nie jest dobry czas na sprzedaż. Dom to moja najcenniejsza lokata. Nie mogę pozbyć się go pod byle presją. Rose zwróciła uwagę, że użył zaimka w liczbie pojedynczej.

Poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– A więc jeśli to twój dom, twój samochód i twoja najcenniejsza lokata, to są to i twoje dzieci. Potrzebują jedzenia, ubrań i poczucia bezpieczeństwa. Ja nic od ciebie nie chcę.

Dzieci to nie stare ubrania, które można wyrzucić, bo nie nadają się już do noszenia albo znudziły się czy wyszły z mody. Tym razem to Rose trzasnęła słuchawką.

Wściekła, wzięła drabinę i wdrapała się na strych. Z rozmachem odepchnęła kilka kartonowych pudeł, które jeszcze do niedawna były pełne jego drogiego wina. Ona zaczęła je pić, dopiero kiedy wyniósł się z

domu.

Pełna złości napełniła każde pudło. Decyzje podejmowała w czasie szturmu przez dom. Stwierdził ostro, że nie ma nawet kieliszków do wina. Dał jej do zrozumienia, że pławiła się w luksusie, w jego luksusie, ponieważ wszystko zostawiła sobie.

Do pierwszego pudła załadowała dwanaście kieliszków do czerwonego wina. Każdy osobno do przegródki, w której kiedyś spoczywała butelka wina.

A niech pyta.

Z kolejnego kartonu wyjęła przegródki i wepchnęła do środka karafkę w kształcie statku, tę, którą tak lubił. Po chwili wahania dodała jeszcze kryształowe naczynie na lód. Nie cierpiała tych rzeczy. Do trzeciego pudła spakowała sześć kieliszków do sherry, sześć do whisky i sześć do porto. Mieli po dwanaście sztuk wszystkiego. No to jest równy podział.

Niech spróbuje teraz narzekać.

Do ostatniego pudła zgarnęła drobiazgi z jego szuflady przy łóżku. Spinki do mankietów i do krawatów, drobne monety. Jedyne miejsce, w którym nigdy nie utrzymywał porządku. Czy dlatego, że dzieląc sypialnię z drugą osobą, nie mógł udawać?

Płacząc ze złości, Rose zapakowała to wszystko do samochodu. Żadnych ubrań czy swetrów, które mu kupowała. Po nie mógł przyjechać sam i spojrzeć jej w twarz, kiedy będzie je zabierał. Bóg jedyny wiedział, jak bardzo nienawidziła wszystkiego, co przypominało jej o nim.

Szkoda, że nie miała strzelby. Przynajmniej raz na zawsze położyłaby temu kres. Sponiewierał ich małżeństwo i zostawił po sobie bałagan, oczekując, że to ona posprząta jego brudy. Gdyby nie żył, mogłaby w

spokoju zapłakać nad tym, co ze sobą dzielili, i zacząć z czystym kontem od początku.

Kiedy kończyła pakować bagażnik, Martha i dzieci wróciły z miasta. Rose obserwowała, jak wychodzili z autobusu, a jej złość uleciała niczym powietrze z balonu.

Zatrzasnęła bagażnik i pobiegła do łazienki. Odkręciła kurek z zimną wodą, opłukała nadgarstki i twarz, modląc się, by serce przestało tak walić.

Pokaże mu, co to znaczy stres.

Potem wtarła w twarz chłodny krem nawilżający. Następnie nałożyła fluid, puder i róż do policzków. Jeszcze tylko kredka do oczu i szminka.

Pokaże mu.

Uspokoili się, zanim zeszła do kuchni, gdzie Martha zaparzyła herbatę. Rose wypła łyk, parząc boleśnie gardło.

Zbyt naturalnie oznajmiła, że musi wyjść na godzinę. Martha popatrzyła jej prosto w twarz, ale Rose nie odwzajemniła spojrzenia, nie chciała widzieć wzroku przyjaciółki.

Musiała to zrobić. Może nie była to najrozsądniejsza rzecz, ale miała już dość silenia się na bycie tą mądrzejszą.

– A my tymczasem coś tu ugotujemy. Trzech zorganizowanych pomocników jest już gotowych i kupiliśmy wszystkie potrzebne składniki. Szykujemy niespodziankę.

Martha mrugnęła porozumiewawczo do Lisy. Mała dziewczynka, niezwykle szczęśliwa, odpowiedziała mrugnięciem.

Martha podeszła do Rose, kiedy ta otwierała drzwi samochodu.

– Jesteś bardzo rozzłoszczona, Rose. Czy uważasz, że to najlepszy

moment, by zrobić to, co sobie zaplanowałaś?

Rose kiwnęła głową.

– Tak. Oddam mu parę rzeczy z jego cennych lokat. I nie jestem już nawet w połowie tak wściekła jak wtedy, kiedy je pakowałam. Muszę pozbyć się tej sterty gówna.

Rose machnęła zawzięcie w kierunku bagażnika. Martha skinęła poważnie głową. Otoczyła ramionami Rose i przytuliła ją mocno.

– Więc zrób to i wracaj prosto do nas. Będziemy czekać z ciepłym obiadem.

Rose kiwnęła w odpowiedzi, mocno zagryzając wargi. Boże, dlaczego kobiety nie mogły żenić się z kobietami? Życie byłoby o wiele prostsze.

Bena zaskoczył widok Rose. Ona zdążyła się uspokoić. Pragnęła wyładować kieliszki, obrzydliwą, wulgarną karafkę i ostatnie dwadzieścia lat. Zanim otworzył drzwi, zrobiła szybki rozrachunek. Na ile można by wycenić kryształ marki Waterford? Ile oddanych lat gotowania, sprzątanania i odbierania wiadomości przedstawiała zawartość bagażnika?

Dajcie mi tylko strzelbę.

W środku zachowywał się zimno i oficjalnie. Ucieszył ją ponury wygląd mieszkania. Tanie meble, bałagan w pokoju, a przy jej stopach okropna plama wina.

Wyczyść to, ty chamie, odezwał się głos w jej głowie.

– Czego chcesz, Rose?

Czy naprawdę kochała kiedyś tego zadufanego w sobie, łysiejącego faceta w średnim wieku? Zauważyła, że przytył, zaokrąglił się w pasie. Poczowała satysfakcję. Jej figura była bez zarzutu.

Uwagi nie umknął też panujący wszędzie nieporządek. Opakowania po

jedzeniu na wynos, porzucony płaszcz w kącie, stolik na kawę zavalony papierami.

Nagle, jak grom z jasnego niego, uderzyła w nią ogromna fala współczucia dla niego. Jej złość zupełnie minęła, wypływając wprost z głowy, jelit i wylatując gdzieś między palcami u nóg. Biedny i nieszczęśliwy głupiec.

Poczuła się zupełnie tak, jak wtedy przed laty na molo w Clontarf, kiedy miała wrażenie, że szczur dusił ją w gardle.

Dopiero teraz uświadomiła sobie swój żal za tym, co straciła, żal z powodu wszystkich obietnic, które – jak się okazało – miały tak gorzki smak.

– Nic nie chcę, Ben. Pomyślałam, że potrzebujesz paru rzeczy z domu, więc ci je przywiozłam.

Rose zablokowała otwarte drzwi i udała się do samochodu. Nie uczynił najmniejszego kroku, by jej pomóc. Ustawiła pudła w drzwiach frontowych. Kiedy je przyniosła, od razu poczuła się lepiej. W dodatku umierała z głodu. Zatęskniła za domem.

– Powiedziałeś, że brak ci kieliszków do wina. Więc ci je przywiozłam. I karafkę, którą tak bardzo lubiłeś.

Obserwowała, jak jego twarz zmieniała kolor i wyraz. Rose zdziwiła się. Co się z nim działo?

– Gdzie to jest?

Rose spojrzała na niego z niezbyt mądrą miną. Uświadomiła sobie, że ma rozdziawione usta, więc czym prędzej je zamknęła.

– Co? W pudle. Kieliszki są w pudle.

Przypomniała sobie pierwsze lekcje irlandzkiego. Ta na gloinne sa

bhosca, pomyślała i zachciało jej się śmiać. Zaczynała ogarniać ją histeria. Twarz Bena miała taki szczególny wyraz.

– Wino, ty głupia dziwko. Wino.

Jakie wino? I wtedy sobie przypomniała. Oczywiście. Wino, które utrzymywało ją przy życiu przez prawie dwa tygodnie. Wino, którym podzieliła się z Jane.

– Wypiłam je, Ben. Na miłość boską, co z tobą?

– To była inwestycja – zasyczał. – To wino było warte cholerny majątek!

Rose nie wytrzymała.

– Kolejna pierdolona lokata, jak sądzę! W takim razie bądźmy przynajmniej konsekwentni.

Zanim zdążył ją powstrzymać, Rose pochyliła się i wyciągnęła kieliszki z pudła. Patrząc mu prosto w oczy, roztrzaskała je, wysyłając w jego ponury pokój kolorowy i jasny prysznic szkła.

Chwycił ją. Odepchnęła go.

Wyciągnęła karafkę w kształcie statku. Ile była warta? Pięć lat? Rozbiła ją o ścianę, czując, jak rani sobie policzki eksplodującym kryształem. Ale nie zważała na to. To było równie dobre jak zabicie go.

Chwycił ją za nadgarstki i wygiął ręce za plecy, na co ona kopnęła go z całej siły w goleń. Krzycząc z bólu, puścił ją.

W tej chwili Rose opuściło rozbawienie, a dopadł strach. Zadał jej ból i teraz znów się zbliżał, sięgając po jej ręce. Zdołała wyjąć klucze z torebki i uniosła ręce, żeby się bronić. Nie wiadomo jak i kiedy twarz Bena zmieszała się z kluczami i ze złością. Wcale nie miała zamiaru tego zrobić, po prostu stało się. Jej kluczyk od samochodu wyrwał długą pręgę koloru

czerwonego wina w dolnej części lewego policzka męża.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

I wtedy uderzył ją. Bardzo mocno. Prosto w twarz, z całą siłą i złością nagromadzoną przez dwadzieścia lat.

Bez słowa Rose podniosła torebkę z podłogi, otworzyła drzwi trzęsącymi się rękoma i wyszła.

Poplamionym krwią kluczykiem otworzyła samochód.

Usiadła i włączyła silnik.

Nawet nie spojrzała za siebie.

*Wtorek, 4 lipca, godzina 19.30*

Zapach smażonej cebuli unosił się na podjeździe. Rose wciąż się trzęsła, kiedy wyłączyła silnik. Spoglądając w lusterko, zauważyła długą strużkę krwi sącząca się na prawym policzku, bardzo blisko oka. W sumie miała szczęście.

Gniew kosztował ją mnóstwo wysiłku i teraz opanowało ją kompletne wycieńczenie. Po lewej stronie głowy czuła pulsujący ból. Policzek płonął purpurowo. Wydawało się, że puchnie w oczach. Nie mogła w takim stanie pokazać się dzieciom.

Prawie przewracając się, wysiadła z samochodu i pokuśtykała drogą. Musiała uciec, zanim ją zauważą. Skierowała się w stronę domu Jane, modląc się, by ją zastać. Nacisnęła dzwonek. Jane otworzyła niemal natychmiast.

Cała twarz rozświetliła się na moment radością. A potem zastygła nieruchomo, kiedy zarejestrowała stan twarzy Rose.

– Jezus Maria – jęknęła tylko.

Poprowadziła przyjaciółkę na korytarz. Rose miała wrażenie, że to wszystko dzieje się wokół kogoś innego. Nogi ugiwały się pod nią, zupełnie jakby wróciła z wyczerpującego spaceru. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie potrafiła nawet sformułować jednej myśli czy prostego zdania. Odczuwała dotkliwy ból, ale nie była w stanie go zlokalizować. Skąd ten dziwny dźwięk? Czy to ona?

To jej zęby. Szczękała nimi głośno. Właściwie to trzęsło się całe ciało.

Ludzie, których widziała przez mgłę, wykonywali mnóstwo czynności.



Podobnie czuła się wtedy w szpitalu. Ale zamiast zdejmować z niej różne warstwy, przykrywali i owijali ją grubo. Stopniowo zaczynała odczuwać ciepło. Szczególnie w dłoniach. Ktoś przytrzymał ją, kiedy obejmowały kubek. Dziecięcy kubek. Coś w rodzaju „My Little Pony”. Różowe i białe barwy obiecywały coś romantycznego.

W środku herbata. Mocna, gorąca herbata, bardzo słodka. Zaczynała się skupiać i gromadzić słowa.

Jane gładziła ją po włosach. Mówiła coś szeptem do Jima. Ten, blady i zszokowany, napełnił kubek Rose.

Płonął elektryczny kominek. Rose poczuła się bezpieczna.

– Proszę, zadzwoń do domu. Porozmawiaj z Marthą. Poproś, żeby powiedziała dzieciom... cokolwiek. Tylko, żeby się nie martwiły i nie podejrzewały nic złego.

Jane usiadła na oparciu starego, wygodnego fotela. Cały czas obejmowała Rose ramieniem. Wolną ręką wykręciła numer Rose.

– Chcesz sama z nią porozmawiać?

Rose potrząsnęła głową. Kilka minut później Jane odłożyła słuchawkę.

– Wszystko w porządku. Dzieci zadowolone. Gotują coś chińskiego. Powiedziałam, że się spóźnisz. Zajmie ich pracą tak długo, jak się da.

Rose ze zdumieniem uświadomiła sobie, że Jane była na granicy łez. Musiała nieźle wyglądać. Pewnie gorzej, niż czuła się w rzeczywistości.

– Zadzwoniliśmy po lekarza.

– Niepotrzebnie – odezwała się Rose chwiejnym głosem. – Do wesela się zagoi.

Skąd znała to powiedzenie? Nie słyszała go od lat, nawet sama nigdy go nie użyła. To głos z dzieciństwa pochylający się w domu nad zdartą

skórą z kolana z kulkami lodu.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Dobrze – odezwała się Jane – lekarz już jest, więc sama mu to powiedz.

Po chwili wszedł Kevin McDermott. Rose ogarnęło nagle zmęczenie zbyt wielkie, by protestować. Doktor przybył z życzliwością i skuteczną pomocą. Rose znów poczuła się jak mała dziewczynka.

Delikatnie oczyścił jej twarz, usuwając maleńkie kryształki szkła.

– Nie będziemy musieli zakładać szwów, Rose, to tylko małe draśnięcia. Powiedz mi, proszę, jak to się stało.

Rose opowiedziała mu, starając się jak najprędzej wyjaśnić, że sama jest sobie winna tych draśnień, że to jej furia. Ben tego nie zrobił.

– A ten piękny siniak? Sama go sobie nabiłaś?

Rose opowiedziała najlepiej jak potrafiła o kluczykach, rękach i złości. Przytaknął.

– Zrobię teraz kilka zdjęć twojej twarzy, Rose, więc proszę, siedź spokojnie.

Błysnęło światło polaroidu.

– Daję ci coś, co pomoże ci zasnąć i znieczulić ból. Jutro będzie cię nieźle bolało. Jutro wieczorem muszę cię zobaczyć. Wpadnę do was, jak skończę objazdówkę.

Rose poczuła się bezwolna, mogła jedynie pozwalać, by robiono z nią różne rzeczy. Straciła kontrolę.

Zwalczyła ogarniające ją poczucie letargu, bo dobrze pamiętała z przeszłości niebezpieczeństwa tego stanu.

– Wezmę te tabletki później, Kevin. Muszę iść do domu i zjeść kolację.

Dzisiaj to dzieci ugotowały coś dla mnie.

Widziała jego wzrok.

– Nie, nie oszalałam zupełnie. Wciąż jestem w lekkim szoku, przyznaję, ale one na mnie czekają. Po kolacji mogę leżeć w łóżku, jak długo tylko chcę. To ważna kolacja.

Kiwnął tylko głową.

– Dobrze. Nie pij za dużo wina. I zażyj te tabletki, jak tylko będziesz gotowa do spania. Powinny zadziałać od razu. Porozmawiamy później.

Poszedł.

Jane znów wróciła na fotel. Przyniosła więcej herbaty. Rose pila ją z wdzięcznością. Naprawdę poczuła się już lepiej. Instykt podpowiadał jej, że coś skończyło się ostatecznie.

Nie było to szczęśliwe zakończenie, raczej brutalne i definitywne, ale miała je za sobą, raz na zawsze.

Uśmiechnęła się do Jane.

– Nic mi nie będzie. Dziękuję. Przyjdź, proszę, jutro. Chciałabym porozmawiać.

Jane skinęła, głaszcząc jej rękę.

– Oczywiście, że przyjdę. Jak tylko będziesz gotowa.

Rose stanęła na całkiem pewnych nogach. Kolana przestały odmawiać posłuszeństwa.

– Muszę wracać do domu i zjeść chińszczyznę z dziećmi. Co dokładnie Martha im powiedziała?

– Nic, zostawiła to tobie, jak wrócisz. Zawsze możesz powiedzieć, że zostałam napadnięta.

Rose uśmiechnęła się.

– Na teraz powinno wystarczyć. Czy odprowadzisz mnie do domu?

Pulsujący ból nad lewym uchem znów zaczynał dawać znać o sobie. Miała uczucie, jakby coś rosło w jej oku. Dotknęła go. Całe było opuchnięte.

Będzie musiała postarać się ze wszystkich sił, by zbagatelizować całą sprawę. Młodsze dzieci uwierzą. Martwiła się o Damiena.

– Chodźmy.

Jim uparł się, by odwieźć ją ten kawałek, Jane usiadła z nią z tyłu z kulkami lodu w plastikowym worku i ręcznikiem.

Głupio się zachowała. Była tak samo winna jak i Ben. Nie powinna była nawet próbować z nim rozmawiać pod wpływem złości. Przez krótką, szaloną chwilę miała nadzieję, że zraniła go równie dotkliwie.

Przynajmniej nie musiała zmiatać szkła.

Zapach cebuli nadal unosił się w powietrzu, zmieszany teraz ze znajomymi przyprawami, których nazw Rose nie mogła sobie przypomnieć. Jej żołądek skurczył się boleśnie z głodu.

Postara się ze wszystkich sił.

Weszła do środka przez drzwi od kuchni. Kolejny raz. Czy kiedy nadejdzie jej czas, przyjdzie jej w tym właśnie miejscu umrzeć?

– Cześć, ekipa. Jestem.

Przez kilka minut pocieszała maluchy. Ale Rose widziała, w jaki sposób patrzył na nią Damien. Oczy pociemniały mu nagle na trupio bladej twarzy. Próbowała dać synowi do zrozumienia, że to nie to, co myślał, żeby poczekał, to wszystko mu wytłumaczy.

Gwałtownie wyszedł z kuchni.

Musiała pozwolić mu odejść. Brian i Lisa byli zaniepokojeni,

wystraszył ich widok szybko ciemniejącego oka.

Martha – lekarz miała do perfekcji opanowaną sztukę uspokajania. Wysłała Briana po lód, a Lisę po dodatkowy sweter, i przez cały czas rzucała wspaniałe komentarze, że rana wygląda tylko strasznie, a w rzeczywistości wcale nie jest tak źle. Każdemu przydzieliła coś ważnego do zrobienia, mówiła spokojnym, ale stanowczym głosem, i w końcu dzieci uspokoiły się do tego stopnia, że z odwagą stawiały czoło sytuacji.

Rose oznajmiła, że musi skorzystać z łazienki. Objęła twarzyczkę Lisy obiema rękami i zapewniła córeczkę, że umiera z głodu. Czy mogłaby nakryć do stołu?

Trzymając Briana za rękę, zaprowadziła go do dużego pokoju i tam wręczyła mu ostatnią butelkę wina.

– Zanieś to Marcie i poproś, żeby pokazała ci, jak ją otworzyć. Idę na moment na górę. Kiedy zejde, możemy zacząć jeść. Nie mogę się doczekać.

Brian skinął głową, nie odrywając od niej pytającego wzroku. A potem, nagle, przytulił ją. Przeszył ją gwałtowny ból, ale jednocześnie było to najśłodsze cierpienie, jakie czuła od tygodni.

Pocałowała najeżone włosy.

– Dziękuję, jesteś najlepszy – wyszeptała. Teraz Damien.

Było minęło. Powolutku, pomaluśku. Wystarczy już na jeden dzień. Co za cholernie krwawy dzień.

*Środa, 5 lipca*

Rzeczywiście, bolało niemiłosiernie następnego dnia a potem przez kolejne. Pozwoliła Marcie zająć się wszystkim. Czuła się wspaniale, nie musząc nic robić. Przyszła Jane i została kilka godzin. Polubiły się z Marthą natychmiast, ku radości Rose.

Następnego popołudnia obie przyjaciółki usiadły na łóżku Rose, piły wino i śmiały się histerycznie, wyobrażając sobie minę Bena dowiadującego się o stanie jego lokat. Ciemne myśli rozwiały się. Rose śmiała się i płakała, kiedy kolejny raz opowiadała całe zdarzenie. Ta na głoinne sa bhosca. Przy akompaniamencie śmiechu Jane i Marthy jej opowieść przestała brzmieć tak dziko i nienawistnie.

Pomiędzy łyżkami wina i tabletkami przeciwbólowymi Rose przespała dzień. Wszystko wciąż wydawało się mało realne.

Damien stopniowo dochodził do siebie, widząc, jak poprawia się stan mamy. Kiedy budziła się, świadomie zadawała sobie trud, by wysłać mu komunikat: „Spójrz, ze mną wszystko OK, przeżyłam to. To nie ja jestem w tym wszystkim ofiarą”.

Jestem Rose. Dam radę. Tak jak przez te wszystkie lata.

Damien miał ochotę zabić ojca.

Rose z pełną świadomością opowiadała mu w kółko, co się naprawdę stało. Poczekala, az sam ułożył to sobie w sensowną całość. Dała mu czas, aby zrozumiał, że nie oczekiwała od niego żadnej reakcji i nie potrzebowała niczego.

Razem z Marthą ciężko pracowały przy kolacji tego dnia. Kreśliły

obraz domku, planowały.

Rose nigdy dotąd nie czuła tyle wdzięczności wobec kogokolwiek.

Przyjęła to za dobry znak. Jej życie zmierzało ku lepszemu.

*Sobota, 8 lipca, godzina 10.00*

Rose zamknęła dom na klucz i włączyła alarm, mając nadzieję, że nic złego nie wydarzy się podczas ich nieobecności. Tuż przed wyjściem sprawdziła jeszcze sypialnię. Okna zamknięte, biżuteria schowana. Przez krótką chwilę odczuła pokusę, by wziąć ze sobą pieniądze Maureen. Ale odgoniła tę myśl. Powinno starczyć im to, co zarobiła w Bonne Bouche.

Gdyby wzięła ze sobą więcej, to pewnie i tak wszystko by wydała. A dzieci muszą się nauczyć dobrej zabawy i miłego spędzania czasu za mniejszą gotówkę.

Kiedy zamknęła bagażnik i ruszyli w drogę, miała wrażenie, że zostawia za sobą całe życie. Martha nie pozwoliła jej prowadzić. Rose nie protestowała zbyt długo. Twarz miała nadal obolałą, a oko otoczone było niezwykłą paletą niebieskich i purpurowych barw. Wciąż ją wszystko bolało i czuła się zeszywniała.

Z jakiegoś dziwnego powodu ten ból sprawiał jej radość. Cierpiała fizycznie i знаła źródło tej agonii. Wystarczyło tylko kilka tabletek przeciwbólowych i ból mijał.

Wolała to niż uczucie szczura duszącego ją w gardle przez ostatnie dwadzieścia lat. Zniknęła też cała ociężałość. Myślała trzeźwo i oddychała bez trudu. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że to nowe uczucie nazywało się szczęście.

W pierwszym dniu w Clare ustalili porządek na cały tydzień. Pogoda rozpieszczała ich ciepłem i słońcem. O dziesiątej wszyscy wyruszali na długi spacer, zmagając się z wiatrem i ciesząc się z fizycznego wyzwania,



jakie stawiały im wzgórze i skały.

Do domku wracali na lunch.

Każdego popołudnia wyruszali samochodem do miejsca opisanego w przewodnikach, zwykle wybranego przez Briana albo Lisę.

Potem powrót do domu na obiadokolację.

A wieczorami wybierali się wszyscy do coraz to innego pubu, ciesząc się z muzyki i życzliwości, jaką okazywano dzieciom. Rose pomyślała, że mogłaby tam zostać do końca życia. Prosty schemat każdego dnia, do którego wszyscy przywykli bardzo szybko, i poczucie spełnienia, kiedy kładli się spać, utwierdziły ją w przekonaniu, że jej życie mogło się zmienić. A wraz z nim wszystkie stare wzorce postępowania.

I gdzieś, pomiędzy tym wszystkim, Martha nauczyła Damiana prowadzić samochód.

Dopiero w sobotni rano Rose poddała się depresyjnemu nastrojowi. Musiała wracać i stawić czoło tamtemu poprzedniemu życiu. Przez cały dzień czuła niepokój, jakby coś złego działo się w domu, coś, czego nie mogła kontrolować.

Tego strachu nie można było tłumaczyć jedynie końcem wakacji.

– To naturalne – uspokajała ją Martha, kiedy się pakowały. – Przeszłaś przez piekło. Depresja, obniżenie nastroju po czymś takim to naturalna reakcja, która minie za jakiś czas. A jeśli nie, można temu zaradzić. Nikt nie zasypie cię medalami za to, że chcesz wszystkiemu sprostać sama, rozumiesz?

Rose uśmiechnęła się.

– Wiem, że masz rację.

W ciszy posprzątały domek. W przyszłym tygodniu Martha wybierała

się do Galway, potem miała spędzić trzy tygodnie w Londynie. I wreszcie powrót do domu, do Sydney.

Rose nie miała pojęcia, jak da sobie radę bez przyjaciółki.

– Wiesz, że wrócę, i tym razem będziemy w kontakcie.

– Wiem. Będzie mi ciebie bardzo brakowało. Martha kiwnęła głową.

– Mnie ciebie też. Rose?

Rose spojrzała nad nią znad walizek. Martha wyglądała na nieco zmieszana.

– Jeśli kiedykolwiek będzie ci trudno związać koniec z końcem, dasz mi znać, dobrze? Nie możesz więcej pracować i pozwól mi pomóc, jeśli ci zabraknie. Bardzo bym tego chciała, OK?

– Powiem ci, obiecuję. Już i tak bardzo nam pomogłaś. Rose poczuła, że jej depresyjny nastrój ustępuje, kiedy ruszyły w stronę Dublinu. Poczowała się znów spokojna, pogodzona.

*Sobota, 15 lipca, godzina 21.00*

Kiedy tylko Rose przekręciła klucz w zamku, wiedziała, że coś było nie tak. Szybko wcisnęła sekwencję kodu, by alarm nie zdążył się włączyć. Wszystko wydawało się na miejscu, ale intuicja podpowiadała coś innego.

Martha i dzieci od razu udały się do kuchni i nastawiły czajnik. Rose obiecała, że dołączy do nich za chwilę.

Zamarła, patrząc na drzwi do sypialni. Ktoś je otworzył. Na pewno je zamknęła, była o tym przekonana na sto procent. Ale alarm... jakim cudem?

Ben. Nie wiedziała jak, ale to na pewno on.

Ostrożnie otworzyła drzwi szerzej, wciąż stojąc na korytarzu. Nie mogła powiedzieć, że w pokoju panował bałagan, ale nie w takim stanie zostawiła sypialnię. Pościel na łóżku była pofałdowana. W powietrzu unosiły się obce zapachy.

Zdawało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Otworzyła szafę. Nogi się pod nią ugięły, kiedy zobaczyła, że część Bena opustoszała. Garnitury, marynarki, buty, wszystko zniknęło.

Jak dostał się do środka? Poczula się tak, jakby ktoś ją uderzył, jakby złodziej splądrował dom podczas snu.

Nagle, ogarnięta paniką, otworzyła środkową część szafy z półkami.

Swetry. Zabrał i je.

Szybko zaczęła sprawdzać wierzchem dłoni każdą jedną opustoszałą półkę. Przecież nie ukradłby ich pieniędzy. Musiała gdzie indziej schować kopertę Maureen. Na pewno położyła ją w bezpiecznym miejscu. Usilnie

starala się sobie przypomnieć. Zmusiła ręce, by zwolniły. Dokładnie przeszukała każdą półkę, każdą szufladę, każdą kieszeń.

Pieniądze zniknęły. Koperta z dwustoma funtami zapadła się pod ziemię.

Rose ciężko opadła na łóżko. Powinna była zabrać pieniądze ze sobą. Przynajmniej mieliby z tego jakąś radość.

Usłyszała szybkie pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku? Herbata stygnie. Herbata. Symbol normalności.

Martha wsunęła głowę w uchylone drzwi. Wyraz twarzy Rose sprawił, że natychmiast zamknęła usta, a jej uśmiech zniknął.

– Co jest, Rose? Wyglądasz jak duch.

– Właśnie jednego widziałam. Był tu.

– Kto? Ben? Skąd wiesz?

– Zabrał wszystkie swoje rzeczy. Nie wiem, jakim cudem dostał się do środka. Zmieniłam przecież wszystkie zamki i założyłam alarm. Ale był tu. I wiem, jestem ostatnią idiotką, wiem, powinnam była zanieść je do banku, ale to były pieniądze na nagłe wydatki.

– Jezu, co on zabrał, Rose? Powiedz mi natychmiast, co on zabrał?

Ku zdziwieniu Rose w głosie Marthy słyszeć było złość. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widziała przyjaciółkę wytrąconą z równowagi.

– Dwieście funtów. Tyle zostało mi z pieniędzy, które dostałam od jego matki.

Martha uklękła na podłodze tak by ich twarze spotkały się na jednej wysokości. Rękoma objęła łokcie Rose.

– Rose, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, Rose.

Rose posłuchała. Znow ogarnęło ją to znajome uczucie, że to nie ona uczestniczy w tym zdarzeniu, ale ktoś inny. Z trudem udało się jej skupić uwagę na Marcie.

– Szybko zapomnisz o stracie pieniędzy. To tylko kolejny spalony most. Skończyłaś z nim, Rose. Już nic więcej nie może ci zrobić. Słuchasz mnie?

Rose skinęła. Siła rąk Marthy sprowadziła ją na ziemię.

– Masz trójkę dzieci, które zależą od ciebie, dzieci, których nigdy nie zawiodłaś. Nie pozwól, by to zniszczyło twoją wspaniałą pracę. Co powtarzałaś sobie, kiedy zmarł mały Michael? Powiedz to, Rose.

Łzy zaczęły łać się strumieniami.

– Jestem Rose – wyszeptała. – Dam sobie radę.

– Nie jesteś już jego żoną. Zaczynasz od początku. Niech to będzie ostatnia rzecz, którą cię zranił.

– Nie chodzi nawet o pieniądze...

– Wiem. Naprawdę wiem. Chodź, obmyj twarz, dzieci czekają.

Rose wstała i posłusznie przeszła do łazienki. Spryskała twarz i wyszczotkowała włosy.

Usłyszała, jak Martha zaszczebotała wesoło: „Już idziemy”, a zaraz potem zaczęła schodzić, by zatrzymać Lisę, która wspinała się na górę.

Rose wyprostowała się i dosłownie poczuła fizycznie, jak dochodzi do siebie. Zmusiła kolana, by się ugięły, nogi ruszyły przed siebie, a twarz uśmiechnęła się.

I zeszła na dół do kuchni.

*Poniedziałek, 24 lipca, godzina 12.15*

Rose poczekała, aż Martha wyjedzie do Galway w kolejny poniedziałek, zanim ruszyła na poszukiwania Bena. Miała przeczucie, że tym razem zniknął na dobre. Teraz, kiedy ukradł im pieniądze, nigdy nie będzie miał odwagi spojrzeć jej w twarz. Więcej go nie zobaczy. Zastanowiła się, z czystej ciekawości, czy wyjechał z Caroline czy z inną kobietą. Dokąd uciekł? Tak naprawdę nie miało to dla niej większego znaczenia, ale chciała po prostu wiedzieć.

Wczesnym poniedziałkowym popołudniem zadzwoniła do Jane z prośbą o opiekę nad dziećmi. Oczywiście nie stanowiło to żadnego problemu. Pogoda była piękna i wypad na plażę stał się nagle bardzo realny. Dzieciaki tryskały dobrymi humorami.

– Chyba nie ma sensu, żebym znowu ci dziękowała? – zapytała Rose. – Jestem jak Anioł Śmierci, ciągle przynoszę złe wieści.

– Wcale nie, za to zawsze zjawiałas się z pysznym winem. Bardzo się teraz cieszę, że mi tak smakowało. Nie spiesz się. Wybieramy się na piknik.

– W takim razie do zobaczenia później.

– Powodzenia. Jesteś pewna, że nie chcesz poczekać, żebym mogła jechać z tobą?

– Sto procent. Nie mam już o co się bić.

Z pełnym spokojem prowadziła samochód w kierunku mieszkania Bena w Howth.

Na małych balkonikach siedziało sporo ludzi, inni odpoczywali pod

jasnobarwnymi parasolami na dziedzińcu. Zaparkowała tuż przed drzwiami Bena i zapukała. Tak naprawdę nie liczyła na żadną odpowiedź, zrobiła to dla formy.

Obok siedziała samotnie kobieta, czytała. Była nieco starsza niż reszta mieszkańców. Rose podeszła do niej.

– Przepraszam panią. Szukam lokatora spod dziewiątki. Nazywa się Ben Holden.

Kobieta zamknęła książkę.

– Zupełnie jak ja. A ty niby kto?

Rose zamurował bezpośredni sposób bycia kobiety.

– Nazywam się Rose Holden. Jestem jego byłą żoną. Kobieta skinęła głową. Z ziemi podniosła sporą płócienną torbę.

– Chyba się wyprowadził. Chodź za mną.

Rose posłuchała. Kobieta poszperała w torbie i wyjęła ogromny pęk kluczy.

– Nazywam się Geraldine Kenny. Jestem właścicielką części mieszkań.

No proszę, pomyślała Rose. Kobieta otworzyła drzwi Bena.

– Posprzątałam wszystkie torby tego ranka, kiedy po raz kolejny nikt nie otworzył mi drzwi. Zaczynało już niezle capić.

Pokój był dosłownie pusty. Tylko plama wina świadczyła o obecności Bena.

– Zostawił to. – Wręczyła Rose stertę kopert. – Chciałam je wysłać, ale część jest bez adresu. Tylko imiona. Więc wykumałam, że ktoś się tu pojawi. Chcesz je zabrać?

Rose miała wrażenie, że kobieta czuła się nieswojo. Co podejrzewała? Samobójstwo? Morderstwo? Być może była świadkiem niektórych scen

dotyczących Bena i widziała czy słyszała to i owo. Z pewnością coś podejrzewała.

– Tak, wezmę je.

Już miała zadać pytanie, kiedy kobieta wtrąciła:

– Z niczym nie zalega, uregulował wszystko.

Też miała go dosyć i chciała się go pozbyć. Obie tego pragnęłyśmy, pomyślała Rose. Znowu poczuła się zrezygnowana, pierwszy raz od dłuższego czasu. Proszę bardzo, kolejny raz zbierała po nim śmieci. Wyciągnęła rękę po listy.

– No to dobrze. Zajmę się tymi listami.

Pewnie skradzione pieniądze przeznaczył na pokrycie rachunku za mieszkanie, skończony łajdak.

– Czy mam gdzieś kierować korespondencję?

– Nie – odpowiedziała Rose. – Nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd się udał. Dziękuję za pomoc.

Dopiero kiedy wróciła do domu, otworzyła koperty.

Przeczytała wszystkie listy.

Kiedy skończyła, wyjęła pięć czystych kopert i zaadresowała je. Szósty list zaniosiła do zlewu.

Wygrzebała z szuflady zapalki. Zapaliła jedną, trzymając list za róg. Z satysfakcją obserwowała palącą się kartkę. Potem spłukała zlew. Ogarnęło ją znużenie. Jej porażka, jej wina, on pragnął się odnaleźć. Byłoby lepiej, o wiele lepiej, gdyby w ogóle nic nie powiedział.

Z barku wyciągnęła butelkę Marthy z resztką whisky. Nie zamknęła szafki z powrotem na klucz. Nie było już takiej potrzeby, bo w środku nie zostało nic.



Wbiła nową sekwencję alarmu.

A potem, z butelką pod pachą, udała się w dobrze już sobie znaną podróż drogą w dół, do normalności i do Jane.

*Wtorek, 25 lipca, godzina 9.15*

– A więc jakie mam szanse?

Był wczesny wtorkowy ranek. Rose rozmawiała z Davidem O'Brienem.

– Chyba żadne – sama udzieliła sobie odpowiedzi.

– Jeśli nie uda nam się go znaleźć, to niewiele możemy zrobić, Rose. Czy masz jakiś pomysł, dokąd mógł wyjechać?

– Nie, nic nie przychodzi mi teraz do głowy. Może, jeśli się głębiej zastanowię, coś sobie przypomnę. Ale szczerze mówiąc, muszę przygotować się na taką ewentualność, że nie da się go odszukać. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie zobaczę go już nigdy więcej. Byłoby łatwiej, gdyby nie żył.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co czujesz, Rose. Jest mi naprawdę przykro.

Rose gwałtownie potrząsnęła głową, by odgonić łzy. Nie było czasu na uzalanie się nad sobą.

– Przyślij mi te pięć listów – odezwał się David. – Zrobię kopie i prześlę je dalej. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że Ben nie zostawił wam żadnego finansowego zabezpieczenia. Nie rozmawiaj z nikim i nic nie rób, dopóki się nie odezwę. Wiem, że Barry Herbert to wasz przyjaciel, ale nawet jemu nie możesz pisać słowa. Rozumiesz?

Nie było sensu tłumaczyć Davidowi, że Barry to przyzwoity człowiek, biznesmen z zasadami, który – jak przypuszczała – stanąłby na głowie, by

ratować interesy Bena. David z natury i z profesji był podejrzliwym człowiekiem.

– Dobra – zgodziła się. – Nie zrobię nic, dopóki się nie odezwiesz. Możesz postarać się zrobić to jak najszybciej?

Rose zaczynała rozumieć, że prawo funkcjonowało niezmiernie wolno. Przeciężni ludzie borykający się z problemami, rozwodnicy w irlandzkim stylu, nie mogli liczyć na żadną pomoc. Miała wrażenie, że nie przysługują jej żadne prawa. Nie stanowiła już połowy szanowanego, solidnego małżeństwa z klasy średnio zamożnej. Właściwie to w świetle prawa była nikim. Wszystko zależało teraz od Bena, od znalezienia go, od posprzątania po nim i jego zgody. Bez tego nie mogła nawet marzyć o rozwodzie. I kolejny raz to ona musiała uzbroić się w cierpliwość. A tak bardzo nie chciała czekać w życiu ani chwili dłużej.

– Odezwę się w piątek. Wytrzymaj do tego czasu. Zasięgnę informacji.

Zasięgnę informacji. Brzmi ładnie. Od teraz jej życie będzie toczyć się wokół zasięgniętych informacji. Od nich zależeć będzie przyszłość dzieci, domu, jej samej. Miała przeczucie, że zebranie potrzebnych danych może trwać całą wieczność.

Rose zaparzyła kawę i usiadła w cichej kuchni. Miała ochotę wynieść się stąd, z tej kuchni, gdzie wszystko się wydarzyło, znaleźć nowe miejsce, w którym sama nadawałaby bieg swojemu życiu.

Zmieniłaby kolory. Na blatach i półkach trzymałaby tylko niezbędne rzeczy. Pozbyłaby się z domu tej całej maszynerii do gotowania. Znalazłaby dla niej inne miejsce, takie, które nazwałaby pracą, a nie domem. Zaczęła wyobrażać sobie tę drugą kuchnię, w której mogłaby zacząć zarabiać na życie. Gotowanie za miłość lub gotówkę.

Rose wyjęła notes z torebki i przystąpiła do wypisywania wszelkich możliwych sposobów zarobku, jakie przyszły jej do głowy. Po pierwsze, miała Bonne Bouche, cztery godziny dziennie, powiedzmy od szóstej do dziesiątej. Dalej mogła raz w miesiącu przygotować przyjęcie na dwanaście osób. I jeszcze catering, gdyby tylko udało się zwiększyć liczbę zamówień do jednego w tygodniu.

Nagle doznała olśnienia i wymyśliła, co jeszcze mogłaby robić. Czemu nie? Czemu nie miałyby przejąć inicjatywy i uwierzyć w siebie? Domyślała się, że Jack Morrissey zrobi wszystko, by odzyskać swoje pieniądze.

W głowie Rose buczało. Włączyła programator, nastawiając przygotowanie obiadu na szóstą. W ostatnim czasie posiłki spożywali w wesołej atmosferze, przed sobą mieli jeszcze sporą część wakacji.

Szczególnie Brian i Lisa, piegowaci od słońca, tryskali zdrowiem. Jak miała im teraz oznajmić, że ich ojciec zniknął na dobre?

Poczuła, jak na moment poddaje się panice. Przecież to kompletne szaleństwo. W życiu nie poradzi sobie z tym wszystkim. Otrząsnęła się.

Po kolacji zamknęła się w gabinecie Bena i pracowała ciężko do późnej nocy. O czwartej nad ranem skończyła. Biuro zawałone było papierami. W niebieskim skoroszybie leżało bezpiecznie czternaście porządnie zapisanych kartek papieru. Będzie musiała nauczyć się obsługi komputera.

Rose ogarnęło takie podekscytowanie, że nie mogła zasnąć. Postanowiła przejąć inicjatywę i uprzedzić zamówienia Bonne Bouche. Przez kolejne cztery godziny piekła, próbując nowy przepis na bułeczki ze środkowowschodniej części Europy. Potrafiła to zrobić, wiedziała, że tak. I da radę.

Kiedy czekała, aż bułeczki wyrosną, w myślach przemierzała swoje życie. Jako mała dziewczynka pragnęła jedynie tego, co – jak jej się wydawało – miała matka. Ellen powiedziałyby jej, że myliła się nawet w tej kwestii. Potem chciała tylko tego, czego i Ben chciał. Nigdy nie zastanawiała się nad swoimi pragnieniami. A czy gdyby dopuściła swoje potrzeby do głosu, wtedy, mając dopiero dziewiętnaście lat, to byłaby teraz innym człowiekiem? Rose zastanawiała się, na ile dziecko może wpłynąć na swoje dorosłe życie. Jak można samemu nauczyć się kształtować własny charakter?

Po raz pierwszy w życiu Rose poczuła się dojrzała.

Zupełnie jakby z jej oczu spadły klapki. Zobaczyła resztę swojego życia w innym wymiarze, jako drugą szansę. Nowy początek. Nie było nikogo, kto mógłby chronić ją przed życiem. Stała się odpowiedzialna za siebie i za troje młodych ludzi, których nie miała zamiaru otoczyć tak protekcyjną opieką, jak kiedyś zrobiła to jej matka. I na tym polegała różnica. Tylko w ten sposób człowiek mógł nauczyć się pracy nad sobą. Wskaże im te wszystkie opcje, których sama nigdy nie miała lub nie próbowała ich dla siebie stworzyć. Nie pragnęła ich, bo po prostu nie miała pojęcia, że w ogóle istniały. Swoim dzieciom pokaże prawdziwy świat. Nauczy je, że zawsze można wybrać z kilku rozwiązań, z których najlepsze niekoniecznie musi być najprostsze.

Nakarmi je, ubierze, zadba o dobre wykształcenie, choćby miała umrzeć. Jeśli ktokolwiek spróbuje odebrać dom, by spłacić długi Bena, będzie walczyć do końca. W tej chwili nie chciała i tego brać sobie na głowę. Wystarczy już na jeden dzień.

Tęsknię za tobą, mamó. Szkoda, że nie miałyśmy szansy lepiej się

poznać. Mam nadzieję, że nie umrę, zanim moje dzieci dojrzeją, i będę mogła z nimi przejść przez ich dorosłe życie.

Kompletnie skostniała, z piekącymi oczami poddała się w końcu o dziewiątej rano. Dzieci wpadły do kuchni w poszukiwaniu śniadania. Boso, w piżamach, nieumyte, z potarganymi włosami. I co z tego?

Damien obiecał, że zostanie w domu, by zająć się rodzeństwem. Wręczyła mu niebieski skoroszyt, gdy maluchy opuściły kuchnię.

– Padam z nóg, Damien. Dajcie mi spać do trzeciej, a potem obudź mnie, proszę. W przeciwnym razie znów nie będę mogła zasnąć w nocy.

Damien przeglądał zawartość skoroszytu.

– Zrobię ci do tego biznesplan. Uczyli nas w szkole. Będzie wyglądało profesjonalnie.

Zapałił się do pomysłu. Siedemnaście lat, prawie osiemnaście. Przyszła pora, by pozwolić mu odegrać swoją rolę.

– Zrób tak – powiedziała – a potem możesz i mnie nauczyć. W końcu spoczęła.

Zanim nadszedł sen, w ostatniej chwili przed utratą przytomności Rose poczuła, jak jej klatka piersiowa wypełniła się optymizmem i radosnym podnieceniem przed nieznanym.

Powolutku, pomaluśku. Udało się, była wolna.

*Piątek, 15 września, godzina 21.00*

Martha dzwoniła co kilka tygodni, by dowiedzieć się, jak Rose sobie radzi. Czasami zastawała Rose w nie najlepszej formie, ale coraz częściej przyjaciółka tryskała optymizmem, panując nad sytuacją.

Martha popierała wszystkie jej pomysły. Wierzyła w Rose, która była jej za to wdzięczna.

W piątkowy wieczór, w połowie września, słuchawkę podniosła niesamowicie podekscytowana Rose.

– Zgadnij, co się stało!

– Powiedz mi sama – odpowiedziała cierpliwie Martha. – No dalej, zasługujemy na dobre wieści.

– Wygląda na to, że bank da mi pieniądze! Wrażenie zrobił nie tylko mój biznesplan, ale i książka zamówień. Jest prawie pełna! Jej, aż ich zatkało!

Rose głośno się roześmiała zaraźliwym śmiechem i Martha przyłączyła się do przyjaciółki.

– Nie mam pojęcia, czemu się śmieję, Rose. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze, i jestem pewna, że osiągniesz sukces. Dlaczego się śmiejemy?

– Bo nie zgadniesz, w co zainwestują fortunę... No przynajmniej dla mnie to mnóstwo pieniędzy.

Martha zmusiła się do utrzymania powagi, ignorując radosne podniecenie w głosie Rose. Postawiła na stanowczość.

– No to oświeć mnie.

– Torty weselne! Zarobię na nas, piekąc torty weselne!

I znów wybuchnęła śmiechem. Martha poczekała, aż Rose się uspokoi.

– Rose, to cudownie. Nie minął nawet rok, a ty zmieniałaś tyle rzeczy. Nie tylko przeżyłaś, ale narodziłaś się na nowo i zaczynasz żyć od początku. Jesteś wspaniała.

Nastąpiła długa cisza. Martha znów zapragnęła dotrzeć do niej.

– Rose? Rozgrywasz to po mistrzowsku. Naprawdę tak uważam. Świetnie sobie radzisz.

Rose odezwała się ponownie, znacznie spokojniej.

– Wiesz, znaleźli go.

– Kto?

– Maureen i Bernard. Wyśledzili go. A ściślej mówiąc, jego ojciec. Biedna Maureen. Powiedziała mi potem, że nigdy wcześniej, przez ponad pięćdziesiąt lat, nie widziała męża w takim stanie.

Martha czekała. Wiedziała, że to nie był koniec historii.

– Ben był w Londynie. Znaleźli go w jakimś tanim hotelu. Bernard tak się wściekł, że uderzył go pięścią w klatkę piersiową. Maureen się przeraziła. Opowiadała, że poleciała lampa, wszędzie dookoła rozsypało się szkło.

– Nie przerywaj – odezwała się Martha łagodnie.

– A potem wyszli. Bernard próbował zmusić Bena, by stawiał czoło swoim zobowiązaniom. Maureen stwierdziła, że wiedziała, że było za późno, by uczyć go odpowiedzialności. Wyjechali i od tego momentu słuch po nim zaginął.

– Jak się teraz mają?

Martha niemal poczuła smutek Rose.



– Są kompletnie rozbici. Maureen mówi, że udało jej się w końcu zmusić Bernarda, by znowu zaczął się odzywać, ale biedny człowiek zgasł zupełnie. Jestem pewna, że Ben złamał mu serce.

Martha pozwoliła na kolejną ciszę w słuchawce.

– To nie twoja wina, Rose. Nic, co wydarzyło się dalej, nie stało się z twojej winy. Musisz w to uwierzyć.

– Wiem, naprawdę wiem... ale to wszystko jest tak okropnie smutne. Czuję się tak, jakbym brała udział w długim, powolnym pogrzebie. Tyle że nie ma ciała, które można by pogrzebać.

– O to się nie martw. Tymczasem rób to, co zaczęłaś, i napisz do mnie. Wysłałam do ciebie list, powinnaś go dostać w przyszłym tygodniu.

Już nie pierwszy raz Rose poczuła wdzięczność za solidność przyjaciółki. Pomyślała o Ellen w Londynie i o Grace – tylko jedną przecnicę dalej od niej. Więzy krwi wcale nie były najsilniejsze, tego akurat była pewna.

*Sobota, 6 kwietnia 1996*

– Dzień dobry, Bonne Bouche Catering. W czym możemy pomóc?

Rose umieściła słuchawkę na lewym ramieniu, przytrzymała ją głową i sięgnęła po notes.

– Zgadza się, mówi Rose Kelly.

Przyzwyczajała się do dźwięku własnego nazwiska. Polubiła je.

– Na sobotę, czwartego maja, czyli za cztery tygodnie? Oczywiście, możemy to zrobić. Sto dwadzieścia. O jakim bufecie pani myślała?

W ostatnim czasie Rose przyjmowała wszystkie zamówienia. Później będzie się martwić, jak zdąży ze wszystkim na czas. Szybko zapisywała coś na kartce.

– To klub tenisowy, prawda? Nie, nie, to wchodzi w zakres naszych usług.

Nasze usługi. Rose wciąż czuła wdzięczność dla Barry'ego i Annie, kiedy wymawiała to na głos. Razem przygotowali dla niej ofertę, którą Rose potraktowała jak paczkę z napisem „zbawienie”.

Nazwa Bonne Bouche, finanse, furgonetka na podjeździe. Co za rok.

No i Caroline. Wciąż przysyłała klientów. Atmosfera między nimi nieco się rozluźniła. Już dawno temu Rose powiedziała jej, żeby przestała się obwiniać; to Ben był odpowiedzialny za ból i po części ona, Rose. Caroline nie miała z tym nic wspólnego.

Brian i Lisa cicho odrabiali lekcje w tym samym pokoju. Damien rozwoził piątkowe zamówienia.

Za każdym razem, kiedy wyruszał w drogę, martwiła się.

A w czerwcu nowy lokal, bliżej niż Greystones.

Rose czuła, że od lat, a może nigdy wcześniej, nie była tak szczęśliwa. Rzadko wracała do poprzedniego życia z Benem. Czasami, mimo że starała się ze wszystkich sił, nie mogła nawet przypomnieć sobie jego twarzy.

Cieszyła się na nadchodzący weekend. Dwa poranki bez pobudki o piątej trzydzieści. Co za luksus.

Wyjęła z piecyka pizze i zawołała dzieci. Wyglądały świetnie, czuły się szczęśliwe, nie brakowało im ani butów, ani ubrań czy książek.

Rose patrzyła na nie przepelniona miłością. Uregulowała rachunki, pracowała ze wszystkich sił, dbała o dzieci, potrzebowała przyjaciół. Na chwilę obecna dość.

Wystarczy już na jeden dzień. Dziękuję ci, mamo.

Rozłożyła ich talerze na stole, nalała sobie pół kieliszka wina i zaczął się kolejny weekend.

## *Epilog*

Każdego ranka uwagę Bena przykuwa to samo dziecko. Tward chłopca zdaje się rozświetlać ściśnięty na peronie tłum ludzi, mających nad sobą anonimowe, ołowiane niebo.

Minęło sporo czasu, zanim Ben wyłowił chłopca z tłumy i skupił na nim całą swoją uwagę. Zazwyczaj mały jest sam, nie ma towarzystwa, trzyma się z boku. Czasami rozgrywa jakąś grę komputerową.

Wsiada do tego samego wagonu każdego ranka, tak jak Ben i, jak się zdaje, wszyscy ludzie dookoła. Rzadko podnosi głowę i jedyne, co go obchodzi, to zabijające maszyny, które biegają, bucząc po całym małym monitorze.

Właśnie to pochylenie głowy jest takie charakterystyczne. Ben doznaje szoku i na chwilę wstrzymuje oddech, gdy uświadamia sobie, że włosy dziecka są permanentnie najeżone z tyłu głowy. Kiedy Ben widzi to po raz pierwszy, niemal mdleje z rozpaczy.

Teraz ból nie doskwiera tak bardzo, ale Ben wciąż musi się bronić przed impulsem sięgnięcia ręką i wygładzenia nastroszonej czupryny.

Kusiło go, by zadzwonić na Boże Narodzenie, Tylko co miałyby powiedzieć? Lepiej było już zostawić rzeczy tak, jak się ułożyły.

Doskonale pamięta, kiedy przed wieloma miesiącami jego rodzice znaleźli go w Londynie. Wzdryga się na myśl o gniewie ojca.

Tego samego wieczoru opuścił Londyn, zbyt znużony, by stawić czoło rodzicom, którzy nie dostrzegali nic poza jego egoizmem. Nie mogli zrozumieć, że on wcale nie chciał tego, co mieli jego rodzice.

Nie chce skończyć z poczuciem, że nic nie osiągnął, nie chce pozwolić, by życie przemknęło mu obok. Zastanawia się, czy rodzice potrafią jeszcze ze sobą rozmawiać. On sam chce od życia czegoś więcej. Wysiada na kolejnym przystanku. W końcu Hull nie jest takie złe.

Ben wstaje, wciska tanią teczkę pod ramię. Wspina się na wzgórze, zostawia za sobą dworzec i kieruje się w stronę centrum.

Tuż przed nim chłopak maszeruje w towarzystwie rówieśników. Zanim dziecko zniknie mu z oczu za bramą wielkiego liceum, Ben rzuca ostatnie spojrzenie na najeżone włosy.

Podskakują rytmicznie, w górę i w dół, w rytm lekkiego kroku chłopca.